

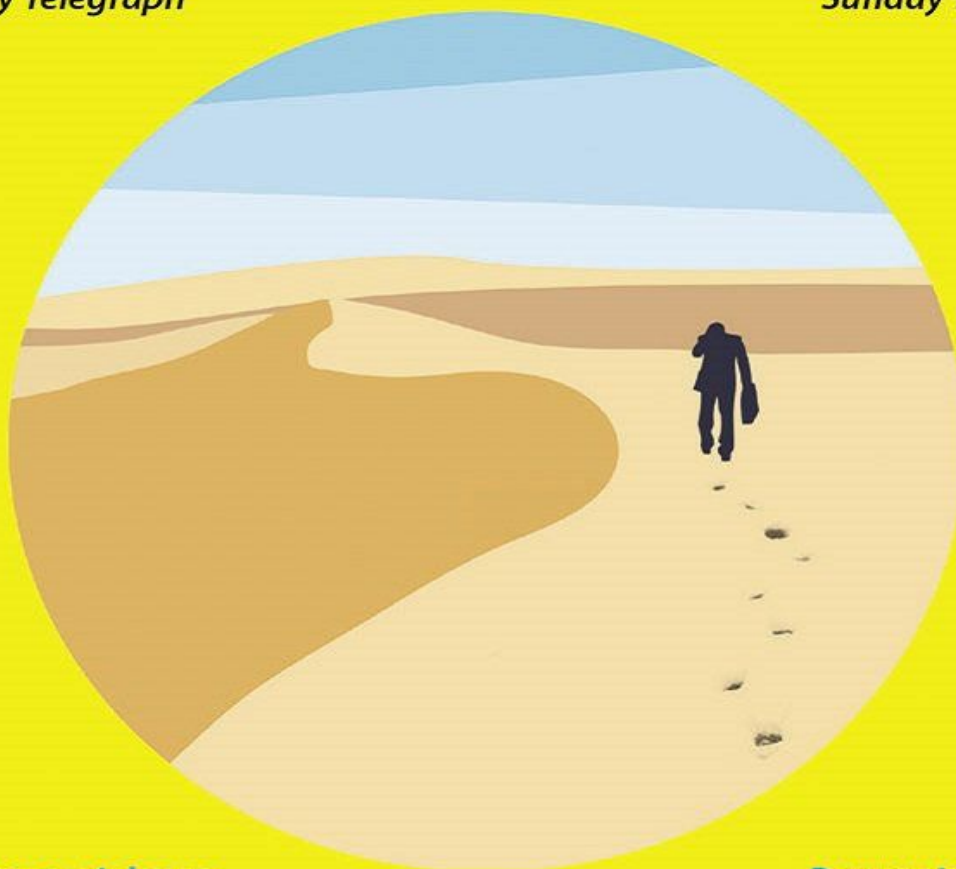
FILM NA PODSTAWIE KSIĄŻKI Z TOMEM HANKSEM W ROLI GŁÓWNEJ!



HOLOGRAM DLA KRÓLA

„Arcydzieło”.
Daily Telegraph

„Znakomita”.
Sunday Telegraph



„Zabawna, ciekawa,
zajmująca”.
Esquire

„Porywająca, dziwna
i przerażająco wiarygodna”.
Sunday Times

DAVE EGGERS

HOLOGRAM DLA KRÓLA

**DAVE
EGGERS**

Z języka angielskiego przełożył
Marek Fedyszak



Tytuł oryginału:
A Hologram for the King

Copyright © 2012, Dave Eggers
All rights reserved

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-7999-563-9

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Epigraf

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

Podziękowania

Dla Daniela McSweeney, Rona Hadleya
i Paula Vidy, wspaniałych ludzi

Nie co dzień jesteśmy potrzebni.

SAMUEL BECKETT

I

Alan Clay obudził się w Dżuddzie, w Arabii Saudyjskiej. Był 30 maja 2010 roku. Żeby tam dotrzeć, spędził dwa dni w samolotach.

W Nairobi poznał pewną kobietę. Siedzieli obok siebie, czekając na swoje loty. Była wysoka, krągła i nosiła małe złote kolczyki. Miała rumianą cerę i melodyjny głos. Polubił ją bardziej niż wiele z osób obecnych w jego życiu, osób, które widywał na co dzień. Powiedziała, że mieszka w północnej części stanu Nowy Jork. Nie tak znowu daleko od jego domu na przedmieściach Bostonu.

Gdyby miał dość odwagi, znalazłby sposób, by spędzić z nią więcej czasu. Zamiast to zrobić, wsiadł do samolotu i poleciał najpierw do Rijadu, a potem do Dżuddy. Jakiś mężczyzna zabrał go z lotniska i zawiózł do hotelu.

O 1:12 w nocy Alan wszedł do swojego pokoju w Hiltonie i szybko przygotował się do snu. Musiał się przespać. O siódmej musiał ruszyć w godzinną podróż na północ, by o ósmej znaleźć się w Economic City króla Abdullaha. Tam wraz ze swoim zespołem miał przygotować system telekonferencji z wykorzystaniem holografii i czekać, aż zostanie zaprezentowany samemu królowi. Jeśli Abdullah będzie pod wrażeniem, przyzna kontrakt na budowę sieci informatycznej dla całego miasta firmie Reliant, a mniej więcej półmilionowa prowizja Alana rozwiąże wszystkie trapiące go problemy.

Musiał więc czuć się wypoczęty. Przygotowany. Ale zamiast wypocząć, spędził w łóżku cztery bezsenne godziny.

Myślał o swojej córce Kit, która studiowała w college'u, bardzo dobrym i kosztownym college'u. Nie miał pieniędzy na opłacenie jej chesnego za jesień. Nie był w stanie tego zrobić, gdyż podjął w swoim życiu szereg głupich decyzji. Źle planował. I brakowało mu odwagi, gdy jej potrzebował.

Jego decyzje były krótkowzroczne.

Decyzje jego rówieśników też były krótkowzroczne.

Głupie i podyktowane oportunistem.

Wtedy jednak nie wiedział, że jego decyzje są krótkowzroczne, głupie i podyktowane oportunistem. On i jego rówieśnicy nie wiedzieli, że podejmują decyzje, które sprawią, że kiedyś będą tacy, jak on teraz – praktycznie zrujnowany, niemal bezrobotny, prowadzący swoją jednoosobową firmę doradczą z biura we własnym domu.

Z matką Kit, Ruby, się rozwiódł. Od ich rozstania minęło więcej czasu, niż spędzili razem. Ruby była potwornie upierdliwa, mieszkała obecnie w Kalifornii i w żaden sposób nie wspierała finansowo ich córki. College to t w ó j problem, oświadczyła. Bądź mężczyzną.

Zanosilo się na to, że jesienią Kit nie będzie studiować. Alan wystawił dom na sprzedaż, ale jeszcze nie znalazł nabywcy. Innych możliwości nie miał. Był winien pieniądze wielu ludziom, w tym osiemnaście tysięcy dwóm projektantom za wykonanie prototypu nowego roweru, który jak sądził, mógłby produkować w okolicach Bostonu. To z tego powodu nazywano go idiotą. Był winien forszę Jimowi Wongowi, który pożyczył mu czterdzieści pięć tysięcy na materiały oraz na pierwszą i ostatnią ratę czynszu z tytułu dzierżawy magazynu. Kolejne sześćdziesiąt pięć tysięcy miał oddać sześciu przyjaciołom i niedoszłym wspólnikom.

Tak więc był zrujnowany. A kiedy zdał sobie sprawę, że nie może opłacić czesnego Kit, nie miał już czasu, by postarać się o jakąś inną pomoc. Zbyt późno na przenosiny.

Czy to, że zdrowa młoda kobieta, taka jak Kit, zrobi sobie semestr wolnego od studiowania, było tragedią? Nie było. Długie, pełne ludzkiej udręki dzieje świata nie odnotują opuszczonego semestru nauki w przypadku bystrej i zdolnej młodej kobiety, takiej jak Kit. Przeżyje. To nie tragedia. W najmniejszym stopniu.

Tragedią było ponoć to, co stało się z Charliem Fallonem. Charlie Fallon zamarzył na śmierć w jeziorze koło domu Alana. W jeziorze obok domu Alana.

Alan myślał o Charliem Fallonie, nie mogąc zasnąć w hotelu w Dżuddzie. Tamtego dnia widział, jak Charlie wchodzi do jeziora. Wyruszał właśnie samochodem do kamieniołomu. To, że człowiek taki jak Charlie Fallon wchodzi do wrzniętej do mieniącej się czarnej wody, nie wydawało się normalne, ale też nie było niczym nadzwyczajnym.

Charlie Fallon wysyłał Alanowi strony z różnych książek. Robił to przez dwa lata. W późnym wieku odkrył transcendentalistów i poczuł z nimi więź. Spostrzegł, że Brook Farm znajduje się dość blisko miejsca, w którym obaj z Alanem mieszkają, i uznał, że to coś znaczy. Prześledził swój bostoński rodowód, licząc na to, że znajdzie jakiś związek z transcendentalistami, ale bez skutku. Mimo to nadal przysyłał Alanowi kartki z zakreślonymi fragmentami tekstu.

Sposób rozumowania ludzi dobrze sytuowanych, myślał Alan. Nie przysyłaj mi więcej tego gówna, powiedział Charliemu. Ale Charlie wyszczerzył zęby w uśmiechu i posyłał następne strony.

Kiedy więc Alan ujrzał w sobotę w południe, jak Charlie wchodzi do jeziora, uznał to za logiczny kolejny krok tego człowieka w jego nowym

zamiłowaniu do natury. Gdy minął go tamtego dnia, woda sięgała Charliemu zaledwie do kostek.

II

Gdy Alan obudził się w Hiltonie w Dżuddzie, już był spóźniony. Była 8:15. Zasnął tuż po piątej.

Spodziewano się go w Economic City króla Abdullaħa o ósmej. Miasto znajdowało się co najmniej godzinę jazdy z Dżuddy. Zanim weźmie prysznic, ubierze się i załatwi jakiś samochód, będzie dziesiąta. Pierwszego dnia swojej misji spóźni się dwie godziny. Był głupcem. Z roku na rok coraz większym.

Spróbował zadzwonić na komórkę Cayley. Odebrała, usłyszał jej chrapliwy głos. W innym życiu, w innym układzie, w którym on byłby młodszy, ona starsza, a oboje na tyle głupi, żeby tego spróbować, oboje z Cayley stworzyliby coś strasznego.

– Witaj, Alanie! Jak tu pięknie. Cóż, może „pięknie” to złe słowo. Tyle że cię tu nie ma.

Wy tłumaczył, co się stało. Nie skłamał. Nie potrafił już wykrzesać z siebie niezbędnej do tego energii, kreatywności.

– Cóż, nie przejmuj się – pocieszyła go, śmiejąc się cicho, a jej głos sugerował możliwość istnienia fantastycznego życia w stanie nieprzemijającej zmysłowości. – Właśnie rozkładamy sprzęt. Będziesz jednak musiał załatwić sobie jakiś transport. Czy ktoś z was wie, jak Alan może się tu dostać?

Wydawało się, że krzyczy do pozostałych członków zespołu, a otacza ją otchłań. Wyobraził sobie mroczne i puste miejsce, troje młodych ludzi ze świecami w dłoniach, czekających, aż zjawi się ze swą latarnią.

– Nie może wynająć samochodu – powiedziała do nich, po czym zwróciła się do niego: – Możesz wynająć samochód, Alanie?

– Zorientuję się – odparł.

Zadzwoił do recepcji w holu.

– Halo, mówi Alan Clay. Jak pan ma na imię?

Pytał o imiona. Nawyk, który wpoił mu Joe Trivole w czasach, gdy pracowali w Fuller Brush. Pytaj o imiona, powtarzaj imiona. Zapamiętujesz imiona ludzi, oni zapamiętują ciebie.

Recepcjonista powiedział, że ma na imię Edward.

– Edward?

– Tak, proszę pana. Mam na imię Edward. W czym mogę pomóc?

– Skąd pochodzisz, Edwardzie?

– Z Indonezji, z Dżakarty, proszę pana.

– Ach, z Dżakarty – powtórzył Alan, po czym zdał sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia na temat tego miasta. Jego wiedza o Dżakarcie była zerowa.

– Edwardzie, mógłbym wynająć samochód za pośrednictwem hotelu?

– Czy ma pan międzynarodowe prawo jazdy?

– Nie.

– W takim razie myślę, że nie powinien pan tego robić.

Alan zadzwonił do konsjerża. Wyjaśnił, że potrzebuje kierowcy, który zawiózłby go do Economic City.

– To zajmie kilka minut – odparł konsjerż. Nie mówił z saudyjskim akcentem. Najwyraźniej w tym saudyjskim hotelu nie zatrudniali Saudyjczyków. Alan zakładał, że tak będzie. Powiedziano mu, że tylko nieliczni Saudyjczycy gdzieś pracują. We wszystkich sektorach sprowadzali siłę roboczą z zagranicy. Odźwierny wyjaśnił, że muszą znaleźć kogoś odpowiedniego.

- Nie możecie po prostu zadzwonić po taksówkę?
- Niezupełnie, proszę pana.

Krew się w nim zagotowała, ale sam przecież wpakował się w ten pasztet. Podziękował i odłożył słuchawkę. Wiedział, że w Dżuddzie i Rijadzie nie da się tak po prostu wezwać taksówki. Tak przynajmniej pisano w przewodnikach; wszystkie wyolbrzymiały niebezpieczeństwa czyhające na cudzoziemskich podróżnych w Królestwie Arabii Saudyjskiej. Departament Stanu postawił Saudyjczyków w stan najwyższego pogotowia. Nie dało się wykluczyć porwania. Alan mógł być sprzedany Al-Kaidzie, przetrzymywany dla okupu, przewieziony przez granicę. Nigdy wcześniej nie czuł się nigdzie zagrożony, a przecież w swoich misjach trafiał w latach dziewięćdziesiątych do Juarez, a w osiemdziesiątych do Gwatemali.

Zadzwonił telefon.

- Mamy dla pana kierowcę. Kiedy chciałby pan jechać?
- Jak najszybciej.
- Będzie tu za dwanaście minut.

Alan wziął prysznic i ogolił usianą drobnymi cętkami szyję. Włożył podkoszulek, białą koszulę z przypinanymi wyłogami kołnierzyka, spodnie khaki, mokasy i jasnobrązowe skarpetki. Ubieraj się po prostu jak amerykański biznesmen, usłyszał. Krążyły ostrzegawcze opowieści o noszących arabskie thawby i nakrycia głowy nadgorliwcach z Zachodu, dokładających starań, próbujących się wtopić w tło. Nie doceniano tu takich wysiłków.

Poprawiając kołnierzyk koszuli, Alan poczuł zgrubienie na karku, które odkrył miesiąc wcześniej. Było wielkości piłeczki do golfa, sterczało mu z kręgosłupa, w dotyku przypominało chrząstkę. Niekiedy myślał, że to część kręgosłupa, bo czymże innym mogłoby być?

Mogłoby być guzem.

Takie zgrubienie na kręgosłupie – to musiało być inwazyjne i zabójcze. Ostatnio miał mętne myśli i niezdarny chód, więc okropne przypuszczenie, że coś tam rośnie, wgryza się w niego, pozbawia go sił witalnych, wyciska zeń całą przenikliwość i determinację, było całkowicie sensowne.

Zamierzał się z kimś w tej sprawie zobaczyć, ale potem zrezygnował. Lekarz nie mógłby czegoś takiego zoperować. Alan nie chciał naświetlań, nie chciał wyłysieć. Nie, cała sztuka polegała na tym, by od czasu do czasu dotykać tej narośli, śledzić związane z nią objawy, podotykać jeszcze trochę, a potem nic z tym nie robić.

Po dwunastu minutach był gotowy.

Zadzwoił do Cayley.

– Właśnie wychodzę z hotelu.

– Dobrze. Gdy już tu dotrzesz, będziemy gotowi.

Zespół zdołał tam dotrzeć bez niego, zespół zdołał się bez niego przygotować. Po co więc w ogóle się tu zjawił? Powody były pokrętne, ale to dzięki nim tu przyleciał. Po pierwsze, był starszy niż pozostali dwudziestokilkuletni członkowie zespołu, właściwie jeszcze dzieci. Po drugie, Alan poznał kiedyś bratanka króla Abdullaha; w połowie lat dziewięćdziesiątych uczestniczyli w śmiałym przedsięwzięciu związanym z produkcją tworzyw sztucznych i Eric Ingvall, urzędujący w Nowym Jorku wiceprezes Relianta, uważał, że to wystarczająco dobre koneksje, by zyskać uwagę króla. Przypuszczalnie się mylił, ale Alan wolał nie wyprowadzać go z błędu.

Cieszył się z tej pracy. Potrzebował jej. Blisko osiemnaście miesięcy przed telefonem z propozycją od Ingvalla stanowiło pasmo upokorzeń. Złożenie zeznania na dwadzieścia dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt dolarów

dochodu podlegającego opodatkowaniu było przeżyciem, którego w tym wieku się nie spodziewał. Pracował w domu jako konsultant od siedmiu lat, a jego wpływy malały z każdym rokiem. Wszyscy cięli wydatki. Jeszcze pięć lat temu interesy szły dobrze; starzy znajomi dawali mu zajęcie, a on był dla nich użyteczny. Kontaktował ich ze sprzedawcami, żądał rewanżu za wyświadczone przysługi, dobijał targu, kosił szmal. Czuł się ważny.

Teraz miał pięćdziesiąt cztery lata i dla amerykańskich korporacji był równie intrygujący, jak ulepiony z błota samolot. Nie mógł znaleźć pracy, nie potrafił zdobyć klientów. Przeszedł ze Schwinna do firmy Huffy, stamtąd do Frontier Manufacturing Partners, a potem do Alan Clay Consulting, by siedzieć w domu i oglądać na DVD, jak Red Sox zdobywają mistrzostwo w 2004 i 2007. Mecz z Yankees, w którym zaliczyli trzy home runy z rzędu. 22 kwietnia 2007 roku. Oglądał te cztery i pół minuty ze sto razy i za każdym razem sprawiało mu to coś na kształt radości. Poczucie słuszności, ładu. Zwycięstwo, którego nie można już było odebrać.

Alan zadzwonił do konsjerża.

- Samochód czeka?
- Przykro mi, ale kierowca się spóźni.
- Jesteś tym gościem z Dżakarty?
- Tak.
- Edward.
- Owszem.
- Witaj, Edwardzie. Jak bardzo kierowca się spóźni?
- Dwadzieścia minut. Mogę panu przysłać coś do jedzenia?

Alan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Morze Czerwone było spokojne, z tej wysokości niczym się nie wyróżniało. Tuż nad brzegiem biegła sześciopasmowa autostrada. Trzech ubranych na białą mężczyzn łowiło ryby przy molo.

Alan spojrział na sąsiedni balkon i zobaczył swoje odbicie w szkle. Wyglądał jak przeciętny mężczyzna. Ogolony i ubrany uchodził za normalnego. Ale pod jego czołem pojawił się cień. Oczy skryły się w tym cieniu i ludzie zwracali na to uwagę. Na ostatnim szkolnym zjeździe pewien facet, były futbolista, którym Alan kiedyś gardził, powiedział: „Stary, masz nieobecne spojrzenie. Co ci się stało?”.

Od morza dotarł podmuch wiatru. W oddali sunął po wodzie kontenerowiec. Tu i ówdzie widać było inne statki, maleńkie niczym zabawki.

Kiedy lecieli z Bostonu do Londynu, obok Alana siedział pewien mężczyzna. Pił gin z tonikiem i snuł swój monolog.

Przez jakiś czas było dobrze, prawda? – tokował. Ile to trwało, trzydzieści lat? Może dwadzieścia, dwadzieścia dwa? Ale że się skończyło, to rzecz pewna, i teraz musimy być gotowi dołączyć do zachodniej Europy w epoce turystyki i zakupów. Czyż nie o to z grubsza chodziło w tym, co mówił ten facet w samolocie? Mniej więcej.

Nie chciał się zamknąć, stale też przynoszono mu drinki.

Staliśmy się narodem domowych kotów, zauważył. Narodem niedowiarków, ludzi wiecznie zatroskanych i za dużo myślących. Dzięki Bogu Amerykanie, którzy zasiedlili ten kraj, byli inni. Ulepieni z innej gliny! Przemierzali kraj w wozach z drewnianymi kołami! Ich towarzysze kitowali po drodze, a oni parli do przodu. W tamtych czasach grzebało się zmarłych i ruszało dalej.

Pijany i chyba wytrącony z równowagi mężczyzna podobnie jak Alan urodził się w rodzinie fabrykantów, a później zagubił się w światach luźno związanych z wytwarzaniem rzeczy. Wlewał w siebie alkohol i miał już to wszystko z głowy. Zmierzał do Francji, by osiąść koło Nicei, w niewielkim

domu zbudowanym przez jego ojca po drugiej wojnie światowej. Koniec historii.

Alan dostroił się do mężczyzny i wymienili przemyślenia na temat Chin, Korei, szycia ciuchów w Wietnamie, rozwoju i upadku branży odzieżowej na Haiti oraz ceny za porządny pokój w Hajdarabadzie. Alan poświęcił kilkadziesiąt lat produkcji rowerów, później miał z dziesięć innych zajęć, doradzając, pomagając firmom konkurować dzięki wyśrubowanej wydajności, robotom, efektywnemu procesowi produkcji, tego rodzaju instrumentom. A mimo to dla człowieka takiego jak on z roku na rok było coraz mniej pracy. Ludzie kończyli z wytwarzaniem na amerykańskiej ziemi. Jak on lub ktokolwiek inny mógł argumentować za wydawaniem pięć lub dziesięć razy więcej, niż kosztowało to w Azji? A gdy azjatyckie zarobki wzrosną ponad dopuszczalną miarę – na przykład do poziomu pięciu dolarów za godzinę – była jeszcze Afryka. Chińczycy już teraz robili adidas w Nigerii. Jack Welch powiedział, że produkcja powinna odbywać się na wielkiej barce bezustannie krążącej po świecie w poszukiwaniu najtańszej robocizny i wyglądało na to, że świat potraktował jego słowa poważnie. Mężczyzna w samolocie jękliwie zaprotestował: Przecież to, gdzie coś jest wyprodukowane, powinno mieć znaczenie!

Alan nie chciał jednak rozpaczać i nie chciał zarazić się niemocą swojego sąsiada. Czyżby był optymistą? Tak powiedział. N i e m o c. Właśnie tego słowa raz po raz używał mężczyzna. Tak naprawdę wszystko przez czarny humor. Dowcipy! – lamentował mężczyzna. Słyszałem je we Francji, słyszałem w Anglii, Hiszpanii. I w Rosji! Ludzie narzekający na beznadziejne władze w swoich krajach, na ich elementarną i nieodwracalną dysfunkcję. No i we Włoszech! Rozgorzyczenie, założenie, że to już schyłek. Powszechne, teraz także u nas. Ten ponury sarkazm. Jak Boga kocham, właśnie on zabija. To znak, że leżysz i nie jesteś w stanie się podnieść!

Alan słyszał to już przedtem i nie miał ochoty na więcej. Założył słuchawki i przez resztę lotu oglądał filmy.

Wrócił z balkonu w mroczny chłód pokoju.

Myślał o swoim domu. Zastanawiał się, kto w nim teraz jest. Kto przemierza pokoje, dotyka rzeczy, wychodzi.

Jego dom od czterech miesięcy był wystawiony na sprzedaż. Czy to w tym jeziorze zamarzył ten gość?

Ruby telefonowała wyłącznie w sprawie domu. Czy został już sprzedany? Potrzebowała pieniędzy i obawiała się, że Alan go opchnie i jakoś zatai przed nią ten fakt. Dowiesz się, gdy znajdzie się nabywca, tłumaczył jej. Jest też internet. Gdy zaczynała krzyczeć, odkładała słuchawkę.

Dom Alana przygotowała do sprzedaży kobieta. Są ludzie, którzy się tym zajmują. Przychodzą do twojego domu i sprawiają, że staje się atrakcyjniejszy; nigdy nie zdołałbyś zrobić tego lepiej. Rozjaśniają mrok, który przez Twoje kłopoty spowił wnętrza.

Po czym, do czasu sprzedaży, mieszkasz w lepszej wersji swojego domu. Jest więcej żółtego. Są kwiaty i stoły zrobione z drewna z odzysku. Twój dobytek znajduje się w magazynie.

Miała na imię Renee oraz rzadkie i rozwichrzone, zaczesane do góry włosy, które wyglądały niczym wata cukrowa. Niech pan zacznie od usunięcia rupieci, powiedziała. Będzie pan musiał spakować do pudeł i wynieść dziewięćdziesiąt procent tych wszystkich sprzętów, dodała, ogarniając ruchem ręki wszystko, co zgromadził w ciągu dwudziestu lat.

Spakował się. Wynosił i wynosił. Meble zostawił, ale gdy wróciła Renee, usłyszał, że teraz je zmienia. Chce je pan kupić czy wypożyczyć?

Usunął swoje meble. W salonie stały dwie kanapy i obie oddał. Jedną przyjaciółce Kit. Drugą mężczyźnie o imieniu Chuy, który kosił u niego trawę. Renee wypożyczyła dzieła sztuki. Bezpretensjonalne abstrakcje, tak je nazywała. Były w każdym pokoju – płótna w przyjemnych dla oka kolorach, przedstawiające nieokreślone, nic nieznaczące bryły.

To było cztery miesiące temu. Przez cały czas mieszkał w domu, ewakuując się, gdy pośrednicy chcieli go pokazać. Niekiedy zostawał. Czasem zamykał się w swoim biurze, a goście chodzili po domu, komentując wnętrza. Niskie sufity, mówili. Małe sypialnie. Te podłogi są tu od początku? Pachnie stęchlizną. Czy obecni właściciele to ludzie starsi?

Czasami przyglądał się, jak potencjalni nabywcy wchodzą i wychodzą. Zerkał przez okno swojego biura jak kretyn. Pewna para zabawiła tak długo, że musiał się wysikać do kubka po kawie. Jedna z oglądających mieszkanie osób, odziana w długi skórzany płaszcz przedstawicielka wolnego zawodu, odchodząc, zobaczyła go z podjazdu przez okno. Odwróciła się do pośrednika i powiedziała: Chyba właśnie widziałam ducha.

Alan obserwował, jak fale rozbijają się łagodnie o brzeg. Kto by pomyślał, że Arabia Saudyjska ma tak rozległe i dziewicze wybrzeże? Nie miał o tym pojęcia. Spojrzał na kilkadziesiąt palm poniżej, zasadzonych na dziedzińcu Hiltona lub sąsiedniego hotelu, na rozciągające się za nimi Morze Czerwone. Pomyślał, że tu zostanie. Mógłby zmienić nazwisko. Mógłby zaniechać spłaty wszystkich długów. Wysłać jakoś Kit pieniądze, zostawić przytłaczające brzemię swojego życia w Ameryce. Dźwigał je przez pięćdziesiąt cztery lata. To chyba wystarczająco długo?

Ale nie. Był kimś lepszym. Kiedyś był kimś lepszym. Kiedyś potrafił ogarnąć świat. Kiedyś sięgał wzrokiem daleko. Kiedyś przekraczał granice

obojętności, by zobaczyć niezafałszowany krajobraz swojego życia i przyszłości; można je było zaplanować i dojść do wytyczonego celu. Wszystko, co chciał zrobić, robiono już przedtem, czemu więc nie mógłby tego powtórzyć? Mógł. Gdyby tylko zdołał zaangażować się w coś na stałe. Gdyby tylko zdołał nakreślić plan i go wykonać. Mógł! Musiał tylko w to wierzyć. I oczywiście wierzył.

Zawarcie umowy z Abdullahem wydawało się przesądzone. Nikt nie mógł się równać z Reliantem pod względem wielkości, a teraz mieli jeszcze ten niebywały hologram. Alan do tego doprowadzi, dostanie swoją dolę, spłaci wszystkich w Bostonie, a potem przystąpi do działania. Otworzy niewielką fabrykę, zacznie od tysiąca rowerów rocznie, a potem zwiększy produkcję. Opłaci chesne Kit z drobnej części zysków. Odprawi pośredników, spłaci resztę długu zabezpieczonego hipoteką, zdominuje świat jak olbrzym, który będzie miał dość forsy, by rzec: Pieprzę w a s i w a s, i w a s.

Pukanie do drzwi. Przywieźli śniadanie. Starte ziemniaki smażone z cebulą trafiły do jego pokoju w ciągu pięciu minut. Niemożliwe, chyba że przyrządzono je dla kogoś innego. Zdał sobie z tego sprawę, ale było mu to obojętne. Pozwolił, by kelner ustawił wszystko na stoliku na balkonie, i siedząc na dziesiątym piętrze, mrużąc oczy przed wiatrem, złożył zamaszysty podpis na rachunku. Przez chwilę czuł, że to on. Że jest tego wart. Musiał przybrać minę posiadacza, zyskać poczucie przynależności. Skoro może zjeść czyjeś smażone ziemniaki, skoro jest człowiekiem, na którym dyrekcja hotelu pragnie zrobić tak dobre wrażenie, że przysyła mu czyjeś śniadanie, to może w takim razie rzeczywiście zdoła uzyskać audiencję u króla.

III

Telefon.

– Mieliśmy problem z pierwszym kierowcą. Zadzwoniliśmy po drugiego. Jest w drodze. Powinien tu być za dwadzieścia minut.

– Dziękuję – rzekł Alan i odłożył słuchawkę.

Siedział, oddychając miarowo, dopóki znowu się nie uspokoił. Był amerykańskim biznesmenem. Nie czuł się zawstydzony. Dzisiaj mógł coś z siebie wykrzesać. Nie da się wystrychnąć na dudka.

Nie dawali Alanowi żadnych gwarancji. Król jest bardzo zajęty, pisali wielokrotnie w e-mailach i mówili przez telefon. To oczywiste, odpowiadał Alan raz po raz i stale powtarzał, że jest skłonny spotkać się w dowolnym miejscu, w terminie wybranym przez Jego Królewską Mość. Ale to nie było takie proste; nie chodziło tylko o to, że król jest zajęty, ale i o to, że królewski harmonogram szybko i często się zmieniał ze względu na to, że nie brakowało takich, którzy pragnęli wyrządzić królowi krzywdę. Nie dość zatem, że terminarz monarchy często się zmienia z uwagi na obowiązki natury państwowej, to jeszcze musi się często zmieniać dla dobra króla i królestwa. Alan dowiedział się, że Reliant, wraz z wieloma innymi oferentami zainteresowanymi świadczeniem usług w Economic City króla Abdullaha, ma przygotować swoje produkty i pokazać je w nieustalonym jeszcze miejscu, gdzieś w nadbrzeżnym sercu rodzącego się miasta, i że zostaną powiadomieni tuż przed przybyciem króla. Mogło to nastąpić lada dzień i o dowolnej porze.

– A więc to kwestia dni? Tygodni? – upewnił się.

– Tak – usłyszał w odpowiedzi.

Alan zorganizował więc tę podróż. Robił tego rodzaju rzeczy już wcześniej – pocałuj pierścień, pokaż towary i dobij targu. Zazwyczaj dało się to zrobić, jeśli miałeś odpowiednich negocjatorów i nie zadzierałeś nosa. A praca dla Relianta, największego dostawcy usług informatycznych na świecie, nie była trudna. Przypuszczalnie Abdullah chciał mieć najlepszych, a firma Reliant uważała się za najlepszą; z pewnością była największa, dwukrotnie większa od jej najgroźniejszego amerykańskiego konkurenta.

Znam pańskiego bratanka Dżalawiego, powiedziałby Alan.

A może: Jestem w bliskich stosunkach z pańskim bratankiem Dżalawim.

Dżalawi, pański bratanek, to mój stary znajomy.

Alan wiedział, że gdzie indziej znajomości już się nie liczą. Nie liczyły się w Ameryce, nie liczyły się zbytnio w innych miejscach, ale miał nadzieję, że tutaj, wśród członków rodziny królewskiej, przyjaźń ma znaczenie.

W podróż wyruszyły trzy inne osoby z Relianta, dwoje inżynierów i dyrektor marketingu – Brad, Cayley i Rachel. Mieli zademonstrować możliwości Relianta, a Alan nakreśliłby koszty. Dostarczenie usług informatycznych dla KAEC oznaczałoby co najmniej kilkaset milionów dla Relianta od razu i kolejne w przyszłości, a co ważniejsze, wygodne życie dla Alana. Może nie wygodne. Uniknąłby jednak ewentualnego bankructwa, miałby coś, z czym mógłby zakończyć karierę, a Kit zostałaby w wybranym przez siebie college'u i byłaby znacznie mniej rozczarowana życiem i swoim ojcem.

Wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się z głośnym hukiem. Ruszył pomarańczowym korytarzem.

Hotel zbudowano tak, by nic nie świadczyło o tym, że znajduje się w granicach Królestwa Arabii Saudyjskiej. W całym kompleksie,

odgrodzonym niczym twierdza od drogi i morza, nie było nic lokalnego, choćby śladu arabskich wzorów. To miejsce, wszystkie te palmy i suszona na słońcu cegła mogły znajdować się w Arizonie, w Orlando, gdziekolwiek.

Alan spojrzął w dół do atrium, dziesięć pięter niżej, gdzie kręciło się kilkudziesięciu mężczyzn, wszyscy w tradycyjnych saudyjskich strojach. Musiał zapamiętać terminologię: długie białe tuniki nazywano thawbami. Chustę okrywającą włosy i kark gutrą, a na głowie przytrzymywał ją igal, czarny krążek ze sznurka. Alan przyglądał się mężczyznom, thawby przydawały ich ruchom zwiewnej lekkości. Zjazd duchów.

Na końcu korytarza dostrzegł zamykające się drzwi windy. Podbiegł do nich i wepchnął dłoń w szparę. Drzwi cofnęły się gwałtownie, zaskoczone i skruszone. W szklanej kabinie znajdowało się czterech mężczyzn, wszyscy w thawbach i gutrach. Dwaj unieśli wzrok, ale szybko skierowali oczy z powrotem na ekran nowego tabletu, który trzymali między sobą. Jego właściciel demonstrował funkcję klawiatury i obracał urządzeniem na wszystkie strony, a przyciski posłusznie zmieniały położenie na ekranie, co sprawiało jego znajomym dużo radości.

Szklana kapsuła, która ich wszystkich mieściła, opadła przez atrium do holu cicho jak śnieg i drzwi otworzyły się na ścianę imitującą skałę. Powitała ich woń chloru.

Alan przytrzymał Saudyjczykom otwarte drzwi, nie doczekawszy się podziękowań od żadnego z mężczyzn. Wyszedł za nimi. Fontanny wyrzucały wodę w powietrze bez ładu i składu.

Usiadł w holu przy małym żeliwnym stole. Po chwili zjawił się kelner. Alan zamówił kawę.

Nieopodal siedzieli razem dwaj mężczyźni, biały i czarny, odziani w identyczne białe szaty. W swoim przewodniku Alan wyczytał, że w Arabii Saudyjskiej panuje wyraźny, wręcz otwarty rasizm, a tutaj taki obrazek. Być może nie świadczył on jeszcze o harmonii społecznej, ale tak

czy owak... Nigdy mu się nie zdarzyło, by jakiś zwyczaj lub *dictum* wymienione w przewodniku potwierdziły się w praktyce. Przekazywanie norm kulturowych przypominało informacje o warunkach na drodze. W momencie ich upublicznienia były już nieaktualne.

Ktoś stanął obok niego. Alan podniósł wzrok i ujrzał puciołowatego mężczyznę palącego bardzo cienkiego białego papierosa. Nieznajomy otworzył dłoń, jakby miał nią pomachać. Alan też pomachał, zmieszany.

– Alan? Alan Clay?

– Tak.

Mężczyzna zgniótł papierosa w szklanej popielniczce i podał Alanowi rękę. Miał długie i chude palce, miękkie niczym zamsz.

– To ty jesteś tym kierowcą? – zapytał Alan.

– Kierowcą, przewodnikiem, bohaterem. Jusuf – odparł mężczyzna.

Alan wstał. Jusuf był niski, a kremowobiały thawb nadawał jego korpulentnemu ciału kształt pingwina. Był młody, niewiele starszy od Kit. Miał okrągłą, pozbawioną zmarszczek twarz i rzadkie wąsy nastolatka.

– Pijesz kawę?

– Owszem.

– Chcesz dopić?

– Nie, w porządku.

– To dobrze. W takim razie proszę tędy.

Wyszli na zewnątrz. Upał był żywy, drapieźny.

– Tutaj – rzekł Jusuf i przeszli pośpiesznie na drugą stronę niewielkiego parkingu do wiekowego chevroleta caprice w jasnobrązowym kolorze. – To mój skarb – wyjaśnił, prezentując go niczym magik pokazujący bukiet sztucznych kwiatów.

Samochód wyglądał jak rzęch.

– Jesteś gotowy? Nie masz żadnej torby czy czegoś takiego?

Alan nie miał torby. Zwykle nosił aktówkę, notatniki, ale ani razu nie zajrzał do swoich uwag. Teraz siedział na spotkaniach i niczego nie zapisywał, a ta praktyka stała się źródłem jego siły. Ludzie zakładali, że ktoś, kto nie sporządza żadnych notatek, jest ogromnie przenikliwym gościem.

Alan otworzył tylne drzwi.

– Nie, nie – powstrzymał go Jusuf. – Ja nie jestem szoferem. Usiądź z przodu.

Alan usłuchał. Z siedzenia wzbil się obłoczek kurzu.

– Jesteś pewien, że ten gruchot nas tam dowiezie? – zapytał Alan.

– Jeżdżę nim stale do Rijadu – odparł Jusuf. – Jeszcze nigdy nie nawalił.

Jusuf wsiadł do auta i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik milczał.

– Poczekaj – rzucił i wysiadł, otworzył pokrywę silnika i zniknął pod nią. Po chwili zamknął maskę, znowu wsiadł do auta i uruchomił samochód. Silnik zakasłał, brzmiając jak echo przeszłości.

– Problem z silnikiem? – zapytał Alan.

– Nie, nie. Przed wejściem do holu odłączyłem akumulator. Muszę po prostu mieć pewność, że nikt niczego mi nie zainstaluje.

– Zainstaluje? – zapytał Alan. – Żeby go wysadzić?

– To nie ma nic wspólnego z terroryzmem – uspokoił Jusuf. – Chodzi po prostu o gościa, który myśli, że posuwam jego żonę.

Jusuf wrzucił wsteczny bieg i wycofał.

– Może próbować mnie zabić – dodał. – Jedziemy.

Opuścili rondo przed hotelem. U wylotu minęli humvee w pustynnych barwach, z zamontowanym u góry karabinem maszynowym. Obok

karabinu, na leżaku, siedział saudyjski żołnierz, mocząc stopy w dmuchanym baseniku.

– Jestem więc w samochodzie, który może eksplodować?

– Nie, przynajmniej nie teraz. Właśnie sprawdziłem. Przecież widziałeś.

– Jesteś tego pewien? Ktoś próbuje cię zabić?

– Możliwe – odparł Jusuf i wjechał na autostradę biegnącą wzdłuż morza. – Ale człowiek nigdy nie wie na pewno, dopóki do tego nie dojdzie, prawda?

– Czekałem godzinę, żeby trafił mi się kierowca, którego samochód może wylecieć w powietrze.

– Nie, nie – mruknął Jusuf, zdenerwowany. Usiłował aktywować swój iPod, jakiś starszy model, który leżał na ukos w znajdującej się między nimi obejmie na napoje. Coś szwankowało z połączeniem iPoda z aparaturą stereo. – Nie ma się czym przejmować. Nie sądzę, by wiedział, jak wysadzić samochód w ten sposób. To nie jakiś bandzior. Jest po prostu bogaty. To możliwe tylko, jeśli kogoś wynajął.

Alan patrzył na Jusufa, dopóki młodzieniec nie poskładał tego do kupy: bogacz mógł spokojnie wynająć kogoś do wysadzenia samochodu człowieka, który posuwa jego żonę.

– Kuuurwa mać – powiedział Jusuf, odwracając się do Alana. – Teraz napędziłeś mi stracha.

Alan zastanawiał się, czy nie otworzyć drzwi i nie wytoczyć się z jadącego auta. Wydawało się to bardziej roztropne niż dalsza jazda z tym człowiekiem.

Tymczasem Jusuf wyciągnął z białej paczki kolejnego cienkiego papierosa i zapalił, patrząc na drogę przed nimi spod przymrużonych powiek. Mijali właśnie długi ciąg wielkich rzeźb w cukierkowych kolorach.

– Okropne, co? – rzekł Jusuf. Zaciągnął się mocno i wydawało się, że wszelkie jego obawy przed płatnymi zabójcami zniknęły. – A więc, Alanie, skąd jesteś?

Zblazowanie Jusufa udzieliło się Alanowi, tak że i on przestał się martwić. Pingwinia sylwetka kierowcy, jego cienkie papierosy i chevy caprice sprawiały, że nie wydawał się typem człowieka, który może być przedmiotem zainteresowania zabójców.

– Z Bostonu – odparł Alan.

– Boston. Boston – rzekł Jusuf, bębniąc palcami w kierownicę. – Byłem w Alabamie. Rok w college’u.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Alan dalej rozmawiał z tym szaleńcem.

– Studiowałeś w Alabamie? Czemu akurat tam?

– Chodzi ci o to, że byłem jedynym Arabem w promieniu kilku tysięcy mil? Dostałem roczne stypendium. To było Birmingham. Domyślam się, że niezbyt podobne do Bostonu?

Alan powiedział, że Birmingham mu się podoba. Miał tam znajomych. Jusuf się uśmiechnął.

– Ten duży posąg Wulkana, co? Przeróżający.

– Owszem. Uwielbiam go – rzekł Alan.

Pobyt w Alabamie wyjaśniał zagadkę amerykańskiej angielszczyzny Jusufa. Mówił z ledwie słyszalnym saudyjskim akcentem. Nosił szyte ręcznie sandały i okulary przeciwsłoneczne marki Oakley.

Pędzili przez Dżuddę i całe miasto wyglądało na zupełnie nowe, bardzo przypominało Los Angeles. Los Angeles z burkami, powiedziała mu kiedyś Angie Healy. Przez pewien czas pracowali razem w Treku. Kolejna martwa kobieta w jego życiu. Było ich stanowczo za dużo – przyjaciółki, które stały się starymi znajomymi, a potem się zestarzały, przyjaciółki, które powychodziły za mąż, zestarzały się trochę i miały już dorosłe dzieci. Poza

tym były te nieżyjące. Zmarły wskutek pęknięcia tętniaka, na raka piersi, na chłoniaka nieziarniczego. Istne szaleństwo. Jego córka ma teraz dwadzieścia lat i wkrótce skończy trzydzieści, a niedługo po trzydziestce choroby spadają na człowieka jak deszcz.

– A więc posuwasz żonę tego gościa czy nie? – zapytał Alan.

– Ależ skąd. To moja była żona, rozwiedliśmy się dawno temu. Teraz jej się nudzi i bez przerwy wysyła mi SMS-y. Pisze do mnie na Facebooku, wszędzie. Mąż o tym wie i myśli, że mamy romans. Masz ochotę coś zjeść?

– Chodzi ci o to, że powinniśmy się zatrzymać i zjeść?

– Moglibyśmy pójść do jednego lokalu na Starym Mieście.

– Nie, dopiero co jadłem. Jesteśmy spóźnieni, pamiętasz?

– Och. Spieszymy się? Tego mi nie powiedzieli. Skoro tak, to powinniśmy jechać inną drogą.

Jusuf zawrócił i dodał gazu.

IV

Może dobrze się stało, że Kit spędzi rok w domu. Jej współlokatorka z uczelni była dziwnym okazem, dziewczyną chudą jak patyk, na wszystko zwracającą uwagę. Zauważyła, że Kit śpi niespokojnie, i wiedziała, co to oznacza, jak można temu zaradzić, znała głęboko zakorzenione przyczyny takiego zachowania. W następstwie pojawiły się pytania, podejrzenia co do różnych problemów Kit. Zauważyła maleńkie sińce na rękach Kit i chciała wiedzieć, który mężczyzna jej to zrobił. Zauważyła, że głos Kit jest wysoki, nieco cienki, prawie dziecięcy, a to często, wyjaśniła, oznaka molestowania seksualnego w dzieciństwie, głos ofiary nie zmienia się po takiej traumie. Czy zauważyłaś kiedyś, że masz dziecięcy głos?

– Często to robisz? – zapytał Alan.

– Wożę ludzi? To zajęcie na boku. Uczę się.

– Czego?

– Życia! – odparł Jusuf i się roześmiał. – Nie, nabijam się z ciebie. Biznesu, marketingu. Tego rodzaju spraw. Sam nie wiem dlaczego.

Minęli rozległy plac zabaw i Alan po raz pierwszy zobaczył saudyjskie dzieci. Siedmioro lub ośmioro, wiszące na drabinkach i wspinające się na zjeżdżalnie. Towarzyszyły im kobiety w czarnych jak smoła burkach. Bywał już wśród kobiet w burkach, ale widok tych cieni poruszających się za maluchami po placu zabaw przyprawił go o dreszcze. Czyż uciekanie przed biegnącą z rozłożonymi rękami postacią w powłóczystej czarnej szacie nie jest sceną z koszmaru? Alan nie miał jednak żadnej wiedzy na ten temat i nic nie powiedział.

- Jak długo będziemy jechali? – zapytał.
 - Do Economic City króla Abdullaħa? To tam zmierzamy?
- Alan milczał. Jusuf się uśmiechał. Tym razem też żartował.
- Około godziny. Moħe nieco dłuħej. O której miaħeś być?
 - O ósmej. Ósmej trzydzieści.
 - Cóż, bħdziesz w poħudnie.

– Lubisz Fleetwood Mac? – zapytał Jusuf. Przygotował swój iPod do pracy (wyglądał tak, jakby przez stulecia leħał zagrzebany w piachu) i teraz przeglądał tytuły zapisanych na nim piosenek.

Wyjeħali z miasta i niebawem znaleźli się na drodze prosto jak strzała biegnącej przez pustynię. Nie była piękna. Nie miała wydm. Była niemiłosiernie płaska. Przecinała ją brzydka autostrada. Auto Jusufa mijalo cysterny i ciężarówki. Od czasu do czasu w oddali ukazywała się mała wioska z szarego betonu, labirynt ścian i plątanina przewodów elektrycznych.

Alan i Ruby jechali kiedyś przez Stany Zjednoczone, z Bostonu do Oregonu, na ślub przyjaciela. Korzystali z niedorzecznej moħliwości dostępnej, zanim pojawią się dzieci. Podczas jazdy kłócili się wielokrotnie, bardzo gwałtownie, głównie o byłych. Ruby chciała opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami o swoich. Chciała, ĳeby Alan wiedział, dlaczego od nich odeszła i wybrała jego, a jemu nie było to do niczego potrzebne. Czy czysta karta to zbyt wygórowane oczekiwanie? *Przestań, proszħ, bħgał.* Mówiła dalej, upajając się swą opowieścią. *Dość, dość, dość!* – ryknął w końcu i od Salt Lake City aħ do Oregonu nie padło między nimi ani jedno słowo. Kaħdy kilometr ciszy dodawał mu sił i jak przypuszczał, zwiħkszał jej szacunek dla niego. Milczenie i wojowniczość stanowiły jego jedyną broń przeciwko Ruby; od czasu do czasu podtrzymywał wiħc ponure napięcie. Nigdy wcześniej nie był tak uparty, jak przy niej. Pod taką

postacią spędził z nią sześć lat – był wybuchowy, zazdrosny i nieustępliwy. Nigdy nie czuł tak mocno, że żyje.

Jusuf zapalił kolejnego papierosa.

– Niezbyt męska marka – zauważył Alan.

Jusuf się zaśmiał.

– Próbuję rzucić, więc przeszedłem z papierosów normalnej wielkości na te. Są dwa razy cieńsze. Mniej nikotyny.

– Za to bardziej gustowne.

– Gustowne. G u s t o w n e. Podoba mi się to określenie. Owszem, są gustowne.

Jedna z dwóch jedynek Jusufa biegła na ukos, zachodząc na drugą. Nadawało to jego uśmiechowi wyraz szczególnego rodzaju szaleństwa.

– Nawet pudełko – dodał Alan. – Przyjrzyj mu się.

Pudełko było srebrzysto-białe i maleńkie, przypominało miniaturowego cadillaca z owadzim alfonsem za kółkiem.

Jusuf otworzył schowek, wrzucił do niego papierosy i zapytał:

– Teraz lepiej?

Alan się roześmiał.

– Dziękuję.

Milczeli przez dziesięć minut.

Alan zastanawiał się, czy ten człowiek rzeczywiście wiezie go do Economic City. Czy aby nie jest czarującym porywaczem.

– Lubisz dowcipy? – zapytał.

– Masz na myśli dowcipy, które się zapamiętuje i opowiada?

– Tak – potwierdził Alan. – Właśnie takie.

– Tego rodzaju dowcipy... nie są w stylu Saudyjczyków. Ale słyszałem kilka. Jeden Brytyjczyk opowiedział mi kawał o królowej i dużym kutasie.

Ruby nie znosiła dowcipów. *Są takie żenujące*, mówiła po każdym wieczorze poza domem, gdy opowiedział jeden lub dziesięć. Alan znał ich setki i wszyscy jego znajomi o tym wiedzieli.

Kiedyś został nawet poddany próbie – kilka lat temu grupa przyjaciół kazała mu opowiadać kawały przez dwie godziny bez przerwy. Myśleli, że w tym czasie wyczerpie ich zasób, ale on dopiero się rozkręcał. Nie miał pojęcia, dlaczego pamiętał ich aż tyle. Ilekroć jednak kończył jeden, przypominał mu się następny. Pamięć nigdy go nie zawiodła. Każdy dowcip był związany z kolejnym niczym sznur chustek iluzjonisty.

– Nie bądź takim prostakiem. Zachowujesz się niczym jakiś artysta rewiowy. Nikt już tak nie opowiada kawałów.

– Ja opowiadam.

– Ludzie opowiadają kawały, gdy nie mają nic do powiedzenia – zauważyła.

– Ludzie opowiadają kawały, gdy już wszystko zostało powiedziane – odparł.

Tak naprawdę tego nie powiedział. Myślał o tym wiele lat później, ale wtedy on i Ruby już ze sobą nie rozmawiali.

Jusuf zabębnił palcami w kierownicę.

– W porządku – rzekł Alan. – Mąż pewnej kobiety zachorował. Przez kilka miesięcy zapadał w śpiączkę i gdy się z niej budził, ona każdego dnia siedziała przy jego łóżku. Gdy znowu się obudził, dał jej znak, żeby się zbliżyła. Kobieta podchodzi i siada obok. Głos mężczyzny jest słaby. Chwyta ją za rękę. „Wiesz co? – mówi. – Byłaś ze mną we wszystkich złych chwilach. Gdy mnie zwolnili, wspierałaś mnie. Gdy moja firma podupadła, byłaś przy mnie. Gdy straciliśmy dom, znowu mnie wspierałaś. Gdy zdrowie zaczęło mi szwankować, wciąż byłaś przy mnie... Wiesz co?” „Co, kochanie?” – pyta łagodnie żona. „Chyba przynosisz mi pecha!”

Jusuf parsknął i zakaszłał. Musiał zgasić papierosa.

– Dobrze. Tego się nie spodziewałem. Znasz jeszcze jakieś?

Alan był głęboko wdzięczny. Od wielu lat nie opowiadał dowcipu młodemu człowiekowi, który umiał to docenić.

– Znam – odparł Alan. – Pomyślmy... O, ten jest dobry. Pewien człowiek nazywał się Dziwny. Jan Dziwny. Nie znosił swojego nazwiska. Ludzie stale się z niego naigrawali, nazywali go i jego żonę „Dziwną parą”, cokolwiek mówił, twierdzono, że „wydziwia”, i tak dalej. Facet starzeje się i sporządza testament. A w testamencie zastrzega, że nie chce, by po jego śmierci na płycie nagrobnej umieszczono jego nazwisko. Chce po prostu, żeby pochowali go w nieoznaczonym grobie z gładką płytą, bez żadnych napisów. Umiera zatem i wdowa spełnia jego życzenie. Leży więc sobie w tym nieoznaczonym grobie, ale ilekroć ktoś przechodzi obok i widzi nieoznaczony grób, słycać słowa: „Spójrz, czyż to nie dziwne?”.

Jusuf popłakał się ze śmiechu.

Ten facet bardzo przypadł Alanowi do gustu. Nawet Kit, córka Alana, kręciła błagalnie głową, ilekroć próbował zaserwować jakiś dowcip.

Kontynuował:

– Dobra. A teraz zagadka. Jak nazywa się gość, który zna czterdzieści osiem sposobów uprawiania seksu, ale nie zna żadnych dziewczyn?

Jusuf wzruszył ramionami.

– Konsultant.

Jusuf uśmiechnął się i powiedział:

– Niezłe. Konsultant. To ty.

– To ja – przyznał Alan. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Minęli niewielki park rozrywki. Był pomalowany na jaskrawe kolory, lecz sprawiał wrażenie opuszczonego. Różowo-żółte diabelskie koło stało

samotnie, spragnione dzieci.

Alan przypomniał sobie jeszcze jeden dowcip.

– W porządku, ten będzie lepszy. Pewien policjant właśnie przyjechał na miejsce okropnego wypadku samochodowego. Wszędzie leżą fragmenty ciała, tu ręka, tam noga. Opisując to wszystko, natrafia na głowę. Pisze w notesie: „Głowa na krawenrzniku”, ale po przeliterowaniu „k-r-a-w-e-n” wie, że zrobił błąd. Przekreśla więc słowo i próbuje jeszcze raz. „Głowa na krawężniku”. Znowu przeliterował i doszedł do wniosku, że nadal jest nieprawidłowo. Przekreśla więc to, co napisał, i podejmuje kolejną próbę. „Głowa na krawęższniku”. „Niech to szlag!” – mówi, rozgląda się i widzi, że nikt nie patrzy. Trąca głowę stopą i znowu bierze się do notowania. „Głowa na jezdni”.

– Dobry – stwierdził Jusuf, ale się nie roześmiał.

Przez kilka kilometrów jechali w milczeniu. Krajobraz wokół był płaski i pusty. Wybudowanie czegokolwiek na takiej bezkresnej pustyni stanowiło akt narzucenia nieskrępowanej woli terytorium nienadającemu się do zamieszkania.

Ciało Charliego, gdy wyciągnięto je z jeziora, wyglądało niczym jakieś szczątki. Charlie miał na sobie czarną wiatrówkę i w pierwszej chwili Alan myślał, że to sterta liści zawinięta w plandekę. Tylko jego ręce miały wyraźnie ludzki wygląd.

– Jestem wam do czegoś potrzebny? – zapytał policjantów.

Nie był. Policjanci wszystko widzieli. Czternastu policjantów i strażaków przyglądało się przez pięć godzin, jak Charlie Fallon umiera w jeziorze.

V

– Po co więc tam jedziesz?

– Dokąd?

– Do KAEC.

Jusuf wymówił tę nazwę jak „keks”. Dobrze wiedzieć, pomyślał Alan.

– Do pracy – wyjaśnił Alan.

– Branża budowlana?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Pomyślałem, że pomagasz im zacząć. Tam nic się nie dzieje. Niczego nie budują.

– Byłeś tam?

Alan zakładał, że usłyszy potwierdzenie. To musiało być największe przedsięwzięcie w pobliżu Dżuddy, więc Jusuf na pewno je widział.

– Nie – zaprzeczył kierowca.

– Dlaczego?

– Tam nic nie ma.

– Jeszcze nie ma – poprawił go Alan.

– N i g d y nie będzie.

– N i g d y?

– Nie zrealizują tego – rzekł Jusuf. – Przegrana sprawa.

– Co? Nieprawda. Od wielu miesięcy zbieram informacje na ten temat. Posuwają się naprzód pełną parą.

Jusuf odwrócił się do Alana i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, setnie ubawiony.

– Poczekaj, aż tam dojedziemy – powiedział i zapalił kolejnego papierosa. – Naprzód pełną parą? Jezu drogi....

Jak na zawołanie ich oczom ukazał się billboard z reklamą powstającego miasta. Jakaś rodzina stała na tarasie, za nimi nienaturalny zachód słońca. Mężczyzna był Saudyjczykiem, przedsiębiorcą z telefonem komórkowym w jednej dłoni i gazetą w drugiej. Kobieta, podająca śniadanie mężowi i dwojgu przejętych dzieci, nosiła hidżab, skromną bluzkę i spodnie. Pod zdjęciem widniał napis ECONOMIC CITY KRÓLA ABDULLAHA: WIZJA JEDNEGO CZŁOWIEKA, NADZIEJA JEDNEGO NARODU.

Alan wskazał na billboard.

– Uważasz, że tego nie zrealizują?

– Co ja tam wiem? Wiem tylko, że jeszcze niczego nie zrobili.

– A Dubaj? Dubaj przecież zbudowano.

– To nie Dubaj.

– Nie może się nim stać?

– Nie stanie się. Jakie kobiety zechcą tu przyjeżdżać? Nikt nie przeprowadza się do Arabii Saudyjskiej, jeśli nie musi, nawet do różowych domów nad morzem.

– Kobieta na billboardzie wydaje się postępową – zauważył Alan.

Jusuf westchnął.

– Mówią, że taka jest idea. A raczej nie mówią, ale dają do zrozumienia, że w KAEC kobiety będą miały więcej swobód. Będą mogły swobodniej nawiązywać znajomości z mężczyznami i prowadzić samochód. Tego rodzaju sprawy.

– Czy to nie dobrze?

– Jeśli tak się stanie, być może. Ale się nie stanie. Kiedyś mogło się stać, ale forsa się skończyła. Emaar jest bankrutem. W Dubaju zanosi się na plajtę. Wszystko było przeszacowane i obecnie są bez pieniędzy. Mają długi

na całym świecie i teraz KAEC to przegrana sprawa. Przegrana na całej linii. Zobaczysz. Znasz jeszcze jakieś dowcipy?

Alan był zaniepokojony, ale starał się nie traktować słów Jusufa zbyt poważnie. Wiedział, że w Arabii Saudyjskiej i gdzie indziej nie brakuje krytyków. Emaar, firma deweloperska o globalnym zasięgu, która zbudowała znaczną część Dubaju, miała kłopoty, padła ofiarą pęknięcia bańki spekulacyjnej i wszyscy wiedzieli, że bez osobistego zaangażowania króla Abdullaha i jego gotówki KAEC wpadnie w tarapaty. Ale oczywiście król wyłoży pieniądze. Oczywiście zagwarantuje, że projekt ruszy naprzód. Przecież w jego nazwie było imię władcy. To jego dziedzictwo. Królewska дума nie pozwoli mu dopuścić, by całe zamierzenie skończyło się fiaskiem. Alan przedstawił te argumenty Jusufowi, próbując przekonać również siebie.

– A jeśli umrze? – zapytał Jusuf. – Ma osiemdziesiąt pięć lat. Co wtedy?

Alan nie znał odpowiedzi. Chciał wierzyć, że coś takiego, jak powstanie miasta z prochu, może się zdarzyć. Projekty architektoniczne, które widział, były wspaniałe. Lśniące wieżowce, wysadzone drzewami place i promenady, ciąg kanałów umożliwiający dojeżdżającym do pracy dotarcie niemal wszędzie łodzią. Miasto było futurystyczne i romantyczne, a zarazem praktyczne. Można było je zbudować przy użyciu istniejącej technologii i sporych pieniędzy, ale te Abdullah z pewnością miał. Zagadką było, dlaczego nie wyłożył ich sam, bez Emaara. Ten człowiek miał dostatecznie dużo forsy, by wznieść to miasto z dnia na dzień – czemu więc tego nie zrobił? Czasem król musiał być królem.

Tablica przed nimi wskazywała zjazd do Economic City króla Abdullaha. Jusuf zwrócił się do Alana z czołem zmarszczonym w wyrazie udawanego dramatyzmu.

– No i jedziemy. Całą parą naprzód!

Zjechali z autostrady i skierowali się w stronę morza.

– Jesteś pewien, że to właściwa droga? – zapytał Alan.

– Przecież właśnie tam chciałeś jechać – odparł Jusuf.

Alan nie dostrzegł żadnej tablicy z nazwą przyszłego miasta.

– Cokolwiek to jest, jest tam – wyjaśnił kierowca, wskazując przed siebie. Droga była nowa, ale przecinała całkowitą pustkę. Przejechali półtora kilometra, zanim dotarli do skromnej bramy, dwóch kamiennych łuków nad jezdnią, zwieńczonych wielką kopułą. Jakby ktoś zbudował drogę przez bezwstydną pustynię, po czym postawił gdzieś pośrodku bramę, aby zasugerować koniec jednej rzeczy i początek drugiej. Ten widok budził nadzieję, ale nie przekonywał.

Jusuf zatrzymał się i opuścił szybę. Dwóch strażników w niebieskich mundurach polowych, z zawieszonymi na ramionach karabinami, zbliżyło się ostrożnie i obeszło samochód dookoła. Wyglądali na zaskoczonych widokiem ludzi, a tym bardziej dwóch mężczyzn w trzydziestoletnim chevroletcie.

Jusuf przemówił do nich, a wspominając o swoim pasażerze, wskazał w prawo ruchem brody. Strażnicy się pochyłili, żeby zobaczyć Amerykanina na fotelu obok kierowcy. Alan uśmiechnął się profesjonalnie. Jeden ze strażników powiedział coś do Jusufa, a ten odwrócił się do Alana.

– Twój dowód tożsamości.

Alan wręczył mu paszport. Strażnik zniknął w biurze. Wrócił, oddał paszport Jusufowi i ruchem ręki kazał im przejechać.

Za punktem kontrolnym droga się rozdzielała. Pas rozdzielczy porastała spalona słońcem i walcząca o przetrwanie trawa; przy życiu utrzymywali ją dwaj mężczyźni w jednoczęściowych kombinezonach, którzy podlewali trawnik wodą z węża.

– Domyślam się, że to nie są członkowie związku – rzekł Alan.

Jusuf uśmiechnął się ponuro.

– Pewnego dnia słyszałem w sklepie ojca, jak jeden gość powiedział: „Nie mamy tutaj związków. Mamy Filipińczyków”.

Jechali dalej. Na trawniku pasa rozdzielczego pojawił się rząd świeżo zasadzonych palm, niektóre nadal owinięte tkaniną workową. Mniej więcej co dziesięć drzew widać było przytwierdzone do słupów latarni bannery ukazujące, jak miasto będzie wyglądało po ukończeniu. Jeden przedstawiał schodzącego z jachtu człowieka w thawbie i z teczką w ręce; witało go dwóch mężczyzn w czarnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Na innym jakiś mężczyzna wymachiwał o świcie kijem golfowym, a obok stał chłopak noszący za nim kije – przypuszczalnie kolejny Azjata z południa. Był też namalowany aerografem obraz wspaniałego nowego stadionu. Widok z lotu ptaka na nabrzeże z położonymi wzdłuż niego ośrodkami wczasowymi. Zdjęcie kobiety pomagającej synowi w obsłudze laptopa. Nosila hidżab, ale poza tym była ubrana w zachodnim stylu, wszystko w lawendowych barwach.

– Po co reklamowaliby tego rodzaju swobody, gdyby szczerze nie pragnęli ich wprowadzić? – zapytał Alan. – Ryzyko wkurzenia konserwatystów, które podejmuje Abdullah, jest całkiem spore.

Jusuf wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Na ludziach takich jak ty to robi wrażenie, więc może jest skuteczne.

Droga zrobiła się prosta i znowu przecinała pozbawioną wyrazu i cech charakterystycznych pustynię. Mniej więcej co sześć metrów stały latarnie uliczne, ale poza tym nie było niczego, wszystko przypominało niedawno opuszczoną bazę na Księżycu.

Po przejechaniu kolejnego kilometra z kawałkiem w kierunku morza znowu pojawiły się drzewa. Grupy robotników, niektórzy byli w kaskach,

niektórzy w chustach na głowach, tłoczyły się pod palmami. Droga kończyła się kilkaset metrów od wody, w miejscu, gdzie stało kilka budynków wyglądających niczym stare płyty nagrobne.

– W zasadzie to wszystko – rzekł Jusuf.

Wiał silny wiatr i nad ulicą snuł się niczym mgła pustynny pył. Mimo to dwóch mężczyzn zamiatało jezdnię.

Jusuf wskazał na nich i się roześmiał.

– Na to właśnie idą pieniądze. Zamiatają piasek na pustyni.

VI

Jak dotąd całe miasto składało się z trzech budynków. Był tam pastelworóżowy blok mieszkalny, w zasadzie wykończony, ale chyba pusty. Było piętrowe centrum informacji, nieco śródziemnomorskie w stylu, otoczone fontannami, z których większość nie działała. Był także szklany biurowiec liczący około dziesięciu pięter, szeroki, kanciasty i czarny. Na przymocowanej do fasady tablicy widniał napis „7/24/60”.

Jusuf wyjaśnił lekceważąco:

– To oznacza, że przyjmują klientów codziennie, o każdej godzinie, bez przerwy, w co bardzo wątpię.

Zaparkowali przed niskim centrum informacji usytuowanym tuż przy plaży. Budynek zdobiły kopałki i minarety. Gdy wysiedli z auta, powitał ich piekielny skwar. Temperatura przekraczała czterdzieści trzy stopnie.

– Chcesz pójść ze mną? – zapytał Alan.

Jusuf stał przed budynkiem, jakby oceniał, czy cokolwiek w środku jest warte jego czasu.

– Dopisz to do rachunku – zaproponował Alan.

Jusuf wzruszył ramionami.

– Może być zabawnie.

Drzwi rozchyliły się automatycznie na zewnątrz i ukazał się w nich jakiś mężczyzna w błyszczącym białym thawbie.

– Pan Clay! Spodziewaliśmy się pana. Jestem Sajid.

Jego twarz była chuda, wąs szeroki. Miał małe roześmiane oczy.

– Przykro mi, że nie zdążył pan na mikrobus. Rozumiem, że obsługa hotelu trudno było pana dobudzić.

– Przepraszam za spóźnienie – odparł Alan ze spokojem w oczach.

Sajid uśmiechnął się serdecznie.

– Król dzisiaj nie przyjedzie, więc pańska opieszałość jest bez znaczenia. Zechce pan wejść do środka?

Znaleźli się w mrocznym i chłodnym budynku.

Alan rozejrzał się i zapytał:

– Zespół Relianta jest tutaj czy...

– Są w części prezentacyjnej – odparł Sajid i machnął ręką w stronę plaży. Mówił z brytyjskim akcentem. Alan słyszał, że wszyscy ci funkcjonariusze wysokiego szczebla w Królestwie kształcili się na najlepszych uniwersytetach w Stanach i Wielkiej Brytanii. Podejrzewał, że ten gość trafił do St. Andrews. – Pomyślałem jednak, że pana oprowadzę – rzekł Sajid. – Czy to panu odpowiada?

Alan czuł, że powinien przynajmniej skonsultować się z zespołem, ale nie powiedział tego. Wydawało się, że obchód w niczym nie zaszkodzi i powinien trwać krótko.

– Oczywiście. Zróbmy to.

– Doskonale. Trochę soku?

Alan skinął głową. Sajid się odwrócił i kolejny pomocnik podał mu kieliszek soku pomarańczowego, który wręczył Alanowi. Naczynie było kryształowe, przypominało kielich mszalny. Alan przyjął sok i ruszył za nimi przez hol pełen łuków i obrazów przyszłego miasta do dużego pokoju, którego większą część zajmowała olbrzymia, sięgająca pasa makieta architektoniczna.

– To mój współpracownik, Mudzaddid – rzekł Sajid, wskazując jeszcze jednego mężczyznę, który stał przy ścianie w czarnym garniturze.

Mudżaddid miał około czterdziestki, był mocno zbudowany i gładko ogolony. Skinął głową.

– A oto miasto po całkowitym zakończeniu prac – wyjaśnił Sajid.

Teraz pałeczkę przejął Mudżaddid.

– Panie Clay, przedstawię panu marzenie króla Abdullaha.

Wszystkie małe budynki na makiecie, każdy wielkości kciuka, były kremowe, a między nimi wiły się skręcające łagodnie białe ulice. Miasto tworzyły drapacze chmur, fabryki i drzewa, mosty i kanały żeglowne oraz tysiące domów.

Alan miał zawsze słabość do takich makiet, podobnych idei, planów trzydziestoletnich, rzeczy powstających z niczego – chociaż jego własne doświadczenia z urzeczywistnieniem tego rodzaju wizji nie były zbyt pozytywne.

Kiedyś zlecił wykonanie makiety. Myśl o tym wzbudziła w nim ukłucie żalu. Fabryka w Budapeszcie to nie był jego pomysł, ale zapalił się do tego zadania, sądząc, że to krok ku wspanialszym rzeczom. Ale przekształcenie fabryki z czasów sowieckich w będący własnością Schwinna kapitalistyczny model efektywności było szaleństwem. Wysłano go na Węgry, by zajął się tym projektem, sprowadził produkcję amerykańskich rowerów do wschodniej Europy, otworzył Schwinnowi dostęp do rynków na całym kontynencie.

Alan zamówił makietę, urządził wielkie otwarcie, nadzieje były olbrzymie. Może dałoby się wysyłać węgierskie rowery poza Europę. Może nawet z powrotem do Stanów. Koszty robocizny byłyby znikome, fachowe umiejętności wysokie. Takie były założenia.

Ale plany legły w gruzach. Fabryka nigdy nie ruszyła pełną parą, pracowników nie dawało się przeszkolić, byli niewydajni, a Schwinn nie miał dość kapitału, by właściwie zmodernizować park maszyn. Kolosalne

niepowodzenie; odtąd dni Alana jako człowieka, który potrafi realizować cele, były w firmie policzone.

A jednak patrząc teraz na tę makietę, Alan miał wrażenie, że to miasto może naprawdę powstać, że za pieniądze Abdullaha p o w s t a n i e. Sajid i Mudżaddid gapili się na nią wraz z nim, wyglądając na równie jak on zafascynowanych, gdy objaśniali różne etapy budowy. Miasto, oznajmili, zostanie wzniesione do 2025 roku, będzie liczyło półtora miliona mieszkańców.

– Imponujące – przyznał Alan. Poszukał wzrokiem Jusufa, który przechadzał się po holu. Zwrócił na siebie uwagę kierowcy i zachęcił do wejścia do pokoju, ale Jusuf pokręcił szybko głową, odrzucając ten pomysł.

– To miejsce, gdzie jesteśmy w tej chwili – rzekł Mudżaddid.

Mężczyzna wskazał ruchem głowy na budynek bezpośrednio pod jego nosem; wyglądał dokładnie jak ten, w którym stali, tyle że był wielkości winogrona. Na makiecie stał na długiej promenadzie biegnącej wzdłuż nabrzeża. Nagle na jego pierwszym pięttrze pojawiła się czerwona plamka laserowego światła, jakby jakiś pojazd kosmiczny obrał budynek na cel zniszczenia.

Alan dopił sok i nie miał gdzie odstawić kieliszka. W pokoju nie było stołu, a człowiek z tacą zniknął. Otarł rękawem dno podstawy kieliszka i postawił go na powierzchni czegoś, co uznał za Morze Czerwone, niecały kilometr od brzegu. Sajid uśmiechnął się grzecznie, wziął kieliszek i wyszedł z pokoju.

Mudżaddid uśmiechnął się ponuro i zapytał:

– Obejrzymy film?

Alana i Jusufa zaprowadzono do wysokiej sali wystawowej, lśniącej od lusterek i złocień, gdzie naprzeciwko olbrzymiego, zakrywającego całą ścianę

ekranu stały ustawione w rzędach żółte kanapy. Usiedli i w sali zrobiło się ciemno.

Rozległ się głos kobiety mówiącej z brytyjskim akcentem i skracającej samogłoski:

„Natchnieni przykładnym przywództwem i dalekosiężną wizją króla Abdullaha – ukazała się wygenerowana komputerowo wersja makiety miasta, ożywiona teraz i jarząca się nocą; kamera przesunęła się w dół po wspaniałym górskim paśmie z czarnego szkła i świateł – przedstawiamy narodziny następnego wspaniałego ekonomicznego miasta na świecie...”

Alan spojrział na Jusufa. Chciał, żeby młody Saudyjczyk był pod wrażeniem. Ten film musiał kosztować miliony. Jusuf przeglądał SMS-y w swoim telefonie.

„... żeby zdywersyfikować największą gospodarkę na Bliskim Wschodzie...”

Niebawem w KAEC, na poziomie ulic, nastał dzień i w kanałach miasta pojawiły się motorówki, biznesmeni wymieniali uściski dłoni nad wodą, do portów zawijały kontenerowce, z których przypuszczalnie ekspediowano w świat liczne towary wytwarzane w KAEC.

„Arabska współpraca...”

Pojawiły się flagi Jordanii, Syrii, Libanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W filmie znalazł się fragment o planowanym meczecie, który mógł pomieścić dwieście tysięcy wiernych. Krótkie ujęcie sali wykładowej jakiegoś college’u, kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej.

„Miasto, które nie zasypia...”

Port mogący obsłużyć dziesięć milionów kontenerów na rok. Specjalny terminal, gdzie można było przyjąć trzysta tysięcy pielgrzymów na sezon. Olbrzymi kompleks sportowy, który otwierał się niczym muszla małża.

Teraz Jusuf okazał zainteresowanie. Nachylił się do Alana i powiedział:
– Stadion w kształcie waginy. Niezłe.

Alan się nie roześmiał. Kupił to. Film był spektakularny. Patrzył na najwspanialsze miasto od czasów przebudowy Paryża. Dostrzegł, jaką rolę w tym wszystkim może odegrać Reliant: transmisja danych, wideo, telefony, usieciowiony transport, znakowanie RFID do spedycji kontenerów, technologia informatyczna w szpitalach, szkołach i salach sądowych. Możliwości były nieograniczone, wykraczały nawet poza to, co wyobrażał sobie Ingvall lub ktokolwiek inny. W końcu film osiągnął apogeum, gdy kamera wzbiła się w powietrze, by ukazać całe Economic City króla Abdullaha nocą, roziskrzone, z rozkwitającymi na niebie fajerwerkami.

Rozbłysły światła.

Znowu byli w sali wystawowej z lustrami i żółtymi kanapami.

– Niezłe? – upewnił się Mudzaddid.

– Całkiem niezłe – odparł Alan.

Zwrócił się do Jusufa, którego twarz była pozbawiona wyrazu. Jeśli miał w zanadrzu jakiś dowcip, a na to wyglądało, żywił wątpliwości; dobrze wiedział, że nie należy tego okazywać teraz, w tym pokoju, przy zapalonych światłach.

– Obejrzyjmy makietę dzielnicy przemysłowej – zaproponował Sajid.

Wkrótce znaleźli się w pokoju pełnym rysunków fabryk, magazynów, załadowywanych i rozładowywanych ciężarówek. Pomysł, wyjaśnił Sajid, polegał na tym, że produkcja tworzyw sztucznych, zabawek, a nawet pieluch ma odbywać się z wykorzystaniem produktów przeróbki saudyjskiej ropy i być wysyłana na cały Bliski Wschód. Może też do Europy i Stanów Zjednoczonych.

– Rozumiem, że przez pewien czas był pan w branży wytwórczej? – rzekł Sajid.

Alan nie wiedział, co powiedzieć.

– Zbieramy informacje, panie Clay. A w dzieciństwie miałem schwinna. Przez blisko pięć lat mieszkałem w New Jersey. Gdy studiowałem biznes, firma Schwinn była przedmiotem jednej z naszych analiz.

Zawsze te analizy przypadku. Alan uczestniczył w kilku, ale po jakimś czasie stało się to zbyt przygnębiające. Pytania od tych przemądrzałych studentów udających przebojowych, szczerych, młodych ludzi. Dlaczego nie przewidzieliście popularności rowerów BMX? A rowery górskie? Wykończyli was na tym polu. Czy wyprowadzenie całej produkcji do Chin było błędem? Padały z ust dzieciaków, których doświadczenie biznesowe sprowadzało się do koszenia latem trawy. Jak wasi dostawcy stali się waszymi konkurentami? Pytanie retoryczne. Chcesz obniżyć koszt jednostkowy, produkujesz w Azji, ale dość szybko przestajesz być potrzebny swoim dostawcom, prawda? Naucz człowieka łowić ryby. Teraz Chińczycy potrafią to robić i dziewięćdziesiąt dziewięć procent rowerów powstaje tam, w jednej prowincji.

– Przez pewien czas było ciekawie – ciągnął Sajid. – Schwinny produkowano w Chicago, Raleigh'e w Anglii, były rowery włoskie, francuskie.... Przez jakiś czas mieliście prawdziwą międzynarodową konkurencję, dzięki której wybieraliście między bardzo różnymi produktami pochodzącymi z krajów o bardzo zróżnicowanym dziedzictwie technologicznym, budzącymi różne uczucia i wytwarzanymi różnymi metodami...

Alan pamiętał te pomyślne dni. Ranki spędzał w fabryce, przyglądając się setkom rowerów ładowanych na ciężarówki, mieniących się w słońcu kilkunastoma jaskrawymi kolorami. Potem wsiadał do samochodu, ruszał na południe stanu i po dwunastej był już w Mattoon, Rantoul lub Alton i kontrolował jakieś przedstawicielstwo handlowe. Widział, jak do sklepu wchodzi rodzina, mama i tata kupują swojej dziesięcioletniej córce model World Sport, dziewczynka dotyka roweru jak jakiejś świętości. I Alan,

i sprzedawca, i rodzice wiedzieli, że ów rower został wykonany ręcznie trzysta kilometrów na północ przez oszałamiający swą różnorodnością zespół robotników, składających się w większości z imigrantów – Niemców, Włochów, Szwedów, Irlandczyków, mnóstwa Japończyków i oczywiście masy Polaków – i że ten rower starczy w zasadzie na całe wieki. Dlaczego to miało znaczenie? Dlaczego liczyło się to, że zrobiono je właśnie przy autostradzie numer 57? Trudno powiedzieć. Ale Alan był dobry w swoim fachu. Nie tak trudno było sprzedać coś takiego, coś solidnego, co będzie nierozzerwalnie związane z tysiącem wspomnień z dzieciństwa.

– Cóż, to już nie wróci – odparł Alan, mając nadzieję, że zakończył temat.

Sajid wyprowadził go z błędu.

– Teraz to kwestia umieszczenia różnych naklejek na identycznych rowerach. Wszystkie powstają w kilku tych samych fabrykach... każda marka, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Alan nie miał wiele do powiedzenia. Zgadzał się z Sajidem. Chciał kontynuować obchód, ale drzemiący w Sajidzie student przedsiębiorczości głęboko analizował wybrany przypadek.

– Czy kiedykolwiek ma pan wrażenie, że mógł to zrobić inaczej?

– Ja? Osobiście?

– Cóż, w roli, którą pan odgrywał. Czy to mogło potoczyć się inaczej? Istniał jakiś sposób, dzięki któremu Schwinn mógłby przetrwać?

M ó g ł b y. M ó g ł b y. Alan przeanalizował to słowo. Zatłukłby tego faceta, gdyby znowu to powiedział.

Sajid czekał na odpowiedź.

– To skomplikowana sprawa – wymamrotał Alan.

Wcześniej też zadawano mu takie pytania. Ludzie tęsknili za Schwinnem. Myśleli, że wszystko roztrwonila banda kierujących branżą

idiotów, takich jak on. Jak firma taka jak Schwinn, do której przez prawie osiemdziesiąt lat należała większość amerykańskiego rynku, mogła splajtować, zostać sprzedana za grosze? Jak to możliwe? Cóż, czy mogło być inaczej? Ludzie stojący za Schwinnem próbowali dalej produkować rowery w Stanach. Według niektórych był to błąd numer jeden. Zostali w Chicago do roku 1983. Alan miał ochotę potrząsnąć tym kutasem z tytułem MBA. Wiesz, jak ciężko było wytrzymać nawet do tego czasu? Robić rowery, bardzo skomplikowane i pracochłonne maszyny, w chicagowskim West Side, w liczącej sto lat fabryce, do 1983 roku?

– Alanie?

Alan uniósł wzrok. To był Jusuf.

– Obchód rusza dalej. Dołączysz? Zechciałbyś to zrobić?

Sajid stał na końcu holu.

– Chodźmy na górę – zaproponował.

Dwa biegi schodów i znaleźli się nad powstającym miastem. Sala obserwacyjna zapewniała widoki na wszystkie strony świata i Alan zaczął przechodzić od okna do okna. Owszem, miasto było w budowie, ale z tego punktu obserwacyjnego wyglądało pięknie. Teraz miało to sens. Morze Czerwone było turkusowe, lekka zmarszczka utworzona na jego powierzchni przez delikatny wiatr przyprowadziła falę. Piasek był niemal biały, bardzo drobny. Wyłożona płytami promenada, wijąc się jak wąż, znikwała w oddali i oddzielała nabrzeże od różowego budynku mieszkalnego, a Alan dostrzegł teraz fundamenty pod co najmniej kilka następnych. Palmy zasadzono na całym obszarze zabudowy i rosły wzdłuż najbliższego czystego i błękitnego jak niebo kanału, którym płynęła woda z morza i który przecinał miasto w drodze na wschód. To, co z okien samochodu wydawało się całkowitym fiaskiem, teraz sprawiało wrażenie całkowicie celowego działania. Miejsce tętniło życiem, wszędzie kręcili się robotnicy w kolorowych kombinezonach, budowa posuwała się naprzód. Patrząc na

ów projekt z tego punktu obserwacyjnego, każdy inwestor byłby przekonany, że realizuje się go z wielkim smakiem i w tempie, które przynajmniej Alan uznawał za godne podziwu.

– Podoba się panu? – zapytał Mudżaddid.

– Tak. Niech pan popatrzy. Wszystkie miasta potrzebują rzek.

– Rzeczywiście – przyznał mężczyzna.

Jusuf też patrzył przez szybę z miną wyzbytą cynizmu. Wydawało się, że po prostu cieszy się tym widokiem.

Sajid i Mudżaddid zaprowadzili Alana do windy. Zjechali dwie kondygnacje niżej i gdy rozsunęły się drzwi, okazało się, że trafili do podziemnego garażu.

– Tędy.

Sajid podszedł do SUV-a. Wsiadli do środka. Zapachniało nowością. Podjechali rampą i znowu znaleźli się w świetle słońca. Mocny skręt w lewo sprawił, że ruszyli w kierunku wody i kilka sekund później samochód się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Mudżaddid.

Przejechali niecałe dwieście metrów. Przed nimi stał olbrzymi namiot, biały i naprężony, w rodzaju tych, których używano na wesela i podczas festiwali.

– Dziękuję – odparł Alan, wychodząc z powrotem na skwar.

– Zobaczymy się więc o trzeciej? – powiedział Sajid.

W pewnym momencie musiała pojawić się wzmianka o spotkaniu.

– Tak – potwierdził Alan. – W budynku głównym czy w centrum informacji?

– Spotkanie odbędzie się w budynku głównym – odparł Sajid. – Z Karimem al-Ahmadem. To pański główny łącznik.

Alan stanął przed namiotem, zaintrygowany. Drzwi były z winylu.

– Moi ludzie są w środku?

– Tak – potwierdził Mudżaddid, a jego twarz nie wyrażała wątpliwości ani chęci, by się usprawiedliwić.

– W namiocie – rzekł Alan.

Wydawało się to niemożliwe. Był pewien, że to jakaś pomyłka.

– Tak – potwierdził Mudżaddid. – Wasza prezentacja odbędzie się w namiocie przeznaczonym do tego celu. Ufam, że znajdzie pan w środku wszystkie potrzebne rzeczy – dodał.

Po czym zamknął drzwi samochodu i odjechał.

Alan odwrócił się do Jusufa.

– Jestem pewien, że możesz już jechać.

– Masz czym wrócić do hotelu?

– Tak, kursuje stąd jakiś mikrobus czy coś takiego.

Uzgodnili cenę i Alan zapłacił kierowcy. Jusuf zapisał na wizytówce ciąg cyfr i wyjaśnił:

– To na wypadek, gdybyś znowu nie zdążył na transport.

Wymienili uścisk dłoni.

Jusuf zmarszczył czoło, patrząc na namiot.

– Pełną parą naprzód – mruknął i poszedł sobie.

VII

W namiocie Alan nie dostrzegł nikogo. Wnętrze było rozległe i puste, pachniało potem i plastikiem. Podłoga została pokryta kilkudziesięcioma zachodzącymi na siebie perskimi dywanami. W środku rozstawiono około trzydziestu rozkładanych krzeseł, jakby wcześniej odbywało się tam wesele i goście niedawno wyszli. W jednym końcu stało podium, na którym zespół Alana zgromadził głośniki i projektory.

W przeciwległym kącie namiotu dojrzał trzy skulone widmowe postaci, wpatrzone w szare ekrany swoich laptopów. Ruszył w ich stronę.

– Jest! – zagrział czyjś głos.

Był to głos Brada. Młody mężczyzna miał na sobie spodnie khaki i świeżo wyprasowaną białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Wstał, by uścisnąć Alanowi dłoń, i robiąc to, omal nie pogruchotał mu kości. Niski i mocno zbudowany, z nogami prostowanymi na beczce, wyglądał jak trener zapasów.

– Cześć, Brad. Miło cię widzieć.

Rachel i Cayley wstały. Zrzuciły swoje abaje i powitały Alana boso, w szortach i podkoszulkach na ramiączkach. Namiot był klimatyzowany, ale temperatura nawet nie zbliżyła się do poziomu komfortu cieplnego. Cała trójka młodych ludzi lśniła od potu.

Czekali, aż Alan coś powie. Nie wiedział, czego się spodziewają. Poznał ich tylko przelotnie. Przed trzema miesiącami spotkali się na krótko w Bostonie wskutek nalegań Erica Ingvalla. Sporządzono plany i określono zakres obowiązków, harmonogramy i cele. Otrzymali do podpisania dokumenty, wymagane przez władze Królestwa Arabii Saudyjskiej

deklaracje, że wszyscy będą przestrzegać zasad obowiązujących w Królestwie Arabii Saudyjskiej, a w razie złamania prawa i orzeczenia winy będą podlegać takim samym karom jak każdy inny. W deklaracji wśród kar za pewne przestępstwa, z cudzołóstwem włącznie, wyraźnie wymieniono egzekucję i wszyscy dość niefrasobliwie złożyli na niej podpisy.

– Jak sobie radzicie, bez problemów? – zapytał Alan.

Nie zdołał wymyślić nic lepszego. Wciąż starał się oswoić z tym, że wszyscy znaleźli się w namiocie.

– Jest świetnie, ale nie możemy uzyskać sygnału wi-fi – odparła Cayley.

– Dociera do nas słaby sygnał z Czarnej Skrzynki – dodał Brad, obracając gwałtownie głowę w stronę biurowca 7/24/60, który stał wyżej niż namiot. Już zdążyli wymyślić dla niego nazwę.

– Kto was umieścił w tym namiocie?

– Gdy przyjechaliśmy – odpowiedziała Cayley – powiedzieli nam, że prezentacje będą odbywały się tutaj.

– W namiocie.

– Chyba tak.

– Czy wyjaśnili ci – ośmieliła się zapytać Rachel – dlaczego jesteśmy tutaj, a nie w głównym budynku?

– Mnie nie – odparł Alan. – Być może trafią tu wszyscy dostawcy.

Alan spodziewał się kilkunastu innych firm zajętych przygotowaniem, gorączkowej aktywności w oczekiwaniu na wizytę króla. Nie mógł zrozumieć, dlaczego są tutaj sami, w ciemnym namiocie.

– Sądzę, że to sensowne wyjaśnienie – stwierdziła Rachel, zagryzając policzek. – Ale jesteśmy tu jedyni.

– Może tylko pierwsi – odparł Alan, starając się zachować pewną beztroskę.

– Po prostu dziwne, że reprezentując Relianta, wylądowaliśmy tutaj, prawda? – zastanawiał się głośno Brad. Był oddanym firmie pracownikiem, bardzo kompetentnym młodzieńcem, który prawdopodobnie nigdy dotąd nie musiał odejść od zapamiętanej strategii.

– To nowe miasto. Terytorium niezaznaczone na mapach, prawda? – zauważył Alan. – Pytaliście kogoś o wi-fi?

– Jeszcze nie – odparła. – Postanowiliśmy poczekać na ciebie.

– I przez jakiś czas mieliśmy porządny sygnał – dodała Rachel. To powiedziawszy, odpłynęła z powrotem w kąt namiotu, jakby podejrzewała, że teraz, gdy o nim mowa, sygnał znowu się pojawi.

Alan spojrział na komputer Cayley, zobaczył koncentryczne łuki obrazujące jakość sygnału, w większości szare, nie czarne. Do prezentacji holograficznej potrzebowali łącza przewodowego albo potężnego, nie słabego czy przechwyconego, sygnału sieci bezprzewodowej.

– Cóż, chyba będę musiał o to zapytać. Zaczęliście instalować resztę sprzętu?

– Jeszcze nie – odparł Brad, krzywiąc się. – Mieliśmy nadzieję, że to sytuacja tymczasowa. Tutaj prezentacja wypadnie znacznie gorzej.

– Nie robiliście tu niczego poza szukaniem sygnału?

– Na razie nie – odparła Cayley, uświadamiając sobie chyba, że mogli zrobić więcej.

– Ale przez pewien czas mieliśmy porządny sygnał – wtrąciła Rachel z ciemnego kąta namiotu.

– Zgadza się. Mniej więcej godzinę temu – dodała Cayley.

VIII

Musiał być jakiś powód, że Alan się tutaj znalazł. Nie tylko w namiocie sto pięćdziesiąt kilometrów od Dżuddy, ale również na ziemi. Sens egzystencji był bardzo często niejasny. I bardzo często trzeba było się do niego dokopywać. Sens jego życia był jak trudno dostępna żyła wodna, która biegnie dziesiątki metrów pod powierzchnią ziemi, a on co jakiś czas spuszczał do studni wiadro, napełniał je, wyciągał, by się z niego napić. Zapewniało mu to jednak tylko krótkotrwałe pokrzepienie.

Śmiercią Charliego Fallona zajęły się media w całym kraju. Wszedł do jeziora rano, całkowicie ubrany. Alan widział go po kostki w wodzie i nie przejął się tym zbyt. Transcendentaliście mąciło się w głowie.

Alan się nie zatrzymał.

Charlie jednak wszedł głębiej. Robił to powoli. Inni sąsiedzi widzieli go zanurzonego po kolana, po pas. Nikt nie zareagował.

W końcu stał zanurzony po pierś i wtedy Lynn Maggiano zadzwoniła na policję. Funkcjonariusze przyjechali, zjawili się też strażacy. Stali na brzegu i krzyczeli do niego. Nikt jednak po niego nie poszedł.

Później policjanci i strażacy stwierdzili, że wskutek cięć budżetowych nie zostali przeszkoleni do akcji ratunkowych w takich sytuacjach. Gdyby weszli za nim do wody, pojawiłaby się kwestia wielkiej odpowiedzialności. A poza tym, dodali, mężczyzna stał. Wydawało się, że nic mu nie jest.

W końcu jakaś licealistka odbiła od brzegu na dętce z wiosłem. Gdy dopłynęła do Charliego Fallona, był siny i nie reagował.

Krzyknęła. Policjanci i strażacy użyli wreszcie swojego sprzętu i ściągnęli go na brzeg. Próbowali go reanimować, ale Charlie już nie żył.

– Alanie?

Brad patrzył na niego z troską.

– Tak – rzekł Alan. – Wyjrzyjmy na zewnątrz.

Zaczął iść w stronę wyjścia. Rachel i Cayley ruszyły za nim, ale Brad je powstrzymał.

– Nie powinniście pokazywać się na zewnątrz w takich strojach – zauważył.

Powiedziały, że w takim razie z przyjemnością zostaną w chłodnym namiocie.

Alan i Brad wyszli razem. Mrużąc oczy przed słońcem i skwarem, rozglądali się za wieżą nadawczo-odbiorczą lub szafą kablową.

– Tam – rzekł Brad, wskazując na różowy budynek mieszkalny z małą anteną satelitarną przymocowaną do bocznej ściany.

Podeszli do niego.

– Czego tu szukamy? – zapytał Alan.

Brad był inżynierem, więc Alan liczył na to, że w sprawach technologii zda się na niego.

– Chyba dowodu na to, że jest podłączona – odparł Brad.

Alan zerknął na niego, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Mówił poważnie.

Wyglądało na to, że antena jest podłączona. Znajdowała się jednak około trzydziestu metrów od namiotu i tym samym prawdopodobnie była dla nich bezużyteczna. Znowu przystanęli, zmrużyli oczy i się rozejrzeli. Zobaczyli grupki robotników w fioletowych i czerwonych kombinezonach, kładących kostkę brukową na promenadzie lub zmiatających z niej piasek.

– Czy to wieża nadawczo-odbiorcza? – zapytał Alan. Pośrodku promenady stała piętrowa metalowa konstrukcja, coś pośredniego między wieżą wiertniczą a wiatrowskazem. Podeszli do niej i zobaczyli, że nie odchodzą od niej żadne przewody. Nie było jednak jasne, czy to cokolwiek znaczy. Wrócili do namiotu równie mądrzy, jak przedtem.

Rachel i Cayley siedziały w przeciwległych ciemnych kątach, znowu skulone nad ekranami swoich laptopów niczym matki dogłębnie badające niemowląt.

- Jest coś? – zapytał ich Brad.
- Niezupełnie – odparła Cayley. – Pojawia się i znika.
- Wysłałyście już jakiegoś maila?
- Jeszcze nie – odpowiedziała Rachel.

Alan musiał przez kilka minut odpocząć od upału, więc wziął krzesło i usiadł. Brad zajął sąsiednie miejsce.

– Próbuje wysłać maila Karimowi, naszemu tutejszemu łącznikowi – wyjaśnił Brad.

- Gdzie on jest? – zapytał Alan.
- Ponoć tutaj, w KAEC.
- W budynku? W Czarnej Skrzynce?
- Tak sędzę.
- Próbowaliście się tam przejść?
- Jeszcze nie. Nie wyjdę z powrotem na ten skwar, jeśli nie będę musiał. Tak więc dalej siedzieli w namiocie.

IX

Eric Ingvall i jego durna twarz. Siedział przy długim granitowym stole i czytał raport Alana z tymi zasznurowanymi paskudnymi wargami. Alan miał wcześniej ochotę przywalić pięścią w tę twarz. I uderzać w tę wazeliniarską gębę, aż pojawi się na niej wyraz szacunku.

– Musisz to naprawdę uporządkować – stwierdził wcześniej Ingvall.

Ingvall był znany z upierdliwości. Gdy przedstawiano sytuację nie tak, jak sobie tego życzył, twarz wykrzywiał mu pełen udręki grymas. Był niezadowolony z raportu Alana na temat KAEC. Alan został poproszony o przygotowanie czegoś przed podróżą, o przyjrzenie się Economic City oraz ocenę szans Relianta – i zrobił to. Skończył raport wcześniej, a dokument był znacznie dłuższy i bardziej szczegółowy, niż Ingvall oczekiwał.

– Ale zostawiasz tyle pytań bez odpowiedzi – powiedział Ingvall ze zboląłą miną. – I przez to czuję dyskomfort.

Alan wydał z siebie stłumiony śmiech i odparł, że w raporcie zabrakło odpowiedzi na pewne pytania, gdyż nie był jeszcze w Arabii Saudyjskiej i nie ma prawa zakładać, że zna ukształtowanie terenu – a tym bardziej stan umysłu króla.

– To handel – zauważył z uśmiechem. – Robisz szacunki, tworzysz plan, po czym jedziesz tam, wszystko się zmienia, ale i tak dobijasz targu.

Ingvall nie odwzajemnił uśmiechu i nie zgodził się z Alanem.

– Potrzebuję gwarancji, że nadajesz się do tej misji. Przez jakiś czas byłeś na aucie i muszę wiedzieć, że jesteś bystry. Że wciąż jesteś w grze.

Alan zerknął za okno na usytuowany poniżej port.

Jego przodkowie przybyli do Ameryki z Irlandii podczas klęski głodu. W 1850 roku trzech bracia opuścili hrabstwo Cork i wylądowali w Bostonie. Zaczęli wytwarzać mosiężne guziki, to zaś doprowadziło do uruchomienia produkującej szeroką gamę rur, zaworów, kotłów i grzejników odlewni w południowym Bostonie. Zatrudnili innych Irlandczyków, a potem Niemców, Polaków i Włochów. Interes kwitł. Bracia pobudowali drugie domy na wybrzeżu. Wynajęli guwernerów dla dzieci i ich pociechy uczyły się łaciny i greki. Ich nazwiska widniały na wielu bostońskich gmachach. Na kościołach i skrzydłach budynków szpitalnych. Przyszedł jednak Wielki Kryzys i wszyscy musieli zaczynać od nowa. Ojciec Alana nie miał drugiego domu w Chatham. Był brygadzystą w fabryce Stride Rite w Roxbury. Świetnie sobie radził i zaoszczędził wystarczająco dużo, by jego syn poszedł na studia. Alan rzucił jednak college, żeby sprzedawać wyroby Fuller Brush, a potem rowery; dobrze mu szło w tej branży, przez jakiś czas wręcz znakomicie, dopóki wraz z innymi nie postanowił zlecić budowy sprzedawanych przez siebie rzeczy innym ludziom, mieszkającym piętnaście tysięcy kilometrów od Chicago. Niebawem nie mieli już czego sprzedawać, teraz zaś siedział w sali konferencyjnej z widokiem na port i wpatrywał się w ściągniętą twarz Erica Ingvalla, który miał go w kieszeni i dobrze o tym wiedział.

– Myślę, że to łatwizna – rzekł Alan.

– I tym się właśnie martwię – odparł Ingvall. – Twoja nadmierna pewność siebie wcale mnie nie uspokaja.

X

Cayley przysunęła krzesło.

– Więc jak myślisz, ile osób przywiezie ze sobą?

– Kto? – zapytał Alan.

– Król.

– Nie wiem. Przypuszczam, że z tuzin. Może więcej.

– Myślisz, że ma wyłączne prawo podejmowania decyzji w sprawach informatyki w tym mieście?

– Tego bym oczywiście oczekiwał. Nosi w nazwie jego imię.

Teraz dołączyła do nich Rachel.

– Poznałeś go? – zapytała.

– Ja? Nie. Dwadzieścia lat temu poznałem jego bratanka.

– Był księciem?

– Tak. I nadal nim jest.

– Będzie tu?

– Nie, nie. Mieszka w Monako. Nie zajmuje się już interesami. Lata po całym świecie, daje pieniądze na różne cele.

Alan wyobraził sobie królewskiego bratanka, Dżalawiego. Jego osobliwą twarz. Usta księcia były asymetryczne, jakby narysowane drżącą ręką, i miał przez to skrzywiony, drwiący wyraz twarzy. Był jednak niezwykle szczerzy, bardzo ciekawy świata i skory do płaczu. Cały czas płakał. Wdowy, sieroty, każda taka historia wzruszała go do łez i sprawiała, że otwierał portfel. Poradzono mu, żeby ograniczył swoje kontakty z ludźmi. Angażował się emocjonalnie w życie każdego, kogo poznał, i starał się je odmienić. Podobno właśnie umierał na raka kości.

– Tak czy owak – dodał Alan – dzisiaj króla Abdullaha tutaj nie będzie. Powinniście się odprężyć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Było widać, że Rachel i Cayley chcą wrócić do swoich laptopów, ale grzeczność wymagała, by zajęły się Alanem, najstarszym członkiem zespołu, człowiekiem o zagadkowej proweniencji i przypuszczalnie ważną personą.

– Zwiedziłeś już Dżuddę? – zapytała Rachel.

– Nie, jeszcze niewiele tam widziałem.

– Wypałeś się trochę? – dorzuciła Cayley.

Alan powiedział prawdę – że nie spał od niemal sześćdziesięciu godzin i wreszcie, około szóstej rano, zasnął. Wszyscy nalegali, żeby wrócił do hotelu, wypoczął. Przez resztę dnia mogli się wszystkim zająć.

– Masz jakiś środek nasenny? – zapytała Cayley.

– Nie. Bałem się, że stracą mnie na cle za przemyt. A ty?

Żadne z nich nie miało niczego na sen.

– Wpadłem na pewien pomysł – rzekł Brad. Popatrzył na Alana, jakby sprawdzał, czy wpadanie na pomysł jest mile widziane. Alan starał się przybrać zachęcający wyraz twarzy. – Cóż, chciałem wcześniej poznać twoje zdanie – zaryzykował informatyk. – Pomyślałem, żeby zadzwonić wspólnie i poinformować ich, że tutejsze warunki są niezadowolające.

Alan patrzył na niego długo. Jak miał mu wytłumaczyć, że to okropny pomysł? Próbował znaleźć jakiś sposób.

– Dobra myśl – rzekł. – Ale na razie to odłożmy.

– W porządku – zgodził się Brad.

– O trzeciej mam umówione spotkanie z Karimem – dodał Alan. – Jestem pewien, że po nim wszystko się wyjaśni.

Młodzi ludzie skinęli głowami i przez pewien czas siedzieli razem w milczeniu. Przed chwilą wybiła dwunasta, a już im się wydawało, że

tkwią w tym namiocie od wielu dni.

– Wiadomo, gdzie jadamy posiłki? – zapytała Cayley.

– Nie wiem – odparł Alan. – Ale się dowiem.

Jakby próbując ratować dobry nastrój, Rachel pochyliła się i powiedziała:

– Muszę przyznać, że to wszystko jest dość niezwykle. Widzieliście hotelowe studio odnowy biologicznej?

Brad widział, Cayley nie.

– Mają tam motylka Nautilusa – zaznaczyła Rachel.

I w ten sposób, na dyskusji o tym, pod jakimi względami i na ile ich sytuacja jest nowa, dziwna i doskonała, albo i nie, minęło im dwadzieścia minut. Zastanawiali się, czy przyniosą im jakieś jedzenie. Zastanawiali się, czy powinni sami pójść po nie do Czarnej Skrzynki. Zastanawiali się, czy oczekiwano, że przywiozą własne.

Cayley pochwaliła się nowym telefonem. Powiedziała, że przez jakiś czas szukała w hotelu miejsca, gdzie mogłaby wyrzucić stary, i w końcu po prostu cisnęła go na stertę śmieci.

Alan szybko zgubił wątek. Odplynał i po chwili uświadomił sobie, że wygląda na zewnątrz. Namiot miał szereg plastikowych okien, przez które piasek i morze za nimi wyglądały jak zasnute przejrzystą mgiełką. Alan zapragnął znaleźć się w tym świetle i skwarze.

Wstał.

– Pora sprawdzić, co się tutaj, u diabła, dzieje – rzekł, wygładzając koszulę. Obiecał, że zajmie się sprawą jedzenia, sprawą jakości sygnału wi-fi oraz zapyta, czemu siedzą w winylowym namiocie nad morzem.

XI

Alan wyszedł z namiotu, natychmiast poczuł lejący się z nieba żar i skierował się w stronę Czarnej Skrzynki. Dotarł promenadą do szklanego budynku, omijając niewykończone miejsca, sterty śmieci lub stosy kamieni i zgromadzone narzędzia. Przeskoczył nad palmą czekającą na zasadzenie, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed biurowcem. Do frontowych drzwi prowadziło około czterdziestu stopni i gdy dotarł na szczyt schodów, miał koszulę przesiąkniętą potem.

Hol budynku był jasny, błyszczący i klimatyzowany, podłogi zrobiono z jasnego drewna. Przypominał skandynawskie lotniska.

– Mogę w czymś pomóc?

Młoda kobieta z luźno zawiązaną na głowie chustą siedziała na prawo od niego za półksiężycowatym biurkiem z czarnego marmuru.

– Witam – rzekł Alan. – Jak ma pani na imię?

– Maha – odparła kobieta. Czarne oczy, orli nos.

– Cześć. Nazywam się Alan Clay i reprezentuję firmę Reliant Systems. O trzeciej mam umówione spotkanie z Karimem al-Ahmadem i...

– Och, wcześniej pan przyszedł. Minęła dopiero druga.

– Wiem. Ale jestem z Relianta i ulokowano nas w tym namiocie przy plaży, gdzie nie możemy uzyskać sygnału wi-fi, bez czego nie da się zrobić prezentacji.

– Och, nic mi nie wiadomo o sygnale wi-fi w namiocie. Nie wyobrażam sobie, by mieli tam sygnał.

– Widzisz, właśnie w tym cały problem. Czy jest tu ktoś, z kim mógłbym na ten temat porozmawiać?

Maha skinęła energicznie głową.

– Tak, myślę, że pan al-Ahmad jest odpowiednią osobą. To on nadzoruje dostawców urządzających prezentacje w namiocie.

– Świetnie. Jest u siebie?

– Niestety nie. Prawdopodobnie przybędzie tutaj tuż przed umówionym przez panów spotkaniem. Większość dnia spędza w Dzuddzie.

Kłótnia na ten temat wydawała się bezcelowa. Do spotkania Alana z al-Ahmadem została tylko godzina.

– Dziękuję – powiedział i wyszedł.

Nie mógł jednak iść do namiotu. Nie miał dla czekających tam młodych ludzi żadnych wieści i pomyślał, że jeśli wróci dopiero po spotkaniu, będzie im się wydawało, że przez cały ten czas rozmawiał z al-Ahmadem i rozwiązał w ten sposób wszystkie problemy.

Gdy tylko znowu znalazł się w upalnym słońcu, przypomniał sobie o jedzeniu. Nie zapytał o posiłki. Ale teraz nie mógł wrócić do Czarnej Skrzynki. To by wyglądało żałośnie, spocony facet z mnóstwem irytujących pytań, który przypomniał sobie o tej podstawowej sprawie. Nie, poruszy wszystkie te kwestie o trzeciej. Do tego czasu jego młodzi współpracownicy będą musieli się obejść bez posiłku.

Ruszył promenadą, po krętym wzorze z ułożonych na niej kostek brukowych, myśląc o tym wszystkim. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Był ubrany w białą koszulę oraz spodnie khaki i szedł po czymś, co kiedyś mogło się stać nadmorską alejką. Właśnie zostawił swój zespół, troje młodych ludzi, którzy mieli za zadanie zainstalować sprzęt i zademonstrować królowi, jak wygląda łączność holograficzna. Króla jednak nie było, a oni siedzieli sami w namiocie i chyba nikt nie wiedział, kiedy wszystko się wyjaśni.

Poleciał do przodu. Stopa wpadła mu do dziury w miejscu, gdzie nie położono jeszcze kostki. Odzyskał równowagę, ale czuł przenikliwy ból w skręconej kostce. Stał i starał się od niego uwolnić.

Ciało miał całe pokryte bliznami po wypadkach, którym uległ w ostatnich pięciu latach. Zrobił się niezdarny. Uderzał głową o drzwi szafek. Przytrząskiwał sobie dłonie w drzwiach samochodów. Upadł na oblodzonym parkingu i potem przez wiele miesięcy chodził, jakby był z drewna. Przestał być elegancki. Kilkadziesiąt lat wcześniej ktoś określił go takim mianem: e l e g a n c k i. Było lato, wiał ciepły wiatr, a on tańczył. Nie znał tej starszej kobiety, ale to słowo utkwiło mu w pamięci, przyniosło pociechę. Czy to, że jakaś starsza kobieta uznała go kiedyś za eleganckiego mężczyznę, cokolwiek znaczyło?

Pomyślał o Joem Trivole'u. Tamtego pierwszego dnia razem, przed drzwiami pierwszego domu, do którego przyszli, kazał mu dać znać gospodyni, że już są. Alan odruchowo sięgnął do dzwonka.

– Nie, nie – powstrzymał go Trivole, po czym zapukał do drzwi w szybkim i radosnym muzycznym rytmie. Odwrócił się do Alana i wyjaśnił: – Obcy dzwoni, znajomy puka.

Drzwi się otworzyły.

Za siatką stała kobieta ze zmieszana miną. Miała około pięćdziesięciu lat, rozczochrane siwe włosy i okulary zawieszona na miedzianym łańcuszku. Alan spojrzał na Trivole'a, który uśmiechał się szeroko, jakby przypadkiem natknął się na swą ulubioną nauczycielkę z podstawówki.

– Witam! Jak się pani dzisiaj miewa?

– Świetnie. A wy kim jesteście?

– Jesteśmy przedstawicielami Fuller Brush Company z siedzibą w East Hartford w stanie Connecticut. Słyszała pani o Fuller Brush?

Kobieta była rozbawiona.

– Oczywiście. Ale od lat żadnego z was nie widziałam. Nadal działacie, co?

– Owszem, pszepani. I będę wdzięczny, jeśli w tak cudowny dzień jak dzisiaj poświęci nam pani kilka sekund.

Joe się obejrzał, by zlustrować wzrokiem podwórko, drzewa i błękitne niebo nad nimi, po czym odwrócił się do drzwi i zaczął wycierać buty. Kobieta odruchowo cofnęła się o kilka kroków i otworzyła szerzej drzwi. Nie zaprosiła Joego ani Alana do środka, ale teraz robiła im miejsce – po prostu dlatego, że Joe zaczął wycierać buty. Nagle Alan odniósł takie samo wrażenie, jakie miewał, obserwując hipnotyzera lub magika – że dla pewnych ludzi świat i jego mieszkańcy to obiekty, na które rzuca się urok.

Szedł dalej prowizorycznym chodnikiem. Zbliżał się do różowego budynku mieszkalnego. Z bliska przypominał to, co widział kilkaset razy w różnych miejscach na wybrzeżu Florydy. Był olbrzymi i niczym się nie wyróżniał; jego szeroka, płaska twarz spoglądała w morze z posępnym lekceważeniem. W budynku prawdopodobnie mieściło się trzysta mieszkań.

Patrząc w okna, Alan dostrzegł coś, co uwiarygodniało plany Saudyjczyków. Parter został przeznaczony na handel detaliczny oraz serwowanie posiłków i kilku przyszłych najemców wytyczyło już swe granice. Pizzeria Uno, Wolfgang Puck. Może pewnego dnia będą tutaj jedzący coś, śmiejący się i na pozór żywi ludzie.

Wciąż mógł to zrobić. Pomyślał o swoim srebrzystym rowerze, prototypie, który wykonał. Był przepiękny. Wszystko, nawet koła zębate, nawet siodełko, było srebrzyste i chromowane. Czy ktoś kiedykolwiek zrobił piękniejszy przedmiot? Rower był tak błyszczący i lśnił tak wyzywająco, że pewnie widać go było z kosmosu.

Sprowadził Kit, żeby pokazać jej prototyp.

– Ty to zrobiłeś?

– Zleciłem jego wykonanie. I pomogłem zaprojektować.

– Wygląda olśniewająco – powiedziała. – Można na nim jeździć?

– Każdy może to zrobić.

Kit dotknęła roweru, cofnęła się, obejmując go wzrokiem i dokonując ponownej oceny.

– Jest ś w i e t n y, tatku.

Gdy wróci do hotelu, napisze do niej. Przed kilkoma dniami dostał od Kit kapitalny list, sześć stron wypełnionych jej regularnym pismem. Na większości z nich potępiała swą matkę, Ruby; nie chciała mieć z nią już nic wspólnego. Teraz Alan znalazł się w dziwnym położeniu, zmuszony był bronić kobiety, która wierciła mu dziurę w brzuchu tyle razy, że uważał za cud, że – z daleka – wygląda normalnie. List Kit był pełen potępienia i ostateczny, stanowił dokument, który oznajmiał, uzasadniał i opiewał zerwanie stosunków córki z matką.

Alan nie mógł na to pozwolić. Musiał wszystko naprawić. Nie chciał być jedynym rodzicem. Obawiał się też – lub raczej wiedział – że skoro Kit mogła uznać matkę za godną pogardy, to posługując się tymi samymi instrumentami, przestanie akceptować i jego. Musiał wytyczyć granicę. Musiał wesprzeć byłą żonę.

Korespondowali z Kit od lat. Pierwszy list napisał po tym, gdy Ruby przyłapano na jeździe po pijaku. Chciał to wszystko przedstawić córce w odpowiednim kontekście. „Fajny list, tato” – powiedziała po tym pierwszym razie. Odtąd Alan przelewał dla niej swe przemyślenia na papier, w trzy- lub czterostronicowych listach, i miały one na nią jakiś wpływ. Kit powiedziała mu, że wraca do nich w chwilach zwątpienia. Studziły jej złość, sprowadzały z powrotem z rozmaitych raf. Zazwyczaj chciała opuścić matkę, zerwać więzi całkowicie. Teraz stało się oczywiste, że są z natury różne: Kit miała więcej ojcowskiej powściągliwości – Ruby nazwałaby ją drobnomieszczaną – ale tak czy owak była zmęczona

huśtawkami matczynego nastroju, wyczerpana szczegółowymi śledztwami, które Ruby próbowała przeprowadzać, ilekroć rozmawiały.

Najpierw jednak Kit potrzebowała strategii, by odgrodzić się od tego zamętu. Zredukować kontakty. Alan sam dopiero niedawno rozgryzł, jak to zrobić. Kluczem okazała się poczta elektroniczna. Oboje z Ruby zgodzili się, że ograniczą kontakty do przesyłania sobie nie dłuższych niż trzy wersy wiadomości dotyczących Kit. Poskutkowało. Alan od dwóch lat nie rozmawiał z byłą żoną przez telefon, a dzięki przerwie w walce ukoił zszargane nerwy i dał wytchnąć umysłowi. Przestał podskakiwać na dźwięk podniesionego głosu.

– Alanie!

Odwrócił się i ujrzał Brada. Był zaskoczony, ale zamarkował spokój.

– Jak idą sprawy w namiocie? – zapytał.

– Świetnie – odparł Brad. – Ale jest prawie trzecia. Idziesz do biura? – Brad wskazał ruchem brody na Czarną Skrzynkę.

Alan spojrział na zegarek. Była 14:52.

– Tak – odparł. – Właśnie się do tego przymierzam.

Ruszył z powrotem promenadą za informatykiem.

– Nie przejmuj się jedzeniem – rzekł Brad. – Rachel miała w torbie jakieś krakersy, więc niczego nam nie brak.

Delikatny sarkazm. Alan nie darzył Brada sympatią.

Gdy mijali namiot, Brad przystanął i rzekł:

– Powodzenia. – Na jego twarzy malowały się obawa i zdumienie. W tym momencie Alan dowiedział się, jak to będzie za kilkadziesiąt lat, gdy będzie słaby, niezdolny zadbać o siebie, gdy Kit po raz pierwszy zobaczy, jak jej ojciec popuści w spodnie i zacznie się ślinić. Spojrzy na niego tak, jak teraz spoglądał na niego Brad – z miną osoby patrzącej na

człowieka, który jest raczej ciężarem niż skarbem, raczej szkodzi, niż przynosi korzyść, jest nieistotny, zbędny dla postępu świata.

XII

Maha popijała mrożoną herbatę.

– Och, witam ponownie, panie Clay.

– Witaj. Karim al-Ahmad jest u siebie?

– Niestety nie.

– Mam tu poczekać? Mamy spotkanie o trzeciej.

– Tak, wiem. Nie zdoła jednak dojechać na czas. Przykro mi to mówić, ale nie może się ruszyć z Dżuddy.

– Przez cały dzień?

– Tak, proszę pana. Ale powiedział, że będzie tu jutro przez cały dzień i może pan zaproponować godzinę spotkania.

– Jesteś pewna, że nie ma tu nikogo innego, z kim mógłbym tymczasem porozmawiać? Tylko o wi-fi i posiłkach, o tego typu sprawach.

– Myślę, że w tych wszystkich sprawach najlepiej kontaktować się z panem al-Ahmadem. A jutro każda pora będzie odpowiednia. Jestem pewna, że wszystko się wtedy wyjaśni.

Alan wrócił do namiotu, gdzie zastał członków zespołu w oddzielnych kątach, z laptopami. Rachel oglądała płytę DVD, coś na temat gotowania, z udziałem brodatego szefa kuchni. Alan powiedział im, że pan al-Ahmad nie zjawił się dziś w swoim biurze.

Jazda z powrotem do Dżuddy minęła szybko, młodzi ludzie paplali przez cały czas jak uczestnicy obozu letniego. Alan obserwował drogę, na wpół śpiąc; bolała go kostka. Gdy dotarł do swojego pokoju, nie mógł sobie przypomnieć, czy się z kimkolwiek pożegnał. Pamiętał jednak, jak

wchodził do ciemnego holu i poczuł woń chloru. Zbyt długo przebywał na słońcu i był wdzięczny za mrok, za chłód, za to, co było dziełem człowieka i miało paskudny wygląd. Ale gdy trzask masywnych drzwi pokoju wyznaczył koniec dnia, Alan poczuł się samotny i w potrzasku. W hotelu nie było baru, żadnej rozrywki, która zaspokoiłaby jakiegokolwiek jego potrzeby. Minęła dopiero szósta i nie miał nic do roboty.

Pomyślał, żeby zatelefonować do jednego z trojga młodych współpracowników, ale zaproszenie ich na posiłek nic by nie dało. I byłoby niestosowne. Nie mógł zadzwonić do żadnej z kobiet. Jak trędowaty. Mógłby zatelefonować do Brada, ale go nie lubił. Gdyby mieli jeść wszyscy i zostaliby zaproszeni, skorzystałby z propozycji. Poszedłby, gdyby zadzwonili. Ale do siódmej nikt nie zatelefonował. Zamówił posiłek do pokoju i zjadł pierś z kurczaka oraz sałatkę.

Wziął prysznic. Pomasował guz na karku.

Położył się do łóżka i liczył na sen.

Nie mógł zasnąć. Otworzył oczy i włączył telewizor. Nadawali materiał o wycieku z platformy wiertniczej BP. Wciąż żadnych dostrzegalnych postępów. Próbowali zatamować wyciek z góry, metodą wymagającą zrzućcia betonu na otwór. Nie mógł na to patrzeć. Był zdruzgotany tą katastrofą. Od tygodni nie udawało się powstrzymać wycieku, a on i wszyscy inni mogli jedynie oglądać, jak pióropusze ropy tryskają do oceanu. Alan opowiadał się za wszelkimi radykalnymi sposobami położenia temu kresu. Gdy usłyszał o propozycji człowieka z marynarki wojennej, by rzucić tam bombę atomową, pomyślał: Tak, tak, zróbcie to, wy żalosne pojeby. Proszę, po prostu wreszcie to zakończcie. Ludzie patrzą.

Wyłączył telewizor.

Spojrzał w sufit. Popatrzył na ścianę.

Pomyślał o Trivolem.

– Wszystko da się sprzedać, wykorzystując jedno z czterech pojęć – powiedział.

Stali o dziewiątej rano na ulicy przed rozpadającym się domem. Choć było to zaledwie kilka przecznic od miejsca, w którym wychował się Alan, nigdy wcześniej nie spojrział ani nie zwrócił uwagi na ten przechylony na prawo budynek.

– Najpierw musisz ocenić klienta, rozumiesz?

Trivole miał na sobie dwurzędowy tweedowy garnitur. Zaczął się wrzesień i było zdecydowanie zbyt gorąco na taki ubiór, ale Joe chyba nie był spocony. Alan nigdy nie zauważył, by tamten się pocił.

– Każda klientka wymaga określonego podejścia, odwołania się do określonego pojęcia. Są cztery. Pierwsze to Pieniądze. Tu sprawa jest prosta. Odwołaj się do jej oszczędności. Produkty Fullera pozwolą jej zaoszczędzić, zabezpieczając wcześniejsze inwestycje: drewniane meble, piękną porcelanę, wyłożone linoleum podłogi. Można natychmiast ocenić, czy ktoś jest praktyczny. Widzisz zwykły, dobrze utrzymany dom, praktyczny strój, fartuch, kobietę, która sama gotuje i sprząta, to wybierasz tę pierwszą strategię. Drugim pojęciem są Romantyczne Przeżycia. W tym wypadku sprzedajesz marzenie. Umieszczasz produkty Fullera w sferze ich aspiracji. Tuż obok wakacji i jachtów. Mawiam wtedy: „Szampana!”. W przypadku dezodorantu do stóp zmuszam klientkę do zdjęcia buta i mówię: „Szampana!”.

Alan nie zrozumiał tego zabiegu.

– Tak po prostu, ni z tego, ni z owego, „Szampana!”? – zapytał.

– Owszem, a gdy to mówię, ona czuje się jak Kopciuszek.

Trivole otarł suche czoło jedwabną chusteczką.

– Trzecie pojęcie to Samoobrona. Widzisz w ich oczach strach, sprzedajesz im środki Samoobrony. To łatwa sytuacja. Jeśli boją się wpuścić cię do środka, jeśli rozmawiają z tobą przez okno lub przez drzwi,

wybierasz ten sposób. Mówisz im, że te produkty zapewnią zdrowie, uchronią przed zarazkami i chorobami. Rozumiesz?

– Tak.

– To dobrze. Ostatnim pojęciem jest Uznanie. Ona chce kupić to, co kupują wszyscy inni. Wybierasz kilka nazwisk najbardziej szanowanych sąsiadek. I mówisz, że one już zakupiły te produkty. „Właśnie byłem w domu pani Gladstone i to ona nalegała, bym w następnej kolejności przyszedł tutaj”.

– I to wszystko?

– To wszystko.

Alan szybko stał się dobrym sprzedawcą. Potrzebował pieniędzy, żeby wyprowadzić się z domu rodziców; zrobił to po miesiącu. Pół roku później miał już nowy samochód i więcej forsy, niż był w stanie wydać. Pieniądze, Romantyczne Przeżycia, Samoobrona, Uznanie – stosował te kategorie do wszystkiego. Gdy odszedł z Fullera i zaczął pracować dla Schwinna, wniósł te same nauki do sprzedaży rowerów. Wszystkie te zasady znalazły zastosowanie: rowery były praktyczne (Pieniądze), były piękne i błyszczące (Romantyczne Przeżycia), były bezpieczne i trwałe (Samoobrona) oraz były symbolami statusu dla każdej rodziny (Uznanie). Tak więc również u Schwinna szybko szedł w górę, od sprzedaży detalicznej na południu stanu Illinois poprzez biuro sprzedaży regionalnej do miejsca przy dyrektorskim stole w Chicago, gdzie planował strategię i ekspansję firmy. A potem eliminacja związków zawodowych. Następnie Węgry, Tajwan, Chiny, rozwód i teraz to.

Znowu włączył telewizor. Jakieś informacje o wahadłowcu. Jeden z ostatnich lotów. Wyłączył odbiornik. Na to też nie chciał patrzeć.

Zdał sobie sprawę, że wybiera numer swojego ojca. Rozmowa międzynarodowa, to będzie kosztowało majątek. Widok wahadłowca sprawił jednak, że pomyślał o Ronie, to zaś podsunęło mu myśl, by do niego zatelefonować.

To był błąd. Zrozumiał, że popełnił błąd, w chwili gdy telefon zaczął dzwonić.

Wyobraził sobie ojca w jego wiejskim domu w New Hampshire. Kiedy widział się z nim po raz ostatni, mniej więcej rok temu, ojciec wydawał się silniejszy niż przez poprzednie kilkadziesiąt lat. Miał rumianą twarz i cudownie żywe oczy.

– Spójrz na tego kundla – powiedział tamtego dnia.

Siedzieli na werandzie, popijając szkocką i obserwując trzy psy Rona, wszystkie wyszczekane i bardzo brudne. Jego ulubieńcem był czworonóg w typie owczarka australijskiego, ruchliwy jak żywe srebro.

– To kundel dla młodych i starych – stwierdził Ron.

Mieszkał na farmie niedaleko White River Junction. Hodował świnie, kozy, kurczaki i dwa konie; na jednym jeździł, a drugiego trzymał dla znajomego. Nie miał pojęcia o rolnictwie, ale na emeryturze, po śmierci matki Alana, kupił pięćdziesiąt hektarów grząskiej ziemi w dolinie w pobliżu miasta. Nieustannie na nią narzekał – „To pieprzone miejsce mnie zabije” – ale z tego, co ludzie mówili, farma trzymała go przy życiu.

Alan z biegiem lat stał się mniej pojętny, był połatany i pokiereszowany, za to jego ojciec jakimś cudem nabrał sił. Syn pragnął bardziej przyjaznych stosunków i chyba nie prosił o zbyt wiele. Mógł się obejść bez drwin. Alanie, masz coś na w ą g r y? Ron uwielbiał wyciągać mu sprawę węgierskiego fiaska. Był kiedyś związkowcem. Mówił, że w Stride Rite robili pięćdziesiąt tysięcy par butów dziennie. W Roxbury! Nie dało się zmusić Rona, by nie mówił o tej fabryce, o wszystkich wprowadzonych w niej innowacjach. Pierwsza firma, która zapewniła swoim pracownikom

opiekę dzienną dla dzieci. A potem także opiekę nad starszymi! Przeszedł na emeryturę z pełnią praw emerytalnych. Ale wtedy jeszcze firma nie pozbyła się związków i nie przeniosła produkcji do Kentucky. To był 1992 rok. Pięć lat później uruchomili produkcję w Tajlandii i w Chinach. Wszystko to sprawiło, że Ron z jeszcze większą niechęcią patrzył na rolę, jaką Alan odegrał w Schwinnie. To, że Alan był w zarządzie, pomógł wyszukać miejsce na nową fabrykę bez związków zawodowych, spotykał się z dostawcami w Chinach i na Tajwanie, przyczynił się d o ś ć z n a c z ą c o – to słowa Rona – do wszystkiego, co zgubiło firmę i zatrudnionych w niej tysiąc dwustu robotników, cóż, nie ułatwiało porozumienia. Rozmowy na większość tematów prowadziły do różnicy zdań w kwestii bolączek kraju i tym samym były wykluczone. Rozmawiali więc o psach i pływaniu.

Na farmie było jezioro, które Ron wykopał i w którym od kwietnia do października codziennie pływał. Woda w nim była zimna i pełna alg i Ron zawsze nimi pachniał. Alan nazywał go c z ł o w i e k i e m z T o l l u n d, ojca to jednak nie bawiło.

– Pomożesz mi zaszlachtować świnie? – zapytał.

Alan odmówił.

– Świeży bekon, chłopcze – kusił Ron.

Alan chciał pojechać do miasteczka na prawdziwy posiłek. Do pewnego stopnia Ron bawił się swoim farmerskim wcieleniem. Sporo wiedział o francuskiej kuchni i znał się na winach, a teraz robił sobie jaja, udając, że je tylko steki z frytkami. W miasteczku spoglądał pożądliwie na mijane na ulicy kobiety.

– Spójrz tylko na nią! Założę się, że ma cudną cipę.

To odgrywanie roli jaskiniowca było u niego czymś zupełnie nowym. Matka Alana nigdy nie pozwoliłaby na takie prostactwo. Kim jednak był prawdziwy Ron? Może właśnie tym mężczyzną, którym był, zanim dzięki

żonie, matce Alana, nabył oglądy i stał się mniej prymitywny? A teraz powrócił do normalnej postaci.

Telefon przestał dzwonić.

– Halo?

– Cześć, tato.

– Halo?

– Tato, mówi Alan.

– Alan? Twój głos brzmi tak, jakbyś dzwonił z Księżyca.

– Jestem w Arabii Saudyjskiej.

Czego się spodziewał? Zdumienia? Pochwały?

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Myślałem o wahadłowcu – rzekł Alan. – O tej podróży, w którą się wybraliśmy, żeby zobaczyć start.

– Co robisz w Arabii Saudyjskiej?

To pytanie zabrzmiało niczym sposobność, zachęta do odrobiny fanfaronady, więc Alan podjął taką próbę.

– Cóż, to dość ciekawe, tato. Jestem tutaj z ludźmi z Relianta i wciskamy system informatyczny królowi Abdullahowi. Mamy niesamowity sprzęt telekonferencyjny i będziemy robić prezentację dla samego króla, trójwymiarowe spotkanie holograficzne. Jeden z naszych przedstawicieli będzie w Londynie, ale stworzymy wrażenie, że jest na sali, z Abdullahem...

Cisza. A potem:

– Wiesz, co oglądam teraz w telewizji, synu?

– Nie. Co oglądasz?

– Oglądam program o tym, że olbrzymi nowy most w Oakland w Kalifornii powstaje w Chinach. Wyobrażasz sobie? Teraz to oni robią nam cholerne mosty, Alanie. Gdy zamknęli Stride Rite, wiedziałem, że tak

będzie. Gdy zaczęliście wyprowadzać produkcję rowerów na Tajwan, wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że tak będzie z resztą: zabawkami, elektroniką, meblami. To ma sens, jeśli jesteś jakimś niegodziwym krwiożerczym dyrektorem zdecydowanym wybebeszyć gospodarkę dla własnej korzyści. To wszystko ma wtedy sens. Zwierzęca natura. Ale mostów nie przewidziałem. Na Boga, zlecamy innym ludziom, by robili nasze mosty. A teraz ty jesteś w Arabii Saudyjskiej i sprzedajesz hologram faraonom. To przechodzi ludzkie pojęcie!

Alan zastanawiał się, czy się nie rozłączyć. Czemu nie był w stanie?

Wyszedł na taras i spojrzął na morze, na kilka maleńkich świateł w oddali. Powietrze było takie ciepłe.

Ron mówił dalej:

– Codziennie, w całej Azji, setki kontenerowców wypływają z portów pełne towarów wszelkiego rodzaju. Mówimy o t r z e c h w y m i a r a c h, Alanie. To są prawdziwe r z e c z y. Oni tam produkują prawdziwe rzeczy, a my tylko tworzymy ich strony internetowe i hologramy, siedząc na krzesłach zrobionych w Chinach, pracując na komputerach zrobionych w Chinach, jeżdżąc po zrobionych tam mostach. Czy wydaje ci się, że to może potrwać, Alanie?

Alan pomasaował guz na karku.

– Chcesz w to wejść?

Cholera, przecież może udawać, że to przez pomyłkę. Alan przycisnął guzik na aparacie i przerwał połączenie.

XIII

O ósmej rano Alan znowu siedział w mikrobusie, z tymi samymi młodymi ludźmi. Świergotali o hotelu i o tym, co robili wczoraj wieczorem.

- Popływałam w basenie – powiedziała Cayley.
- A ja zjadłam cały placek – wyznała Rachel.

Alan nie spał. Przez całą noc zmartwienia niczym cyrkowy pokaz napędzały jego myśli, skupiały na sobie uwagę. Pod koniec było to niemal zabawne. Gdy słońce pojawiło się nad taflą morza, zachichotał w duchu z twarzą wbitą w poduszkę. Niech to szlag, niech to szlag.

Kiedy dotarli do nowego miasta, na drzwiach namiotu wisiała wiadomość: „Reliant: witamy ponownie w Economic City króla Abdullaha. Król Abdullah wita Państwa. Rozgośćcie się, skontaktujemy się z Państwem po porze obiadowej”.

W namiocie wszystko było po staremu. Wiele białych krzeseł porozstawianych w mroku. Niczego nie ruszono.

– Zostawili nam trochę wody – powiedziała Rachel, wskazując na pół tuzina plastikowych butelek ustawionych na dywanie niczym bateria dział.

Alan i zespół Relianta siedzieli w ciemnym, chłodnym namiocie. Młodzi ludzie przywieźli z hotelu jedzenie. Zasiedli przed jednym z laptopów i przez prawie całe przedpołudnie oglądali film.

Po lunchu nie zjawił się nikt z Czarnej Skrzynki.

- Nie powinniśmy pójść się z nimi zobaczyć? – zapytała Cayley.
- Sam nie wiem – odparł Brad. – Czy to jest przyjęte?

– Czy co jest przyjęte? – zapytał Alan.

– Czy przyjęte jest zjawiać się tak bez zaproszenia? Może powinniśmy tu po prostu czekać.

Alan wyszedł z namiotu i ruszył do Czarnej Skrzynki. Gdy dotarł na miejsce, był przemoczony. I znowu powitała go Maha.

– Witam, panie Clay.

– Witaj, Maho. Mam szansę zobaczyć się dzisiaj z panem al-Ahmadem?

– Chętnie bym potwierdziła, ale dzisiaj jest w Rijadzie.

– Wczoraj powiedziałaś, że będzie tu przez cały dzień.

– Wiem. Ale jego plany zmieniły się wczorajszego wieczoru. Bardzo mi przykro.

– Pozwól, że zapytam: jesteś całkowicie pewna, że nie powinniśmy spotkać się tu z kimś innym?

– Z kimś innym?

– Z kimś innym, kto mógłby nam pomóc z wi-fi i przedstawił jakieś rokowania co do przyjazdu króla i naszej prezentacji.

– Niestety nie, panie Clay. Pan al-Ahmad naprawdę jest waszym głównym łącznikiem. Jestem pewna, że pragnie się z panem spotkać, ale z przyczyn obiektywnych jego przyjazd się opóźnił. Wróci jutro. Zapewnił mnie o tym.

Czując ból w kostce, Alan poczłapał z powrotem do namiotu.

Usiadł w mroku na białym krześle.

Młodzi ludzie oglądali kolejny film.

– Mamy robić coś innego? – zapytała Cayley.

Alan nie umiał wymyślić innego zajęcia.

– Nie – odparł. – Nie ma takiej potrzeby.

Po godzinie Alan wstał i podszedł do plastikowego okna.

– Do diabła z tym – mruknął i wyszedł z namiotu.

Upał na zewnątrz sprawił, że oniemiał, ale doszedł do siebie i zlany potem ruszył do Czarnej Skrzynki.

Kiedy wszedł do środka, nie zastał Mały. Przy biurku recepcji nie było nikogo. Dobrze, pomyślał, i przeszedł wielkimi krokami przez rozległy hol.

Pojechał windą do góry. Drzwi kabiny się rozsunęły i znalazł się w czymś, co wyglądało na bardzo ruchliwe miejsce pracy. Obok przechodzili mężczyźni w garniturach z dokumentami w rękę. Kobiety w abajach, z odkrytymi głowami, mijały go w pośpiechu.

Posuwał się w głąb korytarza, nie widząc żadnych numerów ani tabliczek z nazwiskami.

Nie zastanawiał się wcześniej, co dokładnie powie, gdy napotka tu jakiegoś decydenta. Bratanek króla, wspomnij o bratanku. I oczywiście o Reliancie będącym największą firmą na świecie, firmą stworzoną do takich zadań. Pieniądze. Romantyczne Przeżycia. Samoobrona. Uznanie.

– Wygląda pan na nowego.

Kobięcy głos, głęboki i dźwięczny. Stała przed nim biała kobieta, blondynka, na oko czterdziestopięcioletnia. Włosy miała odkryte. W czarnej sukni zwisającej z ramion niczym kurtyna przypominała sędzię.

– Mam się z kimś spotkać – wyjaśnił.

– Alan Clay to pan?

Ten głos. Drżał, jakby ktoś delikatnie trącał niskie struny harfy. Północnoeuropejski akcent.

– Owszem.

– Ma pan się spotkać z Karimem al-Ahmadem?

– Zgadza się.

– Dzisiaj go tu nie będzie. Pracuję w sąsiednim biurze. Kazał mi się za panem rozejrzeć.

Allan zebrał się w sobie i błysnął uśmiechem.

– Nie, nie. Jestem po prostu zaskoczony. Całkowicie rozumiem. Jesteście tutaj na pewno bardzo zajęci.

Powiedziała, że nazywa się Hanne. Mówiła z akcentem. Alan przypuszczał, że jest Holenderką. Miała bladoniebieskie oczy i włosy obcięte zdecydowanymi ruchami nożyczek.

– Właśnie miałam wyjść na papierosa. Przyłączy się pan?

Wyszedł za nią przez szklane drzwi na szeroki balkon, gdzie inni pracownicy i konsultanci KAEC palili, rozmawiali i pili kawę oraz herbatę.

– Niech pan uważa na stopień – ostrzegła, ale było już za późno. Alan potknął się na chodniku poniżej drzwi i wyrzucił ręce przed siebie, jakby próbował wzbić się do lotu. Stało się to na oczach kilkunastu osób i ich usta rozciągnęły się w uśmiechu. Nie było to zwyczajne potknięcie. Wyglądało komicznie, dziko, teatralnie. Spocony przybysz wymachujący rękami na wszystkie strony, poruszany przez niewidocznych lalkarzy.

Hanne uśmiechnęła się współczująco i ręką wskazała mu miejsce naprzeciwko siebie na niskiej kanapie obitej czarną skórą. Jej spojrzenie wydało mu się niemal zalotne, choć było to przecież niemożliwe. Nie od razu po jego żenującym występie. Przypuszczalnie nigdy.

– Jest pan z Relianta?

– Tak, od niedawna.

Alan pomasaował sobie kostkę. Skręcił ją jeszcze mocniej.

– I przyjechaliście tutaj, by zrobić prezentację?

– Owszem, chodzi o dostarczenie miastu systemów informatycznych.

Rozmawiali dalej w ten sposób, a on rozglądał się podczas wymiany zdań. Żadna z kobiet na balkonie nie była zasłonięta, nawet Saudyjki. Ze wszystkich stron balkonu znajdowała się przesłona z czarnego tworzywa, która uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek poza morzem z przodu.

Uniemożliwiła również, jak przypuszczał, ujrzanie z dołu świata Czarnej Skrzynki, egalitarnego i wolnego od ograniczeń. Na tym polegała prowadzona w Królestwie zabawa w kotka i myszkę. Jego mieszkańcy byli zmuszeni odgrywać role nastolatków ukrywających swoje wady i zgubne skłonności przed tajemniczą armią rodziców.

– I jak sytuacja w Reliancie? – zapytała Hanne.

Powiedział jej, co wiedział, czyli bardzo niewiele. Wspomniał o kilku projektach, kilku innowacjach, ale dla niej i tak nie było to żadną nowiną. Okazało się, że wie o wszystkim, co robił, o jego interesach i innych związanych z nim rzeczach. W ciągu kilku minut wzajemnej prezentacji, oceniania, gdzie mogły się przeciąć ich ścieżki, zajęli się grupką firm konsultingowych, wytwórnią tworzyw sztucznych w Tajwanie, upadkiem Andersen Consulting i rozkwitem Accenture.

– Jest pan więc tutaj, żeby poznać ukształtowanie terenu – powiedziała Hanne, gasząc papierosa i zapalając następnego.

– Tak naprawdę próbuję jedynie poznać harmonogram. Kiedy moglibyśmy oczekiwać jakichś wieści o królu, takie rzeczy.

– Co panu powiedziano? Mam nadzieję, że nie złożyli żadnej obietnicy?

– Nie, nie – zaprzeczył. – Wyjaśnili wszystko dość wyraźnie. Ale żywię nadzieję, że dojdzie do tego niebawem. Nabrałem przekonania, że nasz prezes poznał jakoś króla. Że sprawa została ustalona między nimi i będzie załatwiona w przyspieszonym trybie.

Wyraz jej oczu świadczył o tym, że odnotowała tę nową informację.

– Cóż, wszyscy byśmy na tym skorzystali. Król od pewnego czasu tu nie zagląda.

– Czyli od jak dawna?

– No cóż, jestem tu od osiemnastu miesięcy i jeszcze go tutaj nie było.

XIV

Hanne nie mogła nie zauważyć, że wyraźnie zrzędała mu mina.

– Niech pan posłucha – powiedziała. – Pracuje pan dla Relianta. Pańscy ludzie na pewno wiedzą więcej niż ja. Jestem tylko konsultantką. Rozliczam płace. Jestem pewna, że to z powodu waszej prezentacji niebawem przyjedzie, prawda? Gdyby nawet przyjeżdżał jutro, byłabym jedną z ostatnich osób, które by się o tym dowiedziały.

Zgasiła drugiego papierosa i wstała.

– Idziemy?

Zaprowadziła go do budynku. Przeszli przez hol i znaleźli się w korytarzu biegnącym między przeszklonymi gabinetami i salami konferencyjnymi. Dziesiątki kobiet i mężczyzn, zarówno w zachodnich strojach biznesowych, jak i w lokalnym odzieniu, przemykały obok nich w różnych kierunkach. Gabinety i boksy były niemal całkowicie pozbawione wyrazu, wolne od wszelkich oznak, że ktoś zapuścił w nich korzenie lub zakładał długi pobyt. Na niektórych biurkach stały wyłącznie monitory, komputery odłączono i zabrano. Bezpańskie telefony, rzutniki skierowane ku oknom. Całe biuro wyglądało na świeżo otwarte i tak zapewne było.

Gabinet Hanne był szklaną kostką o bokach trzy na trzy i pół metra i wyglądał tak, jakby wprowadziła się tam przed kilkoma minutami. Stały w nim dwie srebrzyste szafki na akta oraz tanie biurko z płyty wiórowej pokrytej orzechową okleiną. Na ścianach pusto, jeśli nie liczyć przyklejonej

taśmą za jej biurkiem kartki z napisem STE CONSULTING. Czytając w myślach Alana, Hanne wyjaśniła:

– Zajmuję się umowami o pracę i wynagrodzeniami wszystkich kontrahentów. Nie mogę zostawiać dokumentów na wierzchu.

W gabinecie nie było żadnych rodzinnych zdjęć, żadnych świadectw ludzkich więzi. Gdy Hanne usiadła ze splecionymi przed sobą dłońmi, wyglądała zupełnie jak sędzia.

– Czy tam wszystko w porządku? – Skinęła głową w kierunku okna i teraz w sporej odległości za nim Alan zobaczył namiot.

– Taak, o to chciałem zapytać. Dlaczego król chce, by prezentacje odbywały się w namiocie? Czy nie byłoby...

– Cóż, w tym budynku nie ma więcej wykończonych pomieszczeń i nie możemy tutaj ulokować oferentów do czasu ewentualnej prezentacji. Gdybyście mieli się zainstalować w jednej z sal konferencyjnych, tygodniami lub miesiącami nie moglibyśmy z niej korzystać.

– A wi-fi? Nasz sygnał jest słaby lub nie ma go wcale.

– Na pewno się rozpytam.

– Bez tego nie będzie prezentacji.

– Rozumiem. Jestem pewna, że to zostanie załatwione. To pański pierwszy dzień?

– Drugi.

– Był pan w Arabii już wcześniej?

– Nie.

– Cóż, tutaj wszystko dzieje się w swoim tempie. A w dodatku wylądował pan w szczerym polu. Rozejrzał się pan po okolicy?

– Tak.

– Wi-fi to najmniejszy z naszych problemów.

Alan zdobył się na uśmiech. Zastanawiał się, czy cała ta sytuacja to nie jakiś wyrafinowany żart z nich wszystkich.

- Powinienem przyjść później?
- Czemu miałyby pan to robić?
- Powiedziała pani, że Karim al-Ahmad wróci później.
- Może tak, może nie. Lepiej po prostu zameldować się jutro.

Ta myśl wydawała się irytująca i zarazem kusząca, zważywszy, że wiedział, iż przez resztę dnia skazany jest na absolutną bezczynność.

Hanne się uśmiechnęła.

- Pochodzi pan ze Wschodniego Wybrzeża?

Skinął głową. Od początku usiłował powiązać jej twarz oraz akcent z konkretnym miejscem i teraz pomyślał, że mu się udało.

- A pani jest Dunką.

Zmrużyła oczy i przechyliła głowę. Ponowna ocena.

- Nieźle – przyznała. – Już się pan przystosował? Do różnicy czasu?

- Od sześćdziesięciu dwóch godzin nie zmrużyłem oka.

- Dramat.

- Czuję się jak szyba, którą trzeba stłuc.

- Ma pan tabletki?

- Nie. Wszyscy zadają mi to pytanie. Żałuję, że nie wziąłem.

Mrugnęła do niego znacząco i powiedziała:

- Ja coś mam.

Wyciągnęła klucz i otworzyła szufladę biurka, po czym położyła coś na podłodze i popychała to stopą, dopóki nie dotknęło goleni Alana.

- Niech pan nie patrzy w dół.

Alan zdążył już jednak spojrzeć pod nogi. Wydawało mu się, że w torbie na książki jest wysoka i płaska zielona butelka.

- Oliwa z oliwek? – zapytał.

– Oczywiście. I to właśnie proszę mówić wszystkim, którzy zapytają. Niech pan skosztuje, gdy już pan wróci do hotelu. Jestem prawie pewna, że to stłucze pańską szybę.

– Dziękuję.

Hanne wstała. Spotkanie dobiegło końca.

– To mój numer – powiedziała. – Proszę dzwonić, gdy będzie pan potrzebował pomocy.

Alan wrócił do namiotu i zastał troje młodych ludzi w trzech jego kątach. Każde siedziało po turecku z komputerem na kolanach, sprawdzając sygnał.

– Jakież wieści? – zapytał Brad.

Alan wetknął butelkę za fałdę w ścianie namiotu.

– Nic konkretnego – odparł. Wyjaśnił, że ich człowieka, al-Ahmada, nie ma tego dnia w biurze, ale będzie nazajutrz. – Jutro wszystkiego się dowiemy.

– Jadłeś coś? – zapytała Cayley. Ton jej głosu sugerował, że on, Alan, właśnie spożył przepyszny posiłek w Czarnej Skrzynce, ale im, którzy cierpieli głód w namiocie, niczego nie przyniósł.

Nie miał nic w ustach od śniadania. Jego młodzi współpracownicy wydawali się usatysfakcjonowani, że Alan jest tak samo bezsilny, jak poprzednio zakładali.

– Mamy więc dzisiaj przygotować prezentację? – upewniła się Rachel.

Alan nie wiedział, ale odparł:

– Wstrzymajmy się do jutra.

Byli chyba zadowoleni z tego wyjaśnienia i wrócili do swoich komputerów. Alan stał pośrodku namiotu, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien ze sobą zrobić. Nie miał nic konkretnego do roboty, nie musiał do nikogo dzwonić. Wycofał się do czwartego kąta namiotu i siedział tam beczynnie.

XV

Była siódma trzydzieści, gdy Alan pomyślał, że pora zwalić się z nóg. Wrócił do Hiltona o szóstej, zjadł kolację i teraz był gotów przespać pół doby. Otworzył butelkę po oliwie. Poczował toksyczny lekarski zapach. Pociągnął łyk. Płyn parzył mu usta niczym kwas, palił dziąsła i gardło. Hanne go oszukała. Czyżby próbowała go zabić?

Zadzwoił do niej.

- Co próbujesz mi zrobić?
- Kto mówi?
- Alan. Człowiek, którego próbujesz uśmiercić.
- O czym ty mówisz?
- Czy to benzyna?
- Dzwonisz z hotelowego telefonu?
- Tak. Dlaczego?
- Połączenie jest marne. Zadzwoń z komórki.

Spełnił jej życzenie.

W jej głosie pobrzmiwała irytacja.

- Ten towar jest tu nielegalny. Nie powinieneś więc dzwonić do mnie w tej sprawie z hotelowego telefonu.
- Naprawdę myślisz, że oni podsłuchują?
- Nie. Ale ludzie, którzy dobrze sobie radzą w Arabii Saudyjskiej, nauczyli się zachowywać ostrożność, unikać niepotrzebnego ryzyka.
- Więc to nie jest benzyna ani trucizna?
- Nie. Ale niewiele się różni od spirytusu zbożowego.

Alan powąchał wylot butelki.

- Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem.
- Nie ma sprawy. Cieszę się, że zadzwoniłeś.
- Chyba po prostu muszę się wyspać.
- Wypij parę łyków, to zaśniesz.

Rozłączył się i pociągnął kolejny łyk. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Każda kropla trunku wyżerała mu gardło, ale gdy docierała do żołądka, czuł w nim ciepło, które wynagradzało ból.

Wziął flaszkę i wyszedł na balkon. Nie poczuł bryzy od brzegu. Jeśli już, to odkąd przyjechał do hotelu, zrobiło się jeszcze upalniej. Usiadł i oparł stopy o balustradę. Pociągnął jeszcze jeden łyk z butelki. Pomyślał o Kit. Wrócił do pokoju, znalazł hotelową papeterię i zabrał trzy arkusze z powrotem na balkon.

Pisał na kolanie, z nogami na balustradzie.

„Droga Kit, twierdzisz, że Twoja matka zawsze była »emocjonalnie niezrównoważona« i nadal taka jest. To do pewnego stopnia prawda, ale kto z nas pozostaje przez cały czas taki sam? Przyznasz chyba, że ja od lat jestem ruchomym celem”.

Nie, musiał być bardziej konstruktywny.

„Kit, Twoja matka jest ulepiona z innej gliny niż Ty i ja. Z bardziej wybuchowego i palnego tworzywa”.

Wykreślił te słowa. Największy dramat z jego byłą żoną polegał na tym, że mówiąc o niej, Alan wychodził na łajdaka. Ruby wiele razy wyrządziła mu wielką krzywdę – rozdzierała mu duszę, wlewała w nią jad, po czym zaszywała to rozdarcie – ale Kit nie mogła tego wiedzieć. Wypił kolejny łyk. Poczuł, jak usta powoli mu drętwieją. Pociągnął jeszcze raz ze

szklanki. Mój Boże, pomyślał. Wystarczyły dwa głębsze, by znalazł się w stanie nieważkości.

Wszedł do pokoju i otworzył laptopa. Chciał zobaczyć córkę. Niedawno przysłała mu zdjęcie z jakichś letnich targów pracy w Bostonie, na którym stała z dwoma odzianymi w garnitury przyjaciółmi. Była jeszcze dzieckiem z buzią cherubinka, która pozostanie młoda dłużej, niż było komukolwiek pisane. Otworzył folder ze zdjęciami i znalazł to, czego szukał. Twarz Kit była na tej fotografii zaróżowiona, okrągła, piegowata i promienna. Jej przyjaciele, których imiona powinien znać, ale nie potrafił sobie ich przypomnieć, nachylali się ku niej, a ich głowy się stykały – piramida młodszej nadziei i naiwności.

Ponieważ już był w galerii zdjęć, rozległej siatce jego życia w miniaturkach, cofnął się w czasie. Wszystko tam było i myśl o tym go przeraziła. Z okazji urodzin Alana Kit zabrała z jego garażu kilkadziesiąt albumów i wysłała je do serwisu, w którym zeskanowano wszystkie fotografie i umieszczono je na płycie. Zrzucił całą jej zawartość na dysk swojego laptopa i teraz było tam wszystko: zdjęcia z jego dzieciństwa, z okresu życia z Ruby, z narodzin i dorastania Kit. Ktoś, Kit albo dyskretyzatory, ułożył je mniej więcej chronologicznie i teraz Alan mógł – i nader często korzystał z tej możliwości – w ciągu kilku minut przejrzeć setki zdjęć, dokumentację swego życia. Wystarczyło, że przycisnął palcem strzałkę przewijania w lewo. To było zbyt łatwe. I niezdrowe. Utrzymywało go w niebezpiecznym stanie nostalgii, żalu i trwogi.

Alan wypił kolejny łyk. Zamknął komputer i poszedł do łazienki, gdzie miał zamiar się ogolić. Zamierzał wziąć prysznic. Zamierzał wziąć kąpiel. Zamiast tego złapał się za kark. Narośl była twarda, zaokrąglona i wystawała z jego kręgosłupa niczym małe pięść.

Nacisnął ją i nie poczuł bólu. Nie była jego częścią. Nie było w niej zakończeń nerwów. To nie mogło być nic poważnego. Czym w takim razie było? Nacisnął mocniej i teraz poczuł, jak ból błyskawicznie spływa po kręgosłupie. Były połączone. Na rdzeniu kręgowym wyrósł mu guz, który niebawem sprawi, że komórki rakowe powędrują w górę i w dół kanału kręgowego, do mózgu, do stóp, wszędzie.

To wszystko pojawiło się naraz. Rozrastający się z wolna guz pętał tego niegdyś pełnego życia mężczyznę, czyniąc zeń cień człowieka, którym kiedyś był. Alan potrzebował lekarza.

Włączył telewizor. W dzienniku coś na temat flotylli opuszczającej wody Turcji i zmierzającej do Strefy Gazy. Pomoc humanitarna, powiedzieli. Katastrofa, pomyślał. Znowu łyknął ze szklanki. Zdał sobie sprawę, że ostatnich kilka haustów doprowadziło go ze stanu podchmienia do zawrotów głowy. Odrętwienie objęło teraz okolice nosa. Podniósł szklankę, uwolnił z niej ostatnią kroplę trunku i posłał ją w głąb gardła.

Ruby śmiała się głośno i głośno się kłóciła. Najśmielej zachowywała się na chodnikach. *Niech pani nie bije tego dziecka*, powiedziała do nieznajomej kobiety, gdy wychodzili z Toys „R” Us. Kit miała wtedy pięć lat. Ruby nigdy nie mówiła z jakimkolwiek akcentem, ale te słowa wypowiedziała przez nos. Alan mógł się tylko domyślać, że uznała, iż udawanie prowincjonalnego pochodzenia pozwala jej na interwencję, osłabi dzielące je różnice klasowe.

Alan usłyszał te słowa i wyszedł z Kit ze sklepu; wiedział, że zaraz zaczną się problemy. Niebawem siedział już w zaparkowanym samochodzie, z zapiętą w foteliku Kit. Gdy mijał kobietę dającą klapsa swemu dziecku, wiedział, że Ruby coś powie; wiedział też, że kobieta nie pozostanie jej dłużna, i nie chciał tego słyszeć. Nie miał pojęcia, że na tym się nie skończy, ale gdy Ruby dotarła do samochodu, płakała i miała

zaczerwienioną twarz. Została spoliczkowana. *Możesz to sobie wyobrazić? Ta suka mnie uderzyła!*

Mógł. Kobieta sprawiała wrażenie osoby, która jest do tego zdolna. Biła przecież swojego syna – uderzenie rugającej ją za to nieznajomej przyszło jej z łatwością. Znał zbyt dużo takich historii. Kłótnie o miękka marchew w sklepie spożywczym prowadziły do krzyków, zniewag, sceny niezapomnianej dla wszystkich w ich miasteczku. Niebawem musieli jeździć trzy kilometry dalej do innego supermarketu. Ruby przechodziła od zwykłej wymiany zdań dotyczącej konkretnej sprawy do ogólnych uwag na temat życia i zamiarów rozmówców. Wy pieprzeni nieudacznicy! Hipokrycy! Cholerni zombie ze spożywczaka!

Narośl na karku znowu zaczęła go kusić. Jeśli była ciałem obcym, nie zaszkodziłoby ją nakłuć. Tylko tak można było to sprawdzić. Dowiedzieć się. Jeśli narośl nie jest ciałem obcym – jeśli stanowi zniekształconą część kręgosłupa – gdy ją natnie czymś ostrym, poczuje ból.

Pociągnął spory haust z butelki i po kilku sekundach był przed lustrem, trzymając w dłoni nóż z ząbkami, którym jadł kolację. Miał niejasne przeczucie, że będzie tego żałować. Zapalił zapalniczkę i jak najstaranniej wysterylizował ostrze. Po czym powoli wkręcił czubek noża w narośl. Poczuł ból, ale tylko taki, jaki normalnie wiązał się z nakłuwaniem skóry. Gdy dotarł do narośli, a w ciągu kilku sekund zrozumiał, że tak się stało, nie stwierdził niczego niezwykłego. Jedynie ból. Zwyczajny, fascynujący ból. Krwawienie było znikome. Zatamował je ręcznikiem.

Cóż odkrył? Że to rodzaj torbieli, coś nieunerwionego, że to go nie zabije, że nieodpowiednio wysterylizował nóż.

To byłby problem. Mimo to zadowolony ze swoich chirurgicznych umiejętności podszedł do balkonu i wyjrzał przez okno, na autostradę

i wszystkich jej maleńkich użytkowników. Morze Czerwone leżało za nią, bezwładne, skazane na zagładę. Saudyjczycy czerpali z niego wodę do picia. W latach siedemdziesiątych odprowadzili kilkadziesiąt miliardów litrów wody, by ją odsolić i zasilić nią pola pszenicy – teraz cały ten ryzykowny projekt zarzucono. Teraz wypijali to morze. Mój Boże, pomyślał Alan, czy w tej części świata jest miejsce dla ludzi? Ziemia jest jak zwierzę, które strząsa z siebie pchły, gdy dostają się zbyt głęboko i gryzą zbyt mocno. Porusza się i nasze miasta upadają; wzdycha i wybrzeża toną. Tak naprawdę w ogóle nie powinno nas tutaj być.

„Droga Kit, kluczowa sprawa to świadomość, jaką rolę odgrywasz w świecie i jego historii. Myślisz za dużo i wiesz, że jesteś nikim. Myślisz w sam raz i wiesz, że jesteś mała, ale ważna dla niektórych ludzi. To najlepsze, co możesz zrobić”.

O cholera, pomyślał. To by jej raczej nie zainspirowało. Nie powinien przelewać tego na papier.

„Kit, wspomniałaś w swoim liście chwilę, kiedy zabieraliśmy Twoją mamę z więzienia. Nie zdawałem sobie sprawy, że o tym wiesz”.

Ruby powiedziała córce o prowadzeniu samochodu w stanie nietrzeźwym.

„Miałaś zaledwie sześć lat. Potem nigdy nie rozmawialiśmy o tym zdarzeniu. Owszem, dostała wyrok za jazdę po spożyciu alkoholu. Spała w samochodzie, gdy znaleziono ją po tym, jak wjechała w sklepową witrynę. Nie jestem pewien, jak się o tym wszystkim dowiedziałaś. Od niej?”

Kit uciekała właśnie od tego. Od przeciążenia. Od ciężarów, które jej matka stale i bez żadnej selekcji zrzucała z serca.

„Jeśli rzeczywiście Ci powiedziała, to nie powinna była tego robić”.

Alan spał, gdy zadzwonił wtedy telefon. „Pan Alan Clay, mąż Ruby?” Była w więzieniu w Newton. Nie pozostało mu nic innego, jak zapakować Kit do samochodu i pojechać po Ruby; gdy ją odbierał, nadal była nawalona. „Wygląda na to, że przyjechałeś” – zauważyła. To miał być wyrzut, rodzaj poniżenia. Powiedziała do Kit: „Cześć, skarbie” i usnęła w drodze do domu.

„Droga Kit, czy zamiast fascynującej kobiety, takiej jak Twoja mama, wolałabyś mieć za matkę jakąś przewidywalną...

Twoja matka to rzadki gatunek. Jest fascynująca, dynamiczna...”

Teraz opisywał sportowy samochód. Czy dzieci chciały mieć rodziców podobnych do sportowych samochodów? Nie. Chciały mieć hondy. Chciały mieć gwarancję, że ten samochód zapali o każdej porze roku.

„Kit, wiesz, co jest w tej chwili kluczowe w relacjach z Twoimi rodzicami? Litość. Dzieci jako nastolatki, i potem, gdy wchodzi w dorosłość, stają się bezlitosne. Wszystko oprócz doskonałości jest ich zdaniem żalosne. Dzieci potępiają ze starotestamentową łatwością. Każdy błąd jest niewybaczalny, jakby rodzice złamali umowę, że będą doskonali. A gdyby tak rodzicom przysługiwała taka sama litość, taka sama empatia jak innym ludziom? Dzieci muszą mieć w sobie więcej z Jezusa”.

Poczuł coś mokrego na plecach, strużkę spływającą do pasa. Spojrzał w górę, sądząc, że to deszcz. I wtedy zrozumiał. Krew. Zapomniał się ogarnąć lub opatrzyć po zabiegu. Wrócił do pokoju, ściągnął koszulę i wykręcił szyję przed lustrem. Było lepiej, niż się spodziewał – trzy szkarłatne pnącza zmierzające ku talii. Wytarł je drugim ręcznikiem. Pomyślał o pracownikach pralni chemicznej, którzy usuną krew z jego białej koszuli. Nie będą o nic pytać.

Nie mamy tutaj związków. Mamy Filipińczyków.

Najwyższy czas, by napełnić szklankę. Nikt go tutaj nie widział. Tak dobrze było być niewidocznym. Cały dzień spędził wśród młodych członków swojego zespołu, od czasu do czasu na widoku, ktoś, kogo przypuszczalnie należy podziwiać, senior. Nawet woskowiinę z uszu należało wydłubywać bardzo delikatnie i szybko. Ale teraz był w tym pokoju. Nikt nie widział krwi, którą ścierał z karku. Nikt nie wiedział o jego ukradkowym zabiegu i o różnych odkryciach. Kochał ten pokój. Czy naprawdę mogło tak być? Ale rzeczywiście go kochał i dotknął ściany, żeby tego dowieść.

Wlał do szklanki kolejną porcję przezroczystego płynu. Wcale nie tak dużo. Nie tak dużo. Butelka była nadal w połowie pełna. Pociągając następny łyk, uznał, że ma cudowny smak. Wszystko było nadzwyczaj cudowne. Upojenie alkoholowe dawało satysfakcję. Dostrzegał jego urok. Znowu sobie nalał. Niecierpliwy brzęk szkła o szkło. Znosząca wszelkie reguły fala płynu wpadająca do szklanki.

Stał. Wydawało mu się, że pokój się kołysze. Miał odrętwiałe ciało. Podłoga stanowiła most linowy, obszarpany i poskręcany. Czy zaraz zrobi mu się niedobrze? Nie, nie. Co Saudyjczycy pomyśleliby o człowieku wymiotującym w takim pokoju? Podeszedł chwiejnym krokiem do łóżka, wyprostował się i popatrzył w lustro. Uśmiechał się. Było cudownie. Jak podczas dnia poprzedzonego sugestywnym snem – cały czas miało się poczucie, że dokonało się czegoś niezwykłego, i wrażenie, jakby ów dzień był potrzebnym i zasłużonym dalszym ciągiem tej przygody. Wzbogacającym życie, podwajającym jego wartość. I w tym momencie czuł się podobnie. Czuł się kimś więcej niż sobą. Miał wrażenie, że robi coś nadzwyczajnego. Naprawdę cudowny dodatek do tego dnia, z pulsującymi barwami ulicy i przemieszczającą się w ten sposób podłogą.

Ściany okazały się jego przyjaciółkami. Coś było w tym picciu do lustra. Czemu nie zdecydował się na to wcześniej? Mógł robić to wszystko i nikt by go za to nie potępił. To wszystko należało do niego. Łóżka. Biurko, ściany, przestronna łazienka z telefonem i bidetem. Podszedł do drugiego łóżka i popatrzył na swoje rzeczy, elektryczną maszynkę do golenia, przewodnik oraz segregatory i teczki, rozłożone, gotowe.

Spojrzał na poduszki u wezglowia łóżka i pomyślał: Jesteście takie białe. Spodobało mu się brzmienie tych słów i zapragnął, by poduszki je usłyszały.

– Jesteście takie białe – powiedział. – A teraz przestańcie się gapić.

Dopił trunek i ponownie napełnił szklanekę. To przygoda, pomyślał. Księżycówka robi ze mnie poszukiwacza przygód. Wtedy wreszcie zrozumiał, dlaczego ludzie piją w samotności i dlaczego piją więcej, niż pić powinni. Co wieczór zdarza im się przygoda! To naprawdę miało sens.

Musiał zadzwonić do Kit. Nie, nie do niej. Do kogoś jednak musiał. Podniósł telefon. W skrzynce była jedna wiadomość. Nadeszła w ciągu ostatniej godziny. W Bostonie świtało. Przesłuchał pocztę głosową. Pierwsza wiadomość pochodziła od Erica Ingvalła. „Cześć, stary. Nie mam od ciebie żadnych wieści, więc zakładam, że wszystko gra. Zamelduj się jutro, jeśli będziesz miał taką możliwość. Potrzebuję sprawozdania”.

Druga wiadomość przysłała od Kit. „Zadzwoń do mnie. To nic poważnego”.

To sprawiło, że tym bardziej zapragnął do niej zadzwonić, ale słuchając jej spokojnego i bardzo przyciszonego głosu – Kit była drobna i mówiła wysokim, choć zawsze stanowczym i wyraźnym głosem – zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że tego wieczoru nie sprawi na niej dobrego wrażenia. Był zmęczony i pijany, wiedział dobrze, że się wstawił i nie powinien dzwonić do córki w takim stanie, zwłaszcza jeśli chciał ją przekonać, że może łożyć na jej utrzymanie.

Usiadł przy biurku i napisał:

„Droga Kit, rodzicielstwo jest sprawdzianem wytrzymałości. Trzeba mieć hart ducha triatlonisty. Ludzie mówią: To idzie tak szybko. One tak szybko dorastają. Ja jednak nie pamiętam, by kiedykolwiek tak to wyglądało. To było dziesięć tysięcy dni, Kit, wymagających żołnierskiego poczucia porządku i precyzji. Nigdy nie spóźniłaś się do szkoły, na trening, na cokolwiek. Pomyśl o tym! To była misterna konstrukcja z codziennych posiłków, wizyt, badań, ustanowionych i wymuszonych reguł, wypraszanego i ofiarowanego współczucia, bardzo bolesnej i tłumionej frustracji. Nie da się powiedzieć, że to szło powoli lub wydawało się zbyt długie. Tylko że nie szło szybko”.

Prawdopodobnie będzie musiał wyciąć tę część. Nie ujął tego we właściwy sposób. Ale taka była prawda. Wychowywanie dziecka to wznoszenie katedry. Nie da się pójść na skróty.

„Mogę więc dostać trochę swobody? Daj nam obojgu trochę luzu. Pamiętam, jak uświadomiłem sobie, że moi rodzice są takimi samymi hipokrytami jak wszyscy. Miałem wtedy osiemnaście lat. I potem podniecałem się siłą, którą dawała mi ta świadomość. Ale co ja wiedziałem? Chyba zdałem sobie sprawę, że od czasu do czasu kłamią. I że moja matka zażywa tabletki, że gdy byłem młodszy, na jakiś czas uzależniła się od morfiny. Tak więc pomiatałem nimi. Uważałem, że jestem ich ulepszoną wersją. To przywodzi na myśl członków Hitlerjugend i Czerwonych Khmerów, prawda? Dzieci, zarozumiałe i nieskalane, strzelające do dorosłych na polach ryżowych”.

Odłożył pióro. Ledwie widział kartkę.

Wstał i sufit zawirował nad nim. Upadł na łóżko i spojrzął na ścianę. Nie docenił tej księżycówki. Nie docenił jej nawet wtedy, gdy zdał sobie sprawę

z jej mocy. Hanne, ty diablico! – pomyślał. Naprawdę kocham ten świat. To, jak wykonano tę ścianę. Kocham ludzi, którzy ją zrobili. Zrobili tutaj dobre rzeczy.

XVI

Alan otworzył oczy. 10:08. Znowu nie zdążył na mikrobus. Zadzwoeni do Jusufa.

Spuścił nogi z łóżka i stanął w ciemnym pokoju. Wiedział, że za grubymi zasłonami jest jasny dzień, zbyt jasny, by oglądać go z bliska. W karku czuł ostry ból. Odnotował w myślach, że ma zbadać narośl pod prysznicem.

Stał, odnalazł lustro nad biurkiem i spojrzał na siebie. Twarz miał zapitą, policzki zapadnięte, podgardle obwisłe teatralnie na koszulę.

Umył się pod prysznicem i pomyślał: Kim jest człowiek, który nie zdążył na mikrobus nie raz, ale dwa razy w ciągu trzech dni? Kim jest człowiek, który znowu spał do dziesiątej, nie odbierając zapewne telefonów i nie reagując na pukanie do drzwi?

W tym momencie wyraźnie przypomniał sobie, że słyszał pukanie i głos jakiejś kobiety pytającej: „Alanie? Alanie?”. Warknął na nią, odpowiadając z kwitkiem, przekonany, że to pokojówka. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że przecież pokojówka nie zwracałaby się do niego po imieniu. To musiała być Rachel albo Cayley. Rachel. Teraz to sobie uświadomił.

Wytań się do sucha i podniósł słuchawkę hotelowego telefonu. Aparat był odłączony. Kiedy to zrobił? Pamiętał sporo z poprzedniego wieczoru, ale w pewnym momencie urwał mu się film. Stwierdził, że w drzwiach łazienki, tuż nad podłogą, jest wgniecenie. Jego laptop leżał pod łóżkiem. I nagle go olśniło: czyżby ktoś splądrował jego pokój? Może obawy Hanne przed tajną policją były uzasadnione. Byli tu funkcjonariusze Muttawy.

Podśluchali ich rozmowę i gdy spał, weszli do pokoju, żeby zbadać sprawę. Pudło. Po pierwsze, bimber nie zniknął, butelka była w połowie pełna.

Zadzwoił do Jusufa.

– Masz czas?

– Alan? Brzmisz okropnie. Ktoś na ciebie napadł?

– Możesz mnie zawieźć do KAEC?

– Oczywiście. Ale muszę zapytać: spóźniasz się na ten mikrobus celowo, żeby spędzać więcej czasu z Jusufem, twoim przewodnikiem i idolem?

– Za dużo mówisz – odparł Alan.

– Będę za dwadzieścia minut.

Alan wsunął ciężkie jak ołów ręce w rękawy czystej koszuli, czując, że niszczy nieskazitelną bawełnę. Gdy ją zapinał, kołnierzyk ocierał mu kark, powodując dotkliwy ból. Podszedł do lustra w łazience i obrócił się wokół własnej osi, ale nic nie zobaczył. Żeby dojrzeć to, co wyglądało jak rana postrzałowa lub raczej ślad po ugryzieniu przez szczura usiłującego zrobić Alanowi dziurę w plecach, potrzebował dwóch luster ustawionych pod odpowiednim kątem. Powoli napłynęło mgliste wspomnienie. Czyżby potraktował narośl na swoim karku nożem? Czy to możliwe? I znowu rozpętała się w nim walka między jego odpowiedzialnym ja, które poznał tego rana i które kazało mu zatrudnić kierowcę, by pojechać do przyszłego miasta na nadmorskiej pustyni, choć kosztowało to krocie, a tą jego częścią, która skłoniła go do hulanki w hotelowym pokoju, dźgania nożem urojonych guzów, kopania w drzwi i pisania listów, mimo że nie mógł ich wysłać. Które z tych ja było zbędne? Stawiał sobie to pytanie przez całe życie.

Rozejrzył się po łazience za czymś w rodzaju bandaża lub środka antyseptycznego. Niczego jednak nie znalazł. Zapiął koszulę, mając

nadzieję, że nikt nie zauważy, co sobie zrobił.

Zszedł na parter. Usiadł w atrium i zamówił kawę. Przy biurku konsjerża stała elektroniczna tablica informująca o imprezach, które miały się odbyć tego dnia w hotelu.

NOWE TRANSAKCJE TERMINOWE: Sala Medyna

DOSTAWY W HANDLU ARABSKIM: Antresola

ZASADY BANKOWOŚCI: Hol Hiltona

DROGA DO SUKCESU, CZĘŚĆ I: 10:00

DROGA DO SUKCESU, CZĘŚĆ II: 11:00

W Hiltonie mógł przed południem odnieść sukces. Po co więc jechał do namiotu nad morzem?

Pił pierwszy łyk, gdy zjawił się Jusuf.

– Alanie.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Witaj – rzekł.

– Wyglądasz gorzej, niż się spodziewałem. Co się stało?

– Po prostu noc... – Alan ugryzł się w język. Chociaż byli w przyjaznych stosunkach, nie wiedział, co Jusuf myśli o picciu alkoholu. – To ze względu na różnicę czasu. Nigdy nie odczuwałem jej tak dotkliwie.

Jusuf uśmiechnął się znacząco.

– W Alabamie studiowałem w college'u. Potrafię rozpoznać kaca. Skąd miałaś gorzałę?

– Wolałbym nie mówić.

Jusuf się roześmiał.

– Wolałbyś nie mówić? A myślisz, że natrafiłeś na jakiś wyjątkowy towar? Że mógłbyś narazić swoje źródło dostaw na niebezpieczeństwo?

– Uważasz, że to zabawne.

– Owszem.

– Obiecałem.

– Nie mówić?

– Nie łamię obietnic.

– O Boże. Nie ma sprawy. Ale słuchaj: nie musisz jechać do KAEC. To wykluczone, by król dzisiaj tam przyjechał. Jest w Jemenie. Popatrz.

Jusuf wziął gazetę Alana i pokazał mu trzecią stronę ze zdjęciem Abdullaha na polu startowym jemeńskiego lotniska. Alanowi nie wspomniano o tym ani słowem.

– Powiniennem jednak pojechać, dla zachowania pozorów.

– Nie chciałbyś najpierw czegoś zjeść? Już i tak jesteś spóźniony.

Wyszli przed hotel. Światło dzienne, którego Alan tak się bał, było rozproszone i łagodne. Poczuł, że ktoś się o niego zatroszczył, jakby niebo i słońce miały go oczyścić, jakby mogły zmyć z niego ślady nocnej rozpusty. Boy hotelowy, ogromny mężczyzna z sumiastymi wąsami, uśmiechał się szeroko do Jusufa.

– *Salam* – rzekł do niego Jusuf i uścisnął mu dłoń. – Przychodzi do sklepu mojego taty. Kupuje sporo sandałów – wyjaśnił Alanowi.

Alan wsiadł do samochodu, a Jusuf znowu zaczął szukać czegoś pod maską. Po minucie Alan wysiadł i podszedł, by mu pomóc.

– Czego szukasz? Czerwonych lasek dynamitu?

– Nie jestem pewien – odparł Jusuf. – Może jakichś podejrzanych przewodów?

Alan pytał dla żartu.

– Naprawdę nie wiesz?

– A niby skąd miałbym wiedzieć? Oglądam te same seriale co ty.

Dwaj mężczyźni, z których żaden nigdy nie widział bomby, przyglądali się wspólnie silnikowi samochodu Jusufa, żeby sprawdzić, czy jej tam przypadkiem nie ma.

- Nic tu nie widzę – stwierdził Alan.
- Ja też nie.

Wsiadli do auta. Jusuf wsunął kluczyk do stacyjki.

- Gotów?
- Nie przydawaj temu dramatyzmu.

Jusuf przekręcił kluczyk. Silnik zawył. Alanowi serce waliło jak młotem.

Odjechali spod hotelu, znowu mijając tego samego saudyjskiego żołnierza na dachu humvee, z twarzą w cieniu rozpiętego nad głową plażowego parasola i stopami w dmuchanym baseniku.

- Więc twój tato ma sklep?
- Na starym mieście. Sprzedaje sandały.
- Czekał. Twój tato sprzedaje sandały?
- Tak.
- Mój także. Niewiarygodne.

Alan spojrzał na Jusufa, spodziewając się chyba, że to jakiś żart. Ten zbieg okoliczności był zbyt nieprawdopodobny.

– Nie wierzysz mi? – zapytał Jusuf. – Pokażę ci ten sklep, zanim wyjedziesz. Właśnie tam pracowałem jako nastolatek. Wszyscy musieliśmy to robić, moi bracia i ja. Ale mój tato jest despotą. Nie chce nas słuchać. Zwłaszcza mnie. Mógłbym mu bardzo pomóc, unowocześnić to miejsce, ale jest już stary. Nie chce słyszeć o żadnych nowinkach.

Wszyscy bracia Jusufa wybrali inne profesje. Jeden był lekarzem w Jordanii. Drugi imamem w Rijadzie. Trzeci studiował w Bahrajnie.

Jechali teraz autostradą.

- Może jakiś dowcip? – zaproponował Jusuf. – Na szczęście.
- To saudyjski zwyczaj?

– Nie wiem. Nie znam naszych zwyczajów. Nie wiem też, jakie one są zdaniem innych ludzi. Nie jestem pewien, czy w ogóle mamy jakieś zwyczaje.

– Dzisiaj żaden dowcip nie przychodzi mi do głowy – stwierdził Alan.
Potem jednak przypomniał sobie pewien kawał.

– No dobra. Mąż i żona szykują się do snu. Żona stoi przed wysokim lustrem, patrząc na siebie surowo. „Wiesz, mój drogi – mówi – spoglądam w lustro i widzę w nim starą kobietę. Twarz cała w zmarszczkach, włosy siwe, ramiona zgarbione, nogi grube, a skóra na rękach zwiotczała”. Odwraca się do męża i mówi: „Powiedz mi coś pozytywnego, żebym poczuła się lepiej”. Mąż przygląda się jej bacznie, zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym cichym i życzliwym głosem mówi: „Cóż, wzrok masz wyśmienity”.

Jusuf wybuchnął głośnym, zbyt głośnym śmiechem.

– Ucisz się, proszę.

– Tak bardzo boli cię głowa? Pewnie piłeś jakieś marne *siddiqi*.

– Co to takiego?

– *Siddiqi* znaczy „mój przyjaciel”. Tym się właśnie raczyłeś.

– Zaprzeczam.

– Nie jestem z policji religijnej, Alanie. A ty nie jesteś pierwszym biznesmenem, którego wożę. Sekundę.

Przed nimi był punkt kontrolny. Dwóch młodych żołnierzy stało na pasie rozdzielczym, zatrzymując przejeżdżające samochody. Po drugiej stronie drogi trzej inni siedzieli w radiowozie. Jusuf opuścił szybę. Żołnierz wymamrotał pytanie, Jusuf odpowiedział, a tamten machnięciem ręki kazał mu jechać dalej. I to wszystko. Jusuf ruszył.

– I po kontroli? Naprawdę nie chciał niczego zobaczyć?

– Czasami chcę.

– Szukają kogoś konkretnego?

– Być może. To wszystko na pokaz. Tutaj nikt nie chce być żołnierzem. Gdyby mogli, daliby tę robotę cudzoziemcom.

Wyjechali z miasta i wkrótce znaleźli się na tej samej opustoszałej autostradzie. Minęła ich wioząca palmy ciężarówka, wzbijając drobny pył.

– Jesteś głodny czy nie?

– Nie jestem pewien.

– Jak już masz się spóźnić, to porządnie. W zeszłym roku przez kilka tygodni woziłem pewnego gościa z Teksasu. To on mi zaserwował ten tekst. Jeśli spóźnisz się pół godziny, wygląda na to, że się pomyliłeś. Jeśli o dwie, wygląda na to, że zrobiłeś to umyślnie.

Jusuf wybrał lokal przy drodze kilka kilometrów dalej. Zjechali na pobocze. Restauracja nie była zadaszona, tworzył ją ciąg sal odgradzonych niskimi murkami. Weszli do głównego budynku. Woń ryb przytłaczała. Wyobrażając sobie swój pierwszy posiłek po nocnej popijawie, Alan nie myślał o owocach morza. Miał ochotę na chleb i bekon.

Jusuf zaprowadził go do szerokiej gabloty z setkami ryb ułożonych na bryłach lodu.

Alan omal nie zwymiotował.

– Masz na coś ochotę? – zapytał kierowca.

Alan miał ochotę na wszystko oprócz ryb. Chciał wyjść i kupić sobie coś suchego. Krakersy, chrupki. Przywykł jednak do jedzenia każdej potrawy, jaką postawią mu pod nos.

– Sam wybierz – odparł.

– Weźmy kilka tych – zaproponował Jusuf, wskazując skinieniem głowy dwie srebrzystoróżowe ryby długości trzydziestu centymetrów. – Nazywamy je nadzel. Nie jestem pewien, jak nazywają się po angielsku. – Zamówił je dla nich obu.

Usiedli na zewnątrz, chociaż nie było tam krzeseł. Zwyczajowo do posiłku układano się na podłodze, w pozycji pólężącej, każdy klient wspierał się na sztywnej poduszce.

Po chwili muchy obsiadły im kolana i ręce. Alan przepędził natrętne owady, ale nie zniechęcił ich na długo. Myśl o jedzeniu ryb na wolnym powietrzu, w tym skwarze, pozbawiła go apetytu. Jego uwagę przykuł odgłos jakiegoś zwierzęcia. Na biegnącym obok niskim murku zainstalował się kot. Wyglądał, jakby miał tysiąc lat. Jego lewe oko było pokryte bielmem, a dolny ząb sterczał mu w górę z pyszczką jak odwrócony kieł. Wydawało się niemożliwe, by takie stworzenie mogło dożyć następnego dnia. Jusuf wrzasnął na szefa sali, który podszedł z miotełką i przegonił wiekowego czworonoga za następny murek.

Telefon Jusufa zadrżał i jego kciuki przystąpiły do pracy.

– Moja dziewczyna – rzucił.

Alan przyznał, że pogubił się w kwestii kobiet Jusufa.

– Zaraz ci wytłumaczę – odparł Jusuf. Był zaręczony z pewną dziewczyną, Aminą, którą znał jako nastolatek. Kiedy przedstawili swoje zamiary jej rodzicom, ojciec odmówił zgody na ślub. Zarzut przeciwko Jusufowi był poważny: pochodził z klanu Beduinów, a dla niektórych Saudyjczyków z klas wyższych było to nie do przyjęcia.

– Oni uważają nas za dzikusów – wyjaśnił.

Jego ojciec był sklepikarzem, wieśniakiem, człowiekiem niewykształconym. To, że świetnie sobie w życiu poradził, że zarobił miliony dinarów – zauważył Jusuf – i postawił potężny ogrodzony dom w rodzinnej wiosce, że zniwelował górę, aby go zbudować, nie miało znaczenia.

– A więc plan upadł?

Alan wyobraził sobie całą gamę możliwości: nie mogli po prostu wyjechać z kraju? Uciec?

– Nie można było nic poradzić. Ale nic się nie stało. Nie myślę już o niej tak często. Tak czy owak, rodzice znaleźli mi kogoś innego.

Dżamila, którą mu wybrali, była wspaniała, wyjaśnił Jusuf, to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział, i nagle stała się jego. Pobrali się kilka miesięcy później; choć uwielbiał na nią patrzeć, przyglądać się, jak chodzi po pokoju, to byli zupełnie niedobrani.

– Była głupia jak gęś.

Rok później się rozwiedli i znowu był kawalerem.

– Zawsze mam dramatyczne relacje z kobietami. Ale z Nur jest inaczej.

Nur, nieco młodsza, dwudziestotrzyletnia magistrantka, była jego dziewczyną na tyle, na ile coś takiego było dozwolone. Poznali się w sieci.

– Jest taka błyskotliwa – powiedział. – Codziennie mi dopieprza. I pochodzi w prostej linii od proroka Mahometa. Przysięgam, że to prawda.

Znajomość z Nur się rozwijała, dodał Jusuf, i gdy oboje starali się wymyślić, jak poinformować rodziców o swoich zamiarach, zaczął dostawać SMS-y od swojej byłej, Dżamili, obecnie żony bogatego czterdziestokilkuletniego mężczyzny. Jusuf podejrzewał, że jest zbokiem szukającym partnerów w innych krajach.

– Lata do Europy i uprawia seks z chłopcami.

– Lubi się zabawić?

– Zabawić? Nie. Według ciebie to znaczy, że jest wesoły?

Alan nie był na tyle przytomny, by podążyć tym tropem, więc dał spokój.

Przynieśli jedzenie. Talerze pełne pokrojonej sałaty, ogórków i pomidorów, brązowego ryżu, khobezu – chleba przypominającego indyjski naan – a potem ryby. Jusuf zakreślił kółko nad swoim posiłkiem i rzekł:

– *Sjadja.*

Ryby były smażone w głębokim tłuszczu, ale poza tym wyglądały tak samo jak te, które widzieli za szybą, z oczami, ościami i całą resztą. Alan ułamał kawałek chleba i rzucił się na rybie mięso. Ugryzł kęs.

- Dobra? – zapytał Jusuf.
- Znakomita. Dzięki.
- Jak coś usmażysz, to dobrze smakuje.

Kot pojawił się znowu. Jusuf wykonał gwałtowny ruch stopą w stronę starego ślepego czworonoga; ten miauknął oburzony i czmychnął.

– A tymczasem wysyła mi dziesięć SMS-ów dziennie. Niektóre są po prostu nudne, typu: „Co robisz?”, ple, ple, ple. A niektóre są, no wiesz, naprawdę seksowne. Szkoda, że nie mogę ci kilku pokazać.

Jusuf przeglądał SMS-y w swoim telefonie i Alan uzmysłowił sobie, że chce zobaczyć seksowne SMS-y od znudzonej saudyjskiej gospodyni domowej.

- Muszę je jednak kasować natychmiast po odebraniu.

Dżamila mogła dowieść, gdzie była w niemal każdej chwili swojego drugiego małżeństwa, jej mąż zaś nie przeczytał SMS-ów, a mimo to nie mógł pozbyć się podejrzeń.

– Gdyby je przeczytał, już bym nie żył – rzekł Jusuf. – A na pewno ona. Skasowała je w samą porę. Mąż zadzwonił do operatora telefonicznego, usiłując je zdobyć. To było niedorzeczne.

Alan był zdumiony. Być może nie w pełni rozumiał system prawny w Arabii Saudyjskiej, ale mimo to ryzyko wydawało się niezwykle duże jak na niewielki potencjalny zysk.

– Ona właściwie naraża życie z powodu tych SMS-ów, prawda? Nie zostałyby ukamienowana przez władze?

Jusuf posłał mu długie spojrzenie i odparł:

- Nie kamienujemy tu ludzi, Alanie.

– Przepraszam – powiedział Alan.

– Ucinamy im głowy – dodał Jusuf, po czym roześmiał się z ustami pełnymi ryżu. – Ale dość rzadko. Tak czy owak, Dżamila ma teraz inny telefon. Ma dwa... jeden do normalnych rozmów, który mąż może kontrolować, i jeden, którego używa ze mną.

Wszystkie mężatki, wyjaśnił, mają drugi telefon. W Arabii Saudyjskiej ich sprzedaż zapewnia spore obroty.

Wyglądało na to, że cały kraj działa na dwóch poziomach, oficjalnym i rzeczywistym.

– Ma dużo wolnego czasu. Do prac domowych zatrudnia Indonezyjki, może więc do woli kupować i oglądać telewizję. Marnuje się. „Jesteś miłością mojego życia” – napisała do mnie w zeszłym tygodniu. Nie wiem, skąd wzięła to wyrażenie. Tak więc jej mąż pragnie mojej śmierci, a ja żyję z tą świadomością. Nie mogę jednak ocenić, na ile poważne jest zagrożenie. Niekiedy budzę się nocą, myśląc, że naprawdę mnie zabije, że zrobi to lada moment. A kiedy indziej śmieję się z tego. Niezbyt przyjemna sytuacja.

Nagle Alan nabrał wobec Jusufa ojcowskich uczuć. Nie mógł nic na to poradzić. Cała ta sprawa z mężem wydawała się dość prosta. Prosty problem z prostym rozwiązaniem.

– Musisz z nim pogadać.

– Co? Wykluczone. – Jusuf pokręcił głową i wetknął do ust następny kawałek ryby.

– Pogadaj z nim – ciągnął Alan. – Spójrz mu w oczy i powiedz, że nigdy nie zrobiłeś niczego z jego żoną. Bo nie zrobiłeś, prawda?

– Nie. Niczego. Nawet wtedy, gdy byliśmy małżeństwem.

– Więc mu to powiedz i właśnie tak się przekona, że mówisz prawdę. Ponieważ spojrzysz mu w oczy. Inaczej bowiem nie chciałbyś się z nim spotkać twarzą w twarz, zgadza się? Gdybyś rzeczywiście dymał jego żonę, nigdy nie stawiałbyś mu czoła.

Teraz Jusuf zaczął kiwać głową.

– Niezły argument. To... To jest jakiś pomysł. Podoba mi się. Nie wiem tylko, czy on jest rozsądny. Może już dostał szału. Te wiadomości, które zostawia w mojej poczcie głosowej, nie pochodzą od człowieka rozsądnego.

– Tak należy zrobić – rzekł Alan. – Trochę już żyję na tym świecie i mam w podobnych sprawach pewne doświadczenie. To położy wszystkiemu kres.

Jusuf spojrział na Alana tak, jakby jego słowa były prawdziwe i rozsądne, jakby jego nowy znajomy był kimś, kto rzeczywiście z biegiem lat nabrał życiowej mądrości. Alan nie był pewien, czy to mądrość. Miał poczucie, że liczy się niewiele rzeczy. Że należy się bać niewielu ludzi. Teraz więc stawiał czoła wszystkim takim problemom z poczuciem bezsilnej determinacji. Z wyjątkiem problemów z Ruby, której w zasadzie zawsze unikał. Postanowił nie mówić Jusufowi, że w sprawach miłości brakowało mu na ogół kwalifikacji i teraz żyje sam i w celibacie. Że od lat, zbyt wielu lat, nie dotknął żadnej kobiety w wymowny sposób. Postanowił pozwolić, by Jusuf wierzył, że teraz i zawsze był człowiekiem sukcesu, prowadzącym hulaszcze życie w owładniętych seksem miastach Ameryki. Triumfującym mężczyzną z wielkim apetytem i nieograniczonymi możliwościami.

XVII

Gdy dotarli na miejsce, było południe. Jusuf zatrzymał się w ślepej uliczce koło namiotu.

– Tak sobie myślę, że znowu się zobaczymy – powiedział.

– Na to wygląda.

Alan się odwrócił i wtedy młody Saudyjczyk wydał stłumiony okrzyk.

– Alanie, twój kark!

Alan sięgnął do tyłu, zapominając na moment o zabiegu, który sam przeprowadził. Natrafił palcami na mokrą plamę krwi.

Jusuf przysunął się bliżej i zapytał:

– Co się stało?

Alan nie wiedział, od czego zacząć.

– Oderwałem strup. Mocno krwawi?

– Krew ścieka ci po plecach. Wczoraj też to miałeś?

– Poniekąd. Wczoraj wyglądało inaczej.

– Musimy wezwać lekarza.

Alan nie miał pojęcia, jak funkcjonuje system opieki zdrowotnej w Królestwie Arabii Saudyjskiej, ale uznał, że rzeczywiście powinien to komuś pokazać. Uzgodnili więc, że pojedą do lekarza nazajutrz rano. Jusuf miał to zorganizować.

– Stale szukasz pretekstu, żeby się ze mną zobaczyć. To miłe – zauważył kierowca i odjechał.

Cała trójka młodych ludzi znajdowała się teraz na drugim końcu namiotu, z dala od wody; siedzieli w mroku, wpatrzeni w ekrany swoich

laptopów.

– Cześć! – zawołał gromkim głosem Alan. Był w dziwnie wesołym nastroju.

Podszedł do nich i usiadł na dywanie. Wokół wszystko wydawało się identyczne jak dzień wcześniej.

– Znowu zaczęłaś dzień z poślizgiem? – zapytał Brad.

Ponieważ Alan nie miał zadowalającego usprawiedliwienia, żadnego nie podał.

– Wciąż czekamy, aż sygnał wi-fi stanie się mocniejszy – powiedziała Rachel.

– Zapytam o to – obiecał Alan. – O drugiej czterdzieści mam umówione spotkanie.

Nie było żadnego spotkania. Teraz wymyślał takie rzeczy. Przynajmniej będzie miał dzięki temu pretekst, żeby opuścić namiot, i to już niebawem.

– Są jednak dobre wieści – dodał. – Król jest w Jemenie, więc nie musimy się obawiać, że nagle przybędzie.

Młodzi ludzie sprawiali wrażenie najpierw zadowolonych z tej informacji, a potem przygnębionych. Skoro król bawił za granicą, nie było powodu, by cokolwiek robić, a gdyby nawet mieli taki powód, bez sygnału wi-fi i tak nie mogli przetestować hologramu.

– Grasz w karty? – zapytała Rachel.

Alan miał ochotę leżeć teraz na plaży, moczyć nogi w morzu, ale odparł:

– Oczywiście.

Zagrali w pokera. Ojciec nauczył go kilkunastu odmian tej gry i Alan dobrze sobie w niej radził, ale nie chciał rywalizować z tymi młodymi ludźmi. Zagrał jednak i przysłuchując się im, dowiedział się, że zeszłej nocy dziewczyny rozmawiały do bardzo późna w pokoju Rachel. Brad miał trudności z dodzwonieniem się do żony, a gdy uzyskał połączenie, okazało

się, że jego bratanica ma koklusz. A kto teraz choruje na koklusz? Rozmawiali o tej i innych odradzających się chorobach z minionych stuleci. Wróciły krzywica i półpasiec, wracało chyba także polio. Zapoczątkowało to dyskusję sprowokowaną przez Rachel, która chciała opowiedzieć o okropnych porodach jej przyjaciółek – zakończonych deformacjami spowodowanymi zbyt szybkim wyciągnięciem niemowląt przez niecierpliwych lekarzy, wydaniem na świat martwego dziecka, koniecznością użycia próżniociągu. Wszystkie te nieszczęśliwe wypadki były jak z innej epoki.

Siedzieli w milczeniu. Podmuch wiatru zmarszczył ścianę namiotu i wszyscy czworo spojrzeli na nią, jakby liczyli na to, że wiatr przybierze na sile i wszystko rozwali. Wtedy mogliby coś zrobić. Albo pojechać do domu.

Gdy Alan pracował dla Schwinna i trafiał do hotelu, gdziekolwiek, na przykład w Kansas City, z sześcioma innymi przedstawicielami handlowymi, wiedział, że ma publiczność, która chce się dowiedzieć, co działa, a co nie w przypadku wprowadzania towaru na rynek przed świętami Bożego Narodzenia, dlaczego Sting-Ray był sukcesem, a Typhoon nie, jak wygląda sytuacja w fabryce, nad czym pracują w dziale badawczo-rozwojowym. Śmiali się z jego żartów, chłonęli każde słowo. Szanowali go i był im potrzebny.

Teraz jednak nie miał czego uczyć tych ludzi. Umieli stworzyć hologram w namiocie na pustyni, on natomiast przyjechał spóźniony trzy godziny i nie wiedział, gdzie podłączyć aparaturę. Nie interesowały ich wytwórczość ani sprzedaż bezpośrednia, której doskonaleniu poświęcił życie. Żadne z nich w najmniejszym stopniu nie zajmowało się takimi rzeczami. Żadne z nich nie zaczęło, jak on, sprzedawać konkretnych rzeczy

konkretnym ludziom. Alan patrzył na ich twarze. Cayley i jej zadarty nos. Brad i jego czoło jaskiniowca. Rachel i jej maleńkie, pozbawione warg usta.

Ale z drugiej strony czy młodzi Amerykanie kiedykolwiek chcieli się uczyć od starszych Amerykanów bądź od kogokolwiek? Przypuszczalnie nie. Amerykanie rodzą się, wiedząc wszystko i nic. Rodzą się, posuwając się szybko naprzód lub myśląc, że to robią.

– Statua Wolności się porusza, człowieku!

Coś takiego – chyba jedyna rzecz, którą uznał za istotną lub odkrywczą – usłyszał od mężczyzny w samolocie. Ten człowiek był właśnie w Nowym Jorku, zwiedził Ellis Island.

– Wszyscy myślą, że posąg jest nieruchomy, ale przecież ona kroczy!

Mężczyzna mówił, z jego ust leciały kropelki śliny. Nie zdawał sobie z tego sprawy albo się tym nie przejmował.

– Kiedy zobaczyłem ją na własne oczy, niemal padłem z wrażenia. Niech pan to sprawdzi, gdy pan znowu będzie w mieście. Nie bujam, ona idzie naprzód, suknia szeleści, sandały mają wygiętą podeszwę i w ogóle, jakby zaraz miała przemierzyć ocean, wrócić do Francji. Niemał padłem z wrażenia.

Po kilku rozdaniach Alan bardzo chciał wyjść. Siedział w namiocie, gdzie panował mrok i coraz mocniej pachniało ludźmi i ich rzeczami, podczas gdy na zewnątrz, niespełna pięćdziesiąt metrów dalej, rozciągało się Morze Czerwone.

– Cóż, lepiej już pójde – powiedział.

Nie zatrzymywali go. Wstał i ruszył do wyjścia.

– Idę w tamtą stronę – dodał, wskazując na północ – więc jeśli zobaczycie króla, tam mnie szukajcie.

Uśmiechnął się, a młodzi ludzie odwzajemnili uśmiech – wiedział, że ich zdaniem jest bezużyteczny – i wyszedł.

Znalazłszy się poza namiotem, spojrzął na różowy budynek mieszkalny i ujrzał w oknie czyjąś sylwetkę. Początkowo nie uwierzył własnym oczom. Ale była to sylwetka człowieka i poruszała się w oknie na trzecim piętrze. Potem następna. Po chwili obie zniknęły.

Pomyślał, że mógłby pójść do budynku, dostać się jakoś do środka i nasłuchiwać głosów. Nie zastanawiał się, co będzie później. Obszedł budynek i omal nie wpadł do jakiejś jamy, wielkiej jak kamieniołom – miała z pół hektara. Najwyraźniej zrobili wykop pod fundament budowli, która miała stanąć obok tego florydzkiego bloku mieszkalnego. Dół miał piętnaście metrów głębokości i omal nie stał się grobem Alana.

Były tam siatki zbrojeniowe do kolumn, olbrzymie kanały i rury, którymi w przyszłości miały płynąć woda i ciepło. Oraz prowizoryczne schody zrobione z drewna i gliny. Nie wiedzieć czemu, postanowił po nich zejść. Im był niżej, tym powietrze stawało się chłodniejsze. Cudowne uczucie. Co trzy metry, na każdej kolejnej „kondygnacji”, temperatura spadała o ponad pięć stopni Celsjusza. Schodził głębiej, aż dotarł na dno, gdzie powietrze było zdecydowanie zdrowsze. Podłoże wykonano z betonu, choć pokrywały je spłachcie piasku i sterty śmieci. W jednym rogu płyty fundamentowej spostrzegł zwykłe plastikowe krzesło. Wydawało się zrobione dla Alana, właśnie na tę chwilę, więc usiadł. Siedział na plastikowym krześle na płycie fundamentowej w mieście nad Morzem Czerwonym; powietrze było chłodne, wszystko miało szary kolor, a on był bardzo zadowolony.

Siedział i gapił się w betonową ścianę.

Słuchał własnego oddechu.

Starał się o niczym nie myśleć.

– Wybaczam ci – powiedział Charlie Fallon.

Mówił to wiele razy. Wybaczał Alanowi za to, że pomógł Annette się wyprowadzić. Annette mówiła, że zbyt często się kłócili i Charlie jej groził.

Alan musiał o tym słuchać codziennie, od obu stron. Nie potrafił sobie tego wyjaśnić. Kiedy jednak Annette postanowiła odejść, w weekend pod nieobecność Charliego poprosiła Alana o pomoc, a on spełnił jej prośbę. Pomógł Annette opróżnić większość domu.

Charlie zadzwonił następnego dnia.

– Ta wariatka zabrała wszystkie nasze rzeczy.

Alan zjawił się u niego i przeszedł się po domu, który wyglądał tak, jakby porywiste wiatry wymiotły zeń całą zawartość, pozostawiając jedynie gazety, rolki taśmy i kilka poduszek.

– Muszę jej to oddać – przyznał Charlie. – Nie spodziewałem się tego. Możesz sobie wyobrazić, jak sprawnie to załatwiła? Wyjeżdżam na jeden dzień i dom zostaje ogołocony. Jest cholernie sprytna, zawsze taka była.

Charlie nie wiedział, że Alan jej w tym pomógł, on zaś nie wiedział, jak mu o tym powiedzieć. Tak więc początkowo się nie przyznawał. Co dobrego by z tego przyszło?

W końcu Charlie poznał prawdę. Przypuszczalnie od Annette. Przez pewien czas był zły na Alana, potem jednak zrozumiał i mu wybaczył.

– Ona ma władzę nad słabymi mężczyznami, takimi jak my – stwierdził Charlie.

Alan wstał z krzesła. Przechadzał się po obwodzie płyty, licząc kroki. Budynek byłby ogromny. Sześćdziesiąt metrów długości, trzydzieści sześć szerokości. Cieszył się, że tu jest. Że jest częścią tego projektu. Nie było nic lepszego, niż przebywać tu na początku realizacji. Gdy to miasto stanie się drugim Dubajem, drugim Abu Zabi bądź Nairobi, będzie mógł powiedzieć, że chodził po fundamentach budynków, że położył podwaliny całego systemu informatycznego w tym niesamowitym miejscu. Nie mógł jednak wybiegać myślami naprzód.

Znowu usiadł na swoim białym plastikowym krześle.

Kiedyś Terry Wren wybiegł myślami naprzód.

– Chryste, Al, co za uczucie.

Alan widział się z Terryem kilka lat temu, gdy bawił przejazdem w Pittsburghu. Zнали się już wtedy od dwudziestu lat, od czasów Olney w stanie Illinois. Terry od rowerów przeszedł do branży stalowej, a potem szklarskiej i pracował dla PPG Industries, dużego wytwórcy szkła spod Pittsburgha. Wydawało się, że to genialne posunięcie. Jaka branża mogła być bardziej odporna na recesję niż produkcja szkła? Liczba rozpoczynanych inwestycji mieszkaniowych mogła rosnać i maleć, lecz rozbitych szyb nigdy nie zabraknie.

Jedli kolację przy Heinz Field i Terry piał z zachwytem. PPG zdobyło kontrakt na dostawę szyb dla pierwszych dwudziestu kondygnacji nowego budynku World Trade Center. Dwadzieścia pięter z hartowanego szkła przeciwwybuchowego, technologia starannie opracowana właśnie w Pensylwanii.

– Można odnieść wrażenie, że jesteśmy stworzeni do tej jednej roboty – rzekł Terry z ustami pełnymi steku z antrykotu i przypominającym wzniesiony w zwycięskim geście miecz widelcem w dłoni.

Terry harował jak wół, żeby zdobyć ten kontrakt, i teraz nie mógł się doczekać rozpoczęcia jego realizacji. Ludzie w fabryce też nie mogli się tego doczekać. Być zaangażowanym w budowę Freedom Tower! To powód, żeby iść rano do pracy.

– Nasze największe dotychczas zlecenie – dodał. Robota miała być wykonywana starannie i szybko. Terry nosił w klapie odznakę w kształcie amerykańskiej flagi. To wszystko coś znaczyło.

Do czasu.

Kiedy Alan zobaczył go następnym razem, było po herbacie. Obaj trafili do Nowego Jorku, a PPG właśnie została zmuszona do rezygnacji z kontraktu. Terry był bliski załamania. Spotkali się w barze. Alan myślał, że Terry zaraz się rozpłacze.

Rozwikłanie tego wszystkiego było prawie niemożliwe. Najwyraźniej zarząd nowojorskiego Port Authority przyjął ofertę innej firmy, Solera Construction. To wydawało się w porządku. Ich oferta był tańsza, byli firmą nowojorską. Dla Terry'ego sprawa była prosta – dopóki nie sięgnął głębiej.

– Boże święty, to jest kurewsko chore!

Mówiąc to, Terry złapał Alana za rękę.

Okazuje się, że Solera zamawiała szyby u firmy z Las Vegas. Terry się wkurzył, ale nadal uważał, że po prostu przegrali. Nie znał ludzi z Vegas, ale zakładał, że działają na jakiejś taniej pustynnej posesji w Nevadzie, prawdopodobnie zatrudniając pracowników na czarno i obniżając w ten sposób koszty.

– W porządku, prawda? – stwierdził Terry, wylewając trunek na koszulę.

Okazuje się jednak, że ludzie z Vegas nie produkowali tych szyb. Firmowali tylko całe przedsięwzięcie. Szyby robiono w Chinach. Mierzący osiemnaście metrów wysokości stos szyb ze szkła przeciwwybuchowego do nowego World Trade Center produkowano w Chinach.

Przyjeliśmy najtańszą ofertę odpowiedzialnego oferenta. Tak brzmiało publiczne oświadczenie rzecznika Port Authority.

– Niech to szlag – mruknął Alan.

– Możesz w to, kurwa, uwierzyć?

Była jednak jeszcze jedna niespodzianka, i to spora: chiński wytwórca szyb stosował patent PPG. PPG opracowała technologię produkcji szkła, wystąpiła o patent, uzyskała go i niedługo przed rozpoczęciem przetargu udzieliła licencji na korzystanie z patentu firmom na całym świecie. I jedną z nich była Sanxin Façade, z siedzibą na Morzu Południowochińskim. Okazało się też, że Sanxin Façade będzie firmą wytwarzającą szyby do Freedom Tower. Tak więc PPG wynalazła nowy typ hartowanego szkła przeciwwybuchowego po to tylko, by chińska firma zastosowała tę technologię do tańszej produkcji szyb i sprzedała je Port Authority, którego

zarząd starał się przynajmniej wskrzesić coś na kształt symbolu dumy i żywotności w centrum wszystkiego, co żarliwie amerykańskie.

Alan chodził. Chodził po posadzce nowego budynku, wyciskając z siebie poty, mając ochotę okładać pięściami ściany fundamentu.

Terry być może i tak przeszedłby na emeryturę. Miał sześćdziesiąt dwa lata. Ale układ w sprawie budowy WTC go wykończył. Przestało go to bawić.

– Nazwij mnie głupcem – powiedział – ale te szyby do Freedom Tower nie były mi obojętne. Zależało mi na tym, cholera, żebyśmy mieli swój wkład w budowę tego wieżowca.

Gdy Terry odszedł, Alanowi wyczerpała się cierpliwość. Haniebność całego tego procederu. Nie tylko strona biznesowa, to, że zarząd Port Authority wciągnął w to PPG, wielokrotnie dawał do zrozumienia, że to oczywiście PPG, twórca tej technologii, będzie dostawcą. Również fakt, że zwrócili się o coś takiego za granicę, świadomie zwodzili PPG – miliony wydane na unowocześnienie sprzętu i wymianę narzędzi, żeby mogli wykonać te szyby – mój Boże, w całej tej sprawie zachowywali się pokrętnie, tchórzliwie i bez jakichkolwiek zasad. To było haniebne. I to w strefie katastrofy. Alan chodził z zaciśniętymi dłońmi. Haniebne! W strefie katastrofy! Pośród prochów! Haniebne! Pośród prochów! Haniebne! Haniebne! Haniebne!

– Człowieku!

Alan się rozejrzał. Przestał chodzić. Kto do niego mówił?

– Człowieku! Ty tam!

Spojrzał w górę. Patrzyło na niego dwóch robotników w niebieskich kombinezonach. *Panie człowiek! Nie! Nie!* – mówili z dezaprobatą. Gestykulowali, robiąc zamaszyste gesty, jakby wyciągali go z krainy cieni, zachęcając do powrotu na górę. Ich twarze mówiły: Nie powinienes być

piętnaście metrów pod poziomem gruntu i tak spacerować, chodzić gniewnie, wspominając nieodwracalne zdarzenia nie tylko z własnej przeszłości, ale i z przeszłości całego kraju.

Ale Alan o tym wiedział. Ruszył po schodach prowadzących na powierzchnię. Dobrze zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, czego nie powinien robić.

XVIII

Dzień dobiegł końca i Alan wrócił do Dżuddy mikrobusem z młodymi współpracownikami. W drodze do hotelu wszyscy spali lub udawali, że śpią. Podróż przebiegła spokojnie. Przed hotelem wysiedli właściwie bez słowa i o siódmej Alan był z powrotem w swoim pokoju, sam. Zamówił stek, zjadł i wyszedł na balkon. Kilkadziesiąt metrów niżej zobaczył kilka postaci próbujących przejść na drugą stronę autostrady i dostać się na brzeg morza. Podejmowały kolejne próby i się wycofywały. Samochody poruszały się zbyt szybko. W końcu, klucząc w pośpiechu na jezdni, zdołały to zrobić i Alan niczego z tej scenki nie wyniósł.

Przejrzał hotelowy przewodnik i zobaczył w nim zdjęcia z centrum odnowy biologicznej, o którym wspominała Rachel. Niezainteresowany ćwiczeniami zjechał windą do podziemi, gdzie zza księżycowatego biurka powitał go człowiek z zawieszonym na szyi ręcznikiem. Alan wyjaśnił mu, że tylko się rozgląda, żeby, jak szczerze zapewnił, z a p l a n o w a ć p r o g r a m z a j ę ć, mógł więc wejść do środka w stroju służbowym.

W centrum ćwiczyło pięć osób, sami mężczyźni; biegali po bieżniach i zmagali się z przyrządami Nautilusa. Pachniało środkami czystości i głośno grał telewizor pokazujący kanał CNN. Człowiek z obsługi zerknął w jego stronę i Alan pokiwał poważnie głową, patrząc na jeden z przyrządów, jakby chciał powiedzieć: Tak, jutro trochę na nim poćwiczę w odpowiednim stroju.

Później wyszedł. Po chwili wałęsania się po holu postanowił usiąść i poobserwować. Zamówił mrożoną kawę i przyglądał się, jak Saudyjczycy

i przybysze z Zachodu suną po lśniącej podłodze. Słuchał szmeru fontann, a od czasu do czasu podniesionego głosu, który rozbrzmiewał echem w trzydziestometrowym atrium. Hotel był naprawdę pozbawiony jakiegokolwiek charakteru i Alanowi bardzo się to spodobało. Nie miał jednak także baru, niewiele zatem było tu do roboty. Na górze czekała butelka. Wsiadł więc znowu do szklanej windy i wzniósł się z powrotem na swoje piętro.

W pokoju nalał sobie sporą porcję i zaczął pisać.

„Droga Kit. Coś się we mnie zmieniło. Albo ta narośl na moim karku powoduje, że tracę zmysły, albo już je postradałem”.

Nie, pomyślał. Przestań się mazać. Zrób coś użytecznego. Wypił łyk. Alkohol palił mu język, sprawiał, że cierpły dziąsła, a oczy zaczęły łzawić. Jeszcze jeden spory haust.

„Droga Kit, popełniłem trochę błędów. Dlatego właśnie tej jesieni nie będziesz studiować. Taka jest prawda. Dałem ciała. Ale ludzie tacy jak ja nie mają łatwego życia”.

Zaczął od nowa.

„Przede wszystkim mam dla Ciebie dobrą wiadomość. Wygląda na to, że ta saudyjska umowa zostanie zawarta. Możesz zapisać się na jesienne zajęcia. Będę miał pieniądze. Wystarczająco dużo, by pokryć wszystkie koszty. Cały rok z góry, jeśli te dranie sobie tego życzą”.

Teraz kłamał. Kit nie zasłużyła sobie na to. Nie zrobiła nic złego. Owszem, tak funkcjonowała gospodarka, taki był świat, czesne na uczelniach było zawyżone – mój Boże, czy po prostu brali jego wysokość z sufitu, a potem doliczali dziesięć procent? – ale jednak gdyby lepiej

planował, gdyby nie był tak niekompetentny, miałby tyle, ile Kit potrzebowała. Miał dwadzieścia lat, by odłożyć dwieście tysięcy. Czy to takie trudne? Wychodziło dziesięć tysięcy rocznie. Znacznie mniej, zakładając jakiegokolwiek oprocentowanie tych środków. Wystarczyło, by zaoszczędził sześćdziesiąt tysięcy i nie ruszał ich z konta. Ale zrobił to. Grał nimi. Inwestował je, w siebie i innych. Myślał, że może zarobić te dwieście tysięcy na zawołanie, w dowolnie wybranym roku. Jak mógł przewidzieć, że świat przestanie się interesować ludźmi takimi jak on?

Rok temu wymyślił sobie, że wprowadzi na rynek nową serię rowerów – klasycznych, trwałych, dla kolekcjonerów i majsterkowiczów oraz rodzin, które po prostu chciały mieć coś niezniszczalnego. Zaczął więc szukać pożyczkodawcy. Uznał, że za pół miliona zdoła wynająć niewielki magazyn, trochę maszyn, zatrudnić inżynierów i projektantów, wykonać kilka prototypów i kupić kilka ciężarówek. Wiedział, czego chce – mocnych, prostych rowerów o czystych liniach, z masą chromu, a wszystko skonstruowane tak, by wytrzymało tysiąc lat i zawsze wyglądało przyjemnie dla oka.

Przedstawił realny biznesplan, ale w bankach go wyśmiano. Co pan chce robić? Gdzie? Chcę produkować rowery, powiedział. W Massachusetts. Setnie tym wszystkich ubawił. Wzbudził dużą wesołość u ludzi dysponujących gotówką. Pewien człowiek z funduszu kapitałowego wysokiego ryzyka w trakcie rozmowy telefonicznej naprawdę się roześmiał, głośno i szczerze – śmiał się bardzo długo. Alanie, gdybym dał ci pięć kafli, nie mówiąc już o pięciuset tysiącach, obaj bylibyśmy skończeni! Postawiliby nas przed sądem!

Nie była to dobra pora na proszenie banków o pieniądze na coś, co uważano za donkiszoterię. Najbardziej życzliwi urzędnicy od pożyczek

odsyłali go do rządu. Słyszał pan o Urzędzie do spraw Drobnej Przedsiębiorczości? – pytali. Proszę zajrzeć na ich stronę. Zawiera dużo informacji i jest łatwa w obsłudze.

Alan trafiał więc do coraz mniejszych banków, których urzędnicy byli coraz bardziej zdziwieni tym, o czym Alan, do cholery, mówi. Niektórzy bankowcy byli na tyle młodzi, że nigdy nie zetknęli się z propozycją produkcji czegokolwiek w stanie Massachusetts. Myśleli, że wygrzebali spod ziemi jakiegoś starożytnego szamana z masą tropów wiodących do dawno zapomnianego świata.

– Teraz chce być związkowcem! – zauważył Ron ze stłumionym śmiechem. Alan popełnił błąd i powiedział o swoich planach ojcu. Myślał, że zrobi na nim wrażenie. Może była to próba odkupienia? Ron go jednak nie wsparł.

– Za późno, synku.

Mówiąc s y n k u, chciał powiedzieć z a s r a n c u.

– Myślę, że nie.

– Pomogłeś w przeniesieniu całej produkcji do Chin. Nie możesz wsadzić tego dzina z powrotem do butelki. Ale czemu miałbyś mnie słuchać? Może wynajmiesz jakiegoś doradcę, żeby powiedział ci, co robić?

Ron zawsze traktował doradców z lekceważeniem. Co mogą mi powiedzieć o mojej własnej firmie? Otrzymują nieprzyzwoicie wysokie honoraria za błędną interpretację danych z arkuszy kalkulacyjnych.

Alan przestał więc prosić ojca o rady.

Przy nielicznych okazjach, gdy proszono go o wypełnienie formularzy pożyczkowych, nadzieja w zatrważającym tempie przeradzała się w przerażenie. A czynnikiem, który wydawał się przesuwac jego propozycję z kategorii „ryzykowna” do kategorii „toksyczna”, nie był stan amerykańskiej infrastruktury ani chłonność rynku na towary wyprodukowane w Stanach, ani też konkurencja z Chin. Była nim Banana

Republic. Banana Republic zniszczyła jego wiarygodność kredytową, to zaś zniweczyło amerykańskie plany Alana.

Alan nigdy wcześniej nie sprawdzał ani nie znał swojej zdolności kredytowej, ale w każdym banku, a nawet w kilku firmach inwestujących w przedsięwzięcia wysokiego ryzyka, dowiadywał się, że w świetle oceny swojej zdolności kredytowej jest pariasem. Jego zdolność kredytowa wynosząca sześćset dziewięćdziesiąt osiem punktów była mniej więcej o pięćdziesiąt punktów niższa od poziomu, który czyniłby go w oczach kredytodawców osobą wiarygodną lub nawet człowiekiem.

Po wielu dniach szukania informacji zdał sobie sprawę, że decydującym momentem jego obecnej sytuacji finansowej oraz barierą, która wykluczała, że jego wnioski o jakąkolwiek pożyczkę zostaną uwzględnione, jest pewien zakup w Banana Republic przed sześciu laty.

Potrzebował wówczas nowej marynarki i sprzedawca powiedział mu, że jeśli wystąpi o kartę sklepową Banana Republic, otrzyma tego dnia piętnaście procent zniżki, kartę zaś może zaraz potem anulować. Ale tak się jakoś stało, że po tym, jak ją anulował, nadal była aktywna i rachunki dalej wysyłano. Ponieważ jednak dopełnił formalności związanych z anulowaniem karty, nie otwierał kopert z rachunkami, sądząc, że to przesyłki reklamowe.

Nie dotrzymał więc najpierw trzydziestodniowego, potem dziewięćdziesięciodniowego, a następnie stowudziestodniowego terminu spłaty, więc sklep zwrócił się do firm windykacyjnych i wtedy Alan zapłacił trzydzieści dwa dolary należności, uiścił jakąś opłatę za inkaso i znowu zlikwidował kartę.

To wszystko zepchnęło jednak wskaźnik jego zdolności kredytowej poniżej siedmiuset punktów i wszelkie pożyczki, a co dopiero trzeci kredyt hipoteczny – drugi zaciągnął na moment przed aferą z kartą – stały się nieosiągalne.

Ludzie w bankach wskazywali na ocenę zdolności i rozkładali ręce. Gdy tłumaczył, że przez trzydzieści lat sumiennie spłacał kredyty hipoteczne i debety na wszystkich aktywnych kartach kredytowych, wydawało się, że biorą to pod uwagę i doceniają ten fakt, ale z drugiej strony nie tak bardzo. Był przecież ten wskaźnik.

Alan próbował ich przekonać.

– Widzi pan mój aktualny raport kredytowy.

– Tak, proszę pana.

– I widzi pan, że jedyną skazą jest ta karta Banana Republic.

– Tak. Jestem całkiem pewien, że to skaza główna.

– I zdaje pan sobie sprawę, że obciążenie w kwocie siedemdziesięciu dwóch dolarów na karcie sklepowej sześć lat temu nie jest bardzo znaczącym wskaźnikiem w zestawieniu z niemal trzydziestoma latami idealnej spłaty rachunków i rat kredytów?

– Tak, zgadzam się.

Alan myślał, że pokonał opór.

– Możemy to więc obejść?

Mężczyzna roześmiał się i odparł:

– Och, nie. Przykro mi, proszę pana. Ocena wypada poniżej przyjętego przez nas progu. Nie możemy udzielać pożyczek, jeżeli ocena wnioskodawcy nie przekracza siedmiuset.

– Moja wynosi sześćset dziewięćdziesiąt osiem.

– Owszem, ale nawet ocena poniżej siedmiuset czterdziestu wymaga analizy na najwyższych szczeblach.

– Ale wy nawet nie sporządzacie tych ocen sami.

– Zgadza się.

– Robi to jakaś agencja zewnętrzna. Experian.

– Zgadza się.

– Wie pan, w jaki sposób oni szacują, jakie karty lub płatności sprawiają, że ocena zdolności kredytowej obniża się w ten czy inny sposób?

– Nie, nie. To informacje zastrzeżone. – Mężczyzna wydał z siebie stłumiony śmiech, jakby we dwójkę rozważali motywy samego Boga. – Chronią je bardzo starannie – dodał.

Alan próbował zadzwonić do Banana Republic. Też nic tam nie wiedzieli.

– Na tym szczeblu nie zajmujemy się kartami kredytowymi – oświadczyła przedstawicielka firmy. Odesłała go do jakiejś spółki z Arizony. Numer w Arizonie wielokrotnie się zawieszał, jakby celowo.

Nadeszła epoka maszyn dominujących nad człowiekiem. To był upadek kraju i triumf systemu mającego udaremnić wszystkie kontakty międzyludzkie, przeczyć zdrowemu rozsądkowi, wykluczyć podejmowanie decyzji według własnego uznania. Większość ludzi nie chciała ich podejmować. A zbyt wielu ludzi, którzy umieli podejmować decyzje, postanowiło scedować je na maszyny.

Alan stał. Linie wyznaczające płaszczyzny ścian pokoju biegingy we wszystkich kierunkach niczym rozrzucone bierki. Trafił do łóżka i pozwolił, by go pochłonęło. Kręciło się niczym wiatraczek.

– Chyba za dużo wypilem – zauważył, chichocząc. Przyłożył dłoń na płask do ściany i wtedy wirowanie zwolniło, po czym zupełnie ustało. – Nieźle – rzekł, myśląc, że jest bardzo zabawny i sprawny. Chciał zatrzymać wirowanie i zdołał to zrobić. – Gratulacje, młody człowieku! – powiedział głośno do sufitu.

Rozległ się dźwięk przypominający dzwonek telefonu. To, że aparat w pokoju hotelowym może dzwonić, wydawało się dość niewiarygodne. Alan patrzył na telefon, a ten dzwonił: dwa, trzy razy. Przyglądał mu się jak

zwierzęciu w zoo, które zrobiło coś niezwykłego i mogło to zrobić ponownie.

I znowu dzwonek. Podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Mówi Hanne.

– Dobrze. To niesamowite. A ty jak się masz?

Roześmiała się.

– Nie pytałam o twoje samopoczucie.

– Chyba po prostu czułem, że powinnaś wiedzieć.

Znowu się roześmiała swoim niskim, przypominającym brzdąknięcia gitary śmiechem.

– Jesteś już w łóżku?

– Nie – skłamał. – Czemu pytasz?

– Dziś wieczorem jest przyjęcie w ambasadzie.

– W duńskiej?

– Tak, i zanoszą się na niezłe bachanalia.

– Ja już jestem pijany. To ta księżycówka.

– To dobrze. Nie będziesz się wyróżniał. Przyjdiesz?

XIX

Do ambasady pojechał taksówką i po niespełna dwudziestu minutach był świadkiem, jak dwie kobiety liżą jakiegoś mężczyznę po zakolczykowanych sutkach i dosiadają go niczym pogańskie nałożnice. Nie brakowało tam ludzi w bieliźnie i narkotyków. Do tego beczki z bimbrem. Było to rozpaczliwe, obłąkańcze, a od czasu do czasu nawet przyjemne.

Przy basenie tańczył, i to z gracją, jakiś grubas. Miał zbyt obcisłe jak na swoją tuszę spodnie. Hanne poszła do baru.

Alan został sam i zaczął się przechadzać. Pić już nie musiał.

Spodnie grubasa błyszcząły jak rybie łuski. Alan początkowo traktował go podejrzliwie, zastanawiał się, dlaczego otaczają go kobiety, był tym zaintrygowany, potem jednak gruby mężczyzna zaczął tańczyć i wszystko stało się jasne. W tańcu prezentował się fantastycznie. I był Kanadyjczykiem. Gruby kanadyjski fenomen tańca.

W basenie toczyła się gra. Ludzie nurkowali po tabletki. Na przyjęciu nie palono trawki – sąsiedzi zbyt łatwo mogliby wyczuć jej niosący się w powietrzu zapach – więc zamiast niej były tabletki. Masa tabletek oraz wino i mocniejsze trunki w butelkach bez etykiet. Istny raj dla przemytników alkoholu.

Wysoki, zbudowany jak wiking mężczyzna ze spiętymi w koński ogon włosami w słomkowym kolorze rzucał tabletki garściami na końcu basenu. Rzucał, a ludzie nurkowali. „Musicie je zjeść tak, żebym to widział” – mówił do imprezowiczów skaczących w bieliźnie do wody. Grać można było tylko pod warunkiem, że poczekało się z połknięciem pigułki do

momentu wypłynięcia na powierzchnię. Tak więc biesiadnicy skakali w bieliźnie do basenu i nurkowali po narkotyki – biało-niebieskie tabletki, które nocą bardzo trudno było dostrzec na dnie basenu. Co zawierały?

Ktoś powiedział, że viagrę, ktoś inny, że ambien, ale musieli się mylić. Niebawem jakiś facet wyszedł z basenu nagi i wywołał tym poruszenie. W basenie splatali się mężczyźni i kobiety, ich zniekształcone wskutek refrakcji światła ciała poruszały się rytmicznie, zażywano tabletki i raczono się księżycówką, ale mężczyzna, który wynurzył się z basenu nago, najwyraźniej przekroczył granicę. Ktoś szybko nakrył go ręcznikiem i zaprowadził do budynku.

Gdzie się podziała Hanne?

Nigdy nie widział takiego zachowania u ludzi w tak zaawansowanym wieku. Starsze osoby, jego rówieśnicy, w samej bieliźnie. Ludzie w podeszłym wieku wrzucający tabletki do ust i popijający je z wielkich flaszek trunkiem domowej roboty. Uwalniano tłumione dotąd emocje. A ta wydekoltowana kobieta? Nosiła swój biust jak tacę. Wydawało się, że tylko spaceruje między biesiadnikami bez planu i celu. Chyba z nikim nie rozmawiała. Jakby ją wynajęto, żeby robiła właśnie to – spacerowała, wywoływała podziw. Takie rzeczy robiono w Nowym Jorku i Las Vegas, ale tutaj?

Alan napił się z kilkunastu przezroczystych butelek, których zawartość za każdym razem przypominała wodę i zawsze smakowała jak olej wyciekający z nieszczelnych maszyn.

W pewnym momencie napotkał amerykańskiego architekta, który powiedział, że zaprojektował część KAEC, jego centrum finansowe. Był autorem projektów co najmniej kilku z najwyższych budynków na świecie. Ku zaskoczeniu Alana okazało się, że pochodzi z bardzo płaskiego stanu.

Z Iowa? Był serdeczny, skromny i chyba trochę wymizerowany. Wymienili uwagi na temat bezsenności. Architekt właśnie przyleciał z Szanghaju, gdzie budował nowy wieżowiec, wyższy od wszystkich, które dotąd wznosił. Od dziesięciu lat pracował w Dubaju, Singapurze, Abu Zabi i w całym Chinach.

– W Stanach nie pracowałem od... No, no! Nie pamiętam nawet, od jak dawna – powiedział.

Alan zapytał dlaczego, chociaż znał odpowiedź. Chodziło o pieniądze, to oczywiste, ale także o wizję, odwagę, a nawet o potrzebę odrobiny rywalizacji.

– Nie żeby były największe lub najwyższe, ale wie pan, w Stanach nie realizuje się w tej chwili takich marzeń. Odłożono je na później. Marzenia snuje się na razie w innych częściach świata – wyjaśnił architekt, po czym wyszedł z przyjęcia.

– Chodźmy pogadać.

Ta propozycja padła z ust Hanne.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytała.

Alan nie umiał na to odpowiedzieć.

Pociągnęła go za rękę. Ruszył za nią.

– Zróbmy jakiś błąd – zaproponowała.

Poszli do garażu. Trzy lodówki nadal tkwiły w pudłach.

Twarz Hanne wtulona w pierś Alana, a potem te małe oczy, wpatrzone w niego, próbujące przybrać zmysłowy wyraz, ale w efekcie raczej badawcze niż zmysłowe. Poczł się zdemaskowany i odwrócił wzrok.

Całowali się jednak przez chwilę, a potem on przestał. Udał, że to kwestia galanterii. Godności.

– Taki pośpiech jest chyba nierozsądny, prawda? – powiedział.

Hanne cofnęła się, patrząc na Alana tak, jakby właśnie odkryła jakiś okropny sekret, to, że w młodości należał do SS. Po czym się roześmiała.

– Podziwu godna ostrożność, Alanie! W twoim wieku...

Przyciągnął ją i długo tulił do siebie. Pocałował w czubek głowy. Posunął się za daleko i miał tego świadomość. Teraz zgrywał się na jej ojca. A może na księdza? Był idiotą.

Wyrwała się z jego objęć.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

Przeprosił i powiedział, że bardzo ją lubi, bo tak rzeczywiście było.

– Nie możesz mnie zranić – dodała. – Jestem niezniszczalna.

To było przyzwolenie, jedno mówiło drugiemu, że nie jest zaślepione, a on nie musi się obawiać, że ona się w nim zakocha lub nawet zapamięta.

Czy była okrutna? Ludzie nie lubią, kiedy powstrzymuje się ich przed tym, czego pragną. Szczególnie gdy obiekt pragnień wydaje się w ich zasięgu. Budzi to w nich podwójną złość. Najwyraźniej Hanne uważała, że wyświadcza Alanowi przysługę. Po czym Alan skosztował i odmówił. Przez resztę wieczoru nie odezwała się do niego ani słowem.

Wtedy jednak przyjęcie i tak było na finiszu. Ten epizod zdarzył się pod sam koniec, a w każdym razie pod koniec bytności Alana w ambasadzie. Astronauta! Mężczyzna w skafandrze kosmicznym. To był kostium, tyle że świetnie uszyty, wyglądał bardzo realistycznie. Coś jak połączenie skafandra członka załogi Apollo i astronauty z *Odysei kosmicznej* Kubricka, też taki kanciasty, z żebrowanymi rękawami i nogawkami. Facet przespacerował się po prostu w tym skafandrze, udając, że znajduje się w stanie nieważkości, po czym wrócił do środka. Pojawił się potem bez hełmu i okazało się, ma sześćdziesiąt kilka lat. Co pił lub brał? Człowiek po sześćdziesiątce chodzący w zwolnionym tempie na przyjęciu, porozumiewający się na migi z ludźmi, udający, że chwyta za biust wydekoltowaną kobietę.

W suterenie grała muzyka, był tam rodzaj parkietu i dyskotekowa kula zrobiona ręcznie z cynfolii. Leciały tylko utwory artystów z Motown, Diany Ross i Shirelles. The Jackson 5. Czterdziestokilkuletni mężczyźni i kobiety ocierający się o siebie, tyłkami o krocza. Robili to w niepokojący sposób. Alan musiał stamtąd wyjść.

Przy basenie natknął się na grupę bystrych młodych ludzi.

W dłoniach trzymali czerwone kubki z księżycówką i wybierali się na parkiet, by przetańczyć ze dwa kawałki; Alan znalazł się obok nich, gdy przyglądali się z leżaków poławiaczom tabletek. Było ich troje. Młoda kobieta z Etiopii, ale mówiąca jak Amerykanka. Urodzona w Miami, obecnie zatrudniona w etiopskiej ambasadzie. Włosy sterczały jej z głowy na wszystkie strony, do tego wąski prosty nos, olbrzymie oczy, powieki pomalowane tak, jakby pokryto je błękitnym dymem. Towarzyszyło jej dwóch poważnych młodzieńców. Wyglądali na szesnaście lat, mieli twarze jak dojrzały owoc, oczy małe i płomienne. Jeden był Holendrem, drugi Meksykaninem. Byli zainteresowani Alanem, KAEC, wszystkim.

– To miejsce lada dzień eksploduje – powiedziała Etiopka.

– Lada dzień eksploduje? – Alan myślał, że chodzi jej o jakąś wojnę. O akt terroru. Coś w rodzaju masakry w Mekce w 1979 roku, zakończonej śmiercią tylu pielgrzymów.

– Nie, nie – uspokoiła. – Chodzi o kobiety. Saudyjki mają dosyć. Skończyły z całym tym syfem. Abdullah stara się otworzyć drzwi, licząc, że kobiety się przebiją, że pójdą dalej. Myśli, że jest nowym Gorbaczowem. Ustawia kostki domina. Najpierw był koedukacyjny college. Następne jest KAEC.

Alan odwrócił się do młodych mężczyzn.

– Zgadza się z tym?

Skinęli głowami. Przypuszczalnie wiedzieli więcej niż on.

Grano też w piłkarzyki. Jakiś turniej, bardzo poważna sprawa, z nazwiskami na tablicy, przegrywający odpadał. Na dużym płaskoekranowym telewizorze wyświetlane były filmy Russa Meyera. Astronauta oglądał je w skupieniu, pochylony, z hełmem na kolanach.

XX

Kiedy następnego ranka Alan brał prysznic, ubierał się i czytał egzemplarz „Arab News”, przez cały czas w głowie kłębiły mu się myśli. Co stało przy umywalce? Kolejna butelka zakazanego trunku. Hanne odesłała go z nią do hotelu. Zadbala o niego, głupca. Pomyślał o pocałunku złożonym na czubku jej głowy. Coś strasznego. Niewyspany, jedną nogą wciąż w nocnym świetle duńskiej ambasady, wiedział, że tego dnia będzie osłabiony. Wypił kawę i przeglądając gazetę, zauważył małe zdjęcie króla Abdullaha z podpisem informującym, że wrócił do swojego królestwa.

Był to zatem pierwszy dzień, kiedy król rzeczywiście mógł odwiedzić KAEC. Choć było mało prawdopodobne, że przybędzie do miasta, a Alan czuł się tak, jakby spędził noc w bagażniku samochodu, musiał wraz z zespołem Relianta być na miejscu punktualnie, gotowy i doprowadzony do porządku.

– Jusuf?

– Niewiarygodne, że już nie śpisz. Przecież nie ma jeszcze dziesiątej. Zaraz, zaraz. Jest dopiero siódma!

– Chcesz pojechać do KAEC?

– Kiedy? Teraz?

– Chciałbym tam dotrzeć przed ósmą trzydzieści.

– Przesuń to o godzinę. Przed dziewiątą i tak nikogo tam nie będzie. Dzięki temu mogę cię zawieźć do lekarza, żeby obejrzał to, co masz na karku.

Alan spotkał się z Jusufem przy hotelowym rondzie i wsiadł do chevroleta caprice.

- Martwią mnie twoje godziny snu.
- Mam za sobą dziwną noc.

Alan wiedział, że nie powinien wspominać o przyjęciu w ambasadzie, ale czuł wielką ochotę, by opowiedzieć o nim Jusufowi. Saudyjczyk uznałby to za zabawne i albo byłby zdumiony, że w ogóle doszło do takiej imprezy, albo powiedziałby: „Och, to nic nowego”. Obie te możliwości by go usatysfakcjonowały. Alan obiecał jednak dyskrecję tym wszystkim ludziom, z mężczyzną w skafandrze kosmicznym włącznie, a nigdy dotąd nie złamał obietnicy, nawet najdrobniejszej.

Minęli mężczyznę siedzącego na samochodzie terenowym pod parasolem plażowym i tym razem Jusuf skręcił w prawo, nie w lewo.

- Gdzie przyjmuje ten lekarz?
- Kilka kilometrów stąd. Nur zna kobietę, która pracuje w recepcji.
- Dziękuję, że to dla mnie robisz.
- To żaden kłopot – odparł kierowca i zapalił papierosa.
- Wczoraj wieczorem usłyszałem dobry dowcip.
- Cieszę się.
- Wiesz, co to jest legia cudzoziemska?
- Oczywiście. Jak ta francuska?

– Zgadza się. Tak więc pewien kapitan legii cudzoziemskiej zostaje przeniesiony na pustynną placówkę. Podczas obchodu zauważa brudnego i bardzo zmęczonego wielbłąda przywiązanego za barakami szeregowców. Pyta oprowadzającego go sierżanta: „A ten wielbłąd tu po co?”. Sierżant odpowiada: „Cóż, jesteśmy na odludziu, a żołnierze miewają naturalne potrzeby seksualne, kiedy więc nachodzi ich ochota, wielbłąd jest do ich dyspozycji”. Kapitan jest zbity z tropu, ale przecież dopiero tam trafił i nie chce rozróby, więc mówi: „Skoro to podnosi morale, to chyba mi to nie

przeszkadza”. Zajmuje się swoimi obowiązkami, ale po sześciu miesiącach pobytu w forcie nie może już tego dłużej znieść, mówi więc do sierżanta: „Przyprowadź wielbłąda!”. Sierżant wzrusza ramionami i wprowadza zwierzę do kapitańskiej kwatery. Kapitan przyciąga podnózek, wchodzi nań, opuszcza spodnie i energicznie posuwa wielbłąda. Kończy i schodzi z podnóżka. Zapinając rozporek, pyta sierżanta: „Tak robią to szeregowcy?”. Sierżant patrzy w podłogę. Nie wie, co powiedzieć. W końcu mówi: „No cóż, panie kapitanie, zwykle po prostu dosiadają wielbłąda, żeby pojechać do miasta i tam znaleźć kobiety”.

– O Boże! – Jusuf zaśmiewał się, uderzając dłonią w kierownicę. – Przez chwilę obawiałem się... myślałem, że to będzie coś antyarabskiego. No wiesz, dymanie wielbłądów i cała reszta. Ale dowcip *p i e r w s z a k l a s a*. Jak dotąd mój ulubiony. Nur będzie zachwycona.

Jusuf podjechał przed duży szpital, okolony wysokim murem. Zatrzymał się przed bramą.

– Ta brama to tylko mój problem, nie twój.

Jusuf powitał strażnika i jak zwykle skinął głową w stronę Alana, powtarzając kilka razy słowo *Amrika*, aż w końcu strażnik machnięciem ręki kazał mu przejechać.

Zaparkowali, weszli do szpitala i niebawem Alan siedział w pokoju pomalowanym na kolor awokado. Leżące na stoliku magazyny stanowiły mieszankę czasopism amerykańskich i saudyjskich. Po chwili w pokoju pojawiła się pielęgniarka, była sama. Zmierzyła mu puls i skontrolowała inne parametry życiowe, po czym wyszła, dając do zrozumienia, że lekarz wkrótce się zjawi.

Alan patrzył na drzwi, zastanawiając się, jak może wyjaśnić próbę przeprowadzenia na sobie zabiegu przy użyciu noża do krojenia steku.

Uznał, że nie ma sensu kłamać. Tylko zwierzę mogło spowodować taką ranę.

Podłogę u jego stóp zasnuł cień. Alan podniósł wzrok i ujrzał niską kobietę w białym fartuchu.

– Pan Clay?

– Tak.

– Doktor Hakem.

Wyciągnęła rękę i Alan ją uścisnął. Nie miała więcej niż półtora metra wzrostu. Hidżab nosiła ciasno opięty, zakrywając wszystkie włosy oprócz jednego kosmyka, który wypadł spod chusty i spływał zuchwale po policzku. Jej oczy wydawały się zajmować większość twarzy i wypełniały cały pokój. I znowu informacje w jego przewodniku okazały się nieścisle. Stwierdzały jednoznacznie, że chociaż w Królestwie jest mnóstwo lekarek, to noszą abaje i jeśli w ogóle leczą mężczyzn, to bardzo rzadko. Tylko w nagłych wypadkach, w sytuacji zagrożenia życia, gdy w pobliżu nie ma lekarzy płci męskiej. Pomyślał, że jej obecność jest chyba dowodem, że umiera.

– Ma pan na plecach jakąś narośl?

– Tak naprawdę znajduje się na karku. Nie jestem pewien, czy...

Gdy Alan mówił, lekarka się zbliżyła, zamaszystym ruchem podniosła rękę i zanim dokończył zdanie, jej dłonie spoczęły na jego ciele. Objęła palcami ranę. Nagle stracił zimną krew.

– Och – jęknęła. – Co pan z tym robił?

Jej akcent był niezupełnie saudyjski. Wydawało się, że są w nim domieszki kilku innych, od francuskiego po rosyjski.

Postanowił mówić prawdę.

– Małe badanie.

– Czym?

– Nożem.

– Próbował pan targnąć się na swoje życie?

Alan się roześmiał. Nie wiedział, czy lekarka sobie z niego żartuje.

– Nie – odparł.

– Bierze pan jakieś leki? Prozac lub...

– Nie mam depresji. Byłem ciekaw. Staralem się po prostu sprawdzić, czy...

– To mi wygląda na nóż z ząbkami.

– Zgadza się.

– Wysterylizował go pan?

– Próbowałem.

– Hm. Wdało się lekkie zakażenie.

Cofnęła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Miała twarz w kształcie serca, małą brodę, a wargi różowe i zmysłowe. Patrząc na nią, czuł się nieswojo. Za dużo od niej chciał.

– Cóż, to prawdopodobnie tłuszczak.

– I to nie jest groźne?

Alan gapił się na tabliczkę z jej nazwiskiem: Dr Zahra Hakem.

– Nie, to tylko narośl. Jak torbiel.

– I jest...

– Łagodny.

– Na pewno?

Patrząc teraz na dłonie lekarki, drobne i z krótkimi, obgryzionymi paznokciami, zapytał o położenie tłuszczaka w pobliżu kręgosłupa, chciał też wiedzieć, czy to dlatego był taki niezdarny, powolny, pozbawiony energii, czy to on odpowiadał za wszystkie inne choroby i słabości, które odczuwał.

– Nie. Nie widzę żadnego związku z którąkolwiek z tych rzeczy.

– Chcę tylko mieć pewność. To by tłumaczyło pewne sprawy.

Wymienił swoje dolegliwości, liczne obawy.

– I uważa pan, że to wszystko przez ten guz?

Lekarka patrzyła na Alana, przyglądając mu się bacznie, z serdecznym uśmiechem.

– To niemożliwe?

– Tak sędzę.

– Chcę po prostu, żeby ktoś powiedział, że nic mi nie dolega.

– Nic panu nie dolega.

– Ale jeszcze pani tam nie zajrzała.

– Nie, ale wiem, co to jest.

Jakby dla uszanowania jego obaw jeszcze raz przyjrzała się guzowi, obmacując go i chyba mierząc palcami.

– To naprawdę może być tylko tłuszczak.

– W porządku – ustąpił Alan.

Lekarka wyszła zza jego pleców, usiadła przed nim i spojrzała mu badawczo w oczy.

– Naprawdę to pana martwiło, co?

Alan odchrząknął. Nagle poczuł, że coś utkwilo mu w gardle.

– Martwię się wieloma rzeczami – powiedział.

Lekarka wstała i zanotowała w karcie kilka uwag.

Alana naszła nagła myśl, która wcześniej się nie pojawiła, ale nie wzięła się znikąd: gdyby guz był złośliwy, a on by umierał, nie musiałyby się już martwić. Bankructwo nie byłoby problemem. Nie byłoby nim też czesne Kit ani jej przyszłość. Gdy ojcowie umierają, dzieci na pewno zwalniane są z opłat za studia.

Doktor Hakem wyjęła z szuflady jakieś rzeczy i wróciła do oględzin karku Alana. Stała za nim, a on zrobił głęboki wdech. Liczył na to, że poczuje zwiewną, słoneczną woń, ale kobieta pachniała czymś innym. Nie mógł skojarzyć tego zapachu. Przywodził na myśl drzewa i ziemię. Był

piżmowy, mocny. Alan pomyślał o lesie po deszczu, o delikatnej woni polnych kwiatów.

– Kilka lat temu miałam taki sam problem. Ucisk w klatce piersiowej. Jak podczas ataku panicznego lęku, wrażenie towarzyszące zawałowi. I byłam pewna, że gdy zrobią mi EKG i resztę badań, dowiem się, że mam szmer lub nierównomierny rytm, coś, co wyjaśni moje zmęczenie i wszystkie inne objawy.

Nałożyła trochę maści na opatrunek, przykleiła mu go na kark i z powrotem usiadła na stołku przed Alanem.

– No i? – zapytał.

– To nie było nic poważnego.

– A to pech – rzekł Alan i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Zostaliśmy jak idioci z naszym dobrym zdrowiem – zauważyła lekarka, a on roześmiał się jeszcze głośniejsze. – Tak naprawdę rozumiem jednak, dlaczego to pana martwiło. Usytuowanie tego guza każdemu dałoby powody do obaw. Usuniemy go zatem, a wtedy będziemy mieć pewność. Co pan na to?

Alan nadal wpatrywał się w ścianę. Nie był pewien, czy powinien się odwrócić twarzą do lekarki. Zerknął w jej stronę i stwierdził, że Zahra Hakem patrzy wprost na niego wielkimi, nieruchomymi oczami. Były piwne, z rozchodzącymi się promieniście zielonymi, szarymi i złotymi kreskami. Trudno było określić jej wiek. Mogła mieć równie dobrze czterdzieści, jak i pięćdziesiąt, a może nieco więcej lat. Nie będąc w stanie wytrzymać jej spojrzenia, spuścił wzrok. Nosila eleganckie, zapinane na pasek buty na niskim obcasie. Alan znowu się odwrócił, skupiając spojrzenie na ścianie, na widocznej tam wiązce splecionych niczym tętnice przewodów, wychodzących z pokoju i biegnących dalej korytarzem.

– Mogę wykonać ten zabieg za mniej więcej tydzień. Czy to panu odpowiada?

Alan żywił gorącą nadzieję, że za tydzień nie będzie go w tym kraju, ale zdał sobie sprawę, że się zgadza. Ustalili termin wizyty i lekarka wstała.

- Do rychłego zobaczenia, Alanie.
- Dziękuję.
- Proszę się nie martwić.
- Dobrze.
- Miło było pana poznać.
- Z wzajemnością.

Gdy wrócił do holu, Jusuf chodził po nim tam i z powrotem niczym przyszyły ojciec. Ujrzawszy Alana, zrobił okrągłe oczy.

- I co się okazało?
 - Niezłोśliwy. To nic poważnego. Tłuszczak.
 - Więc to nie rak.
 - Ona tak uważa.
- Jusuf uściskał Alanowi dłoń.
- Bardzo się cieszę.
 - Ja też.
 - Abdullah jest w Rijadzie. Słyszałem o tym w radiu.
- Alan nie wiedział, czy mu ulżyło, czy nie.

Wyszli z budynku.

- I badała cię kobieta? Skąd pochodzi?
- Nie wiem.
- Saudyjka?
- Nie pytałem.
- Arabka?
- Chyba tak. Nie mam pewności.
- Ale prawdopodobnie Arabka?
- Tak przypuszczam.

Jusuf uważał, że to fascynujące. Wyjaśnił Alanowi, że w Dżuddzie jest mnóstwo lekarek, ale mimo to szansa na spotkanie kobiety przy pierwszej sposobności jest niewielka.

- Była zasłonięta?
- Miała tylko hidżab.
- Przyjęła cię w pojedynkę?
- Owszem.

Dotarli do samochodu, Jusuf obracał w palcach kluczyki. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Ciekawe. Bardzo ciekawe.

XXI

Gdy znalazł się w namiocie, miał wrażenie, że jego młodzi współpracownicy zostali zagazowani. Leżeli na środku z rozpostartymi szeroko rękami, ich nogi zachodziły na siebie. Widok przywodzący na myśl tragedię w Jonestown.

Alan rzucił się ku nim.

– Cayley? Rachel? Brad?

Powoli otworzyli oczy. Żyli.

– Klimatyzacja przestała działać – powiedziała z wysiłkiem Rachel.

Wstali powoli, postępując.

Brad zerknął na zegarek.

– Spaliśmy około godziny. Przepraszam.

Cayley uniosła wzrok, miała szkliste oczy.

– Zaraz, zaraz. Co ci się stało w kark?

Alan opowiedział o wycieczce do szpitala. Pokazał opatrunek i powiedział, jakie są rokowania; wydawało się, że podobnie jak on mieli nadzieję, iż jego dolegliwości mogą mieć jakieś medyczne wytłumaczenie.

– Myślisz, że gdy już ci to usuną, poczujesz się lepiej? – zapytała Cayley.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Dzisiaj sygnał był mocny – rzuciła Rachel, ratując ją z opresji. Otworzyła swojego laptopa, ale po chwili prychnęła szyderczo, zniesmaczona. Teraz sygnału nie było.

– Jest jakaś szansa, że król zjawi się dzisiaj? – zapytał Brad.

– Niestety nie. Jest w Rijadzie – odparł Alan.

Brad opadł z powrotem na dywan. Rachel i Cayley poszły za jego przykładem. Alan stał nad nimi przez chwilę i wszyscy zastanawiali się, co mogliby sobie powiedzieć. Niczego nie wymyśliwszy, zachowali milczenie.

Uznał, że pozwoli im przespać cały dzień. Wszedł na zewnątrz i się rozejrzył, nie bardzo wiedząc, co powinien zrobić.

Szedł promenadą, dopóki na jej końcu nie natrafił na wydnię. Odwrócił się w stronę morza. Bardzo chciał wejść na piaszczystą plażę, ale obawiał się, że zobaczy go ktoś ze współpracowników. Przecież w namiocie były te plastikowe okna.

Trochę dalej ujrzał wysoką stertę piachu z porzuconym obok traktorem ładowarką. Gdyby udało mu się minąć piaszczysty pagórek i za nim zniknąć, mógłby niepostrzeżenie wejść do wody.

Popędził za stertę i usiadł w jej cieniu. Zerkając zza piaszczystej przeszkody, potwierdził swoje przypuszczenia, że z białego namiotu, z Czarnej Skrzynki i różowego budynku mieszkalnego nikt go nie zobaczy. Mogły go dostrzec tylko ryby w morzu.

Ciągle zastanawiał się nad swoim zachowaniem. Ledwie coś zrobił, na przykład teraz, chowając się za pagórkiem z piachu nad Morzem Czerwonym, a już zadawał sobie pytanie: Kim jest ten człowiek, który opuszcza miejsce prezentacji, by ukrywać się przed ludźmi?

Zdjął buty i pognał bliżej morza. Lekki wiatr delikatnie marszczył powierzchnię wody. Niemal śnieżnobiały piasek był zabrudzony kawałkami muszli, jakby ktoś od stu lat tłukł tutaj talerze.

Plaża była wąska i niebawem poczuł na podbiciu kropelki odrywające się od maleńkich fal. Podwinął nogawki i zanurzył stopy w wodzie. Była ciepła

jak powietrze nad powierzchnią morza, ale im głębiej wchodził, tym stawała się chłodniejsza. Stał, uważając, by nie być za bardzo na widoku. I wtedy znowu wyszedł ze swej cielesnej powłoki i zaczął powątpiewać, czy jest zdrowy na umyśle. Jedną rzeczą była przechadzka po okolicy, a inną wejście na plażę. Ale żeby ściągać buty, podwijać nogawki spodni i włączyć do wody?

Żaden maszt żagłówki, żaden statek nie kalał tafli morza przed nim. Wydawało się, że to niezwykle słabo wykorzystywany akwen, przynajmniej w tej części, którą widział Alan. Na dystansie około stu trzydziestu kilometrów, które przejechali, by się tutaj dostać, nie zauważył zbyt wielu śladów zagospodarowania. Jak to możliwe, że tak długi odcinek linii brzegowej wykorzystywano w równie niewielkim stopniu? Pomyślał o nabyciu tu jakiejś nieruchomości. Mógłby kupić jedno bądź dwa mieszkania, wynajmować je przez połowę roku i nadal byłby do przodu. Właśnie zrobił obliczenia, gdy sobie uświadomił, że nie jest człowiekiem, który może snuć takie plany. Nie miał czego wydawać.

Sięgnął ręką do wody, by przyjrzeć się muszli, która wyglądała na nienaruszoną. Była cała, nieskazitelna, przypominała muszlę świętego Jakuba. Włożył ją do kieszeni. Znalazł kolejną, tym razem muszlę porcelanki; błyszcząca jak celofan, była jasnobrązowa i podobna do lamparciej skóry, z dziesiątkami białych plamek. Kiedyś już miał takie muszle i przypuszczałnie gdzieś, w jakimś pudełku, leżało ich jeszcze kilka. Nigdy jednak nie znalazł porcelanki w wodzie. Ona też okazała się idealna – obracał ją w dłoni i stwierdził, że jest bez skazy, nie ma żadnych rys. Ząbki na brzegach były gładkie, zróżnicowane. Jej piękno nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia.

W młodości zbierał muszle. Nic poważnego, ale znał nazwy podstawowych odmian. Miał książkę, której okładkę i ciężar wciąż

pamiętał, zawierającą wykaz wszystkich najcenniejszych i najkosztowniejszych muszli na świecie. Jedna, *Conus gloriamaris*, „chwała mórz”, była ponoć warta wiele tysięcy. Nawet teraz potrafił ją sobie wyobrazić: długi stożek ozdobiony tysiącami małych półpętelek wyglądających jak odręczny rysunek jakiegoś maniaka. Była niewiarygodnie rzadka. Krążyła legenda, że w 1792 roku pewien kolekcjoner, właściciel jednego z nielicznych okazów „chwały mórz”, kupił na aukcji kolejną muszlę tylko po to, żeby ją zniszczyć i podnieść wartość swojego okazu. Alan studiował tę księgę, a jego matka, myśląc, że kolekcjonowanie, zapamiętywanie liczb, obsesja na punkcie wzrostów i spadków cen na rynku kształtują bystrość umysłu potrzebną w biznesie, kupowała mu inne książki oraz inne muszle, a on zapamiętywał ich nazwy oraz morza, z których je wyłowiono.

Podwinął nogawki do kolan i pochyliwszy się, obmył sobie twarz wodą. Oblizwał wargi, wyczuwając smak soli.

Kiedy Kit była malutka, siadali na plaży, na Cape Cod, na wybrzeżu Maine, czasem w Newport, ona na kolanach tatusia. Grzebali rękami w kamieniach i piasku, szukając morskiego szkła oraz godnych uwagi muszli i jeżowców. Porównywali swoje znaleziska, wrzucając najlepsze do słoika, który wcześniej opróżnili z jedno- i pięciocentówek. Tęsknił za nią z tamtych lat. Za jej drobnym wówczas ciałem, za ciężarem spoczywającym na jego kolanach. Miała wówczas trzy, cztery lata, mógł ją podnieść, przytulić. Mógł ją trzymać w ramionach, objąć, gdy płakała, czuć zapach jej zmierzwionych włosów, wciskać nos za jej uszko. Wiedział, że robił to zbyt często. Nie przestał, gdy miała siedem lat, gdy skończyła dziesięć. Ruby patrzyła na to z dezaprobatą, ale nie mógł się powstrzymać. Gdy Kit miała czternaście lat, nadal pragnął wtulać nos w jej kark, czuć zapach jej skóry.

Pomyślał o liście, który mógłby napisać do Kit. Wy tłumaczy w nim, że jej oczekiwania względem matki są niesprawiedliwe. Zastanawiał się, czy Kit wie, że matka urodziła ją naturalnie, bez leków, bez znieczulenia. Czy to zrobi na niej wrażenie? Pewnie dopiero wtedy, gdy sama spróbuje.

„Kit, piszesz, że twoja matka się nie zmieniła, ale to nieprawda. Zmieniała się dziesiątki razy. Musisz wiedzieć, że chociaż dorośli stale się zmieniają, to nie zawsze na lepsze. Następuje zmiana, lecz niekoniecznie rozwój”.

To nie mogło pomóc. Może się mylił. Ruby wcale tak bardzo się nie zmieniła. Zawsze była nieznośna. Zbyt silna, zbyt bystra oraz zbyt okrutna, a jednocześnie zbyt niespokojna, by zadowalał ją mężczyzna, który sprzedawał rowery. I wszystko po ich pierwszym spotkaniu okazało się rozczarowaniem.

Kiedyś pojechał w sprawach służbowych do São Paulo. Pracował wówczas u Schwinna. Powstał pomysł, by otworzyć tam fabrykę, wypuścić sześć modeli, sprzedawać je w Ameryce Południowej, uniknąć w ten sposób ceł. Ale podróż zakończyła się klapą. Facet, z którym kontaktował się na miejscu, okazał się szaleńcem, złodziejem. Sądził, że zapłacą mu z góry jakieś niebotycznie wysokie honorarium, a Alan był pewien, że tamten zniknie, gdy tylko spienięży czek. Zadzwoił więc do Chicago i powiedział, że zaczynają od zera. Wzruszyli ramionami i odłożyli cały projekt na półkę. Ale jego samolot odlatywał do Stanów dopiero za osiem dni.

Mógł po prostu wyjechać wcześniej. Od dwóch lat nie miał jednak urlopu, a w firmie i tak liczone się z tym, że nie będzie go co najmniej tydzień, kiedy więc wrócił do hotelu i zobaczył w holu informację o wycieczce statkiem po Rio Negro, zapisał się na nią. Poszedł do swojego pokoju i spędził resztę wieczoru na balkonie, obserwując ruch na drodze

i chodnikach, dzieci w mundurkach szkolnych na ulicy do jedenastej. Przez godzinę przyglądał się jakiejś dziewczynce, niespełna dziewięcioletniej i chudej jak wiejski kot, przechadzającej się samotnie z wózkiem pełnym białych róż. Nie sprzedała ani jednej.

Rano miał krótki lot do Manaus u ujścia rzeki. Na pierwszy rzut oka Rio Negro nie różniła się zbytnio od Missisipi w jej dolnym biegu; tak naprawdę trudno ją było odróżnić od jakiejkolwiek innej rzeki. Była szeroka i brązowa. Zapisał się na wycieczkę, spodziewając się tworzącej zielone sklepienie gęstej dżungli i wijącej się pod nim wąskiej rzeki, małą widocznych ze statku, piranii i krokodyli kłapiących paszczami, wyskakujących z wody różowych delfinów. Tymczasem przybył na brzeg, przeszedł nad rozległym bagniskiem po skleconym z palet pomoście i chwilę później znalazł się na pokładzie starego drewnianego kołowca, który na pierwszy rzut oka miał równie duże szanse unosić się na powierzchni wody, co stary kościół z szalówką.

Dni mijały zwyczajnie i wspaniale w swojej prostocie. Pasażerowie budzili się wraz ze słońcem, drzemali przez godzinę, a kolejną spędzali według własnego uznania na pokładzie, patrząc tępo na zmieniający się krajobraz, gawędząc leniwie, grając w karty, prowadząc dzienniki i czytając o sztuce ozdobnego strzyżenia krzewów i drzew. Około ósmej podawano śniadanie, zawsze coś świeżego: jajka, banany, melony, świeże pieczywo, sok z mango i pomarańczy. Po posiłku znowu mieli czas wolny, a o dziesiątej lub jedenastej statek docierał do kolejnego interesującego miejsca. Jednego dnia była to wioska z krytymi strzechą chatami wzniesionymi nad równiną zalewową, drugiego las, przez który wędrowali, wypatrując węży, jaszczurek i pajaków.

Na statku Alan spał więcej, niż myślał, że to możliwe. To przez większą zawartość tlenu w powietrzu, wyjaśnili członkowie załogi. Ich zdaniem

turyści z północy przez pierwsze kilka dni zawsze dużo spali. Zdał sobie sprawę, że śpi praktycznie wszędzie – w swojej kajucie, na drugim pokładzie, na krześle, gdzie tylko się dało. I nigdy dotąd nie zaznał snu równie błogiego, jak tutaj.

Na pokładzie znajdowało się dwunastu herpetologów, w większości po sześćdziesiątce, Alan oraz młoda kobieta w jego wieku. To była Ruby. Wysoka i szczupła, z krótkimi, mocno kręconymi, ciemnymi włosami. Kochała się w niej cała załoga i choć wszyscy byli żonaci, zabiegali o jej względy, a ona darła z nich łacha.

– Biedna ta twoja żona – powiedziała do jednego z nich, żonatego Peruwiańczyka, gdy wziął ją za rękę podczas kolacji. – Nie zasługujesz na nią – ciągnęła – bez względu na to, kim i g d z i e jest.

Odtąd Alan trzymał się blisko niej tylko po to, żeby słuchać, jak z nimi rozmawia.

Po codziennej wycieczce statek znowu odbijał od brzegu i powoli płynął w górę rzeki, a popołudnie ciągnęło się bez planu i zobowiązań. Kolacja zawsze była okazją, zapijana piwem. Po posiłku siedzieli na pokładzie, grając w karty lub domino i słuchając opowieści Randy’ego, kapitana bigamisty, oraz Ricarda, jego zastępcy, który miał jeszcze więcej żon. Potem towarzystwo rozchodziło się do kajut, Alan zaś zostawał na pokładzie, prawie zawsze sam. Widział stamtąd niewyobrażalnie rozległą kopułę nieba, wierzchołki drzew przepływające z lewej i prawej strony, słyszał klekot i furkot ptaków oraz krzyki niewidocznych małp.

Nie liczył na żaden romans na statku, ale zdał sobie sprawę, że siada koło Ruby przy posiłkach, a potem chodzi z nią podczas pieszych wycieczek. Wkrótce się zaprzyjaźnili, stali swego rodzaju parą. Być może po prostu zdecydowało to, że byli rówieśnikami na statku pełnym starszych ludzi.

I czy tylko on chciał jej słuchać całymi godzinami? Przyznawała ze śmiechem, że coś w rzeczonym powietrzu, bezkresne niebo, sprawia, że tak peroruje.

– Nie przeszkadza ci moja paplanina? – zapytała, a on odparł, że nie, wcale nie.

Szli przez dżungłę, a ona mówiła o pracy, którą chce wykonywać – zakrawało to na chęć zbawiania świata.

– Nie, nie! – zaprotestowała. – Mam na myśli coś odwrotnego. Tak mówią i robią szaleńcy. Mnie chodzi o coś znacznie bardziej poważnego.

Wściekała się na ludzi o wielkich umiejętnościach i empatii, którzy marnowali czas na sprawy poboczne, drugorzędne kwestie, trywialne problemy. Nie podobało jej się zwłaszcza podejście do praw zwierząt. Przeszkadzały jej nie tyle pandy i wieloryby, ile ludzie sterylizujący koty i ratujący chomiki.

– Świetnie, znakomicie, traktujcie je dobrze – unosiła się, mając na myśli zwierzęta. – Ale cały ten szmal, wszyscy ci prawnicy, kampanie reklamowe i protesty w obronie królików i szczurów laboratoryjnych!? Gdyby tak poświęcić tę energię ratowaniu życia głodujących!

Alan potakiwał. Nie wiedział, że chodzi o grę o sumie zerowej. Ale dokładnie tak brzmiała jej teza. To właśnie energia wydatkowana na nieistotne kwestie wstrzymywała jakikolwiek postęp w rozwiązywaniu bardziej naglących problemów. Alan podziwiał jej błyskotliwość i energię, może nawet jej złość. Ruby była zirytowana nieustającymi globalnymi kryzysami, które jej zdaniem łatwo można było rozwiązać. Pisała listy do senatorów, gubernatorów, do ludzi wpływowych w MFW. Nalegała, by Alan czytał je wszystkie, sama zaś siadała na drugim końcu pokoju z taką miną, jakby właśnie odbyła stosunek. Za każdym razem myślała, że stworzyła kolejną Wielką Kartę Swobód. Po lekturze listu miał powiedzieć,

że senator X lub Y byłby niepoczytalny, gdyby nie dostrzegł logiki jej rozumowania; jednocześnie starał się tonować oczekiwania Ruby.

Było to jednak niemożliwe. W tym, czego chciała dla świata, dla siebie i dla swojego męża, brakowało miejsca na kompromis.

Ożyła jakaś maszyna. Alan odwrócił się i zobaczył mężczyznę w małym spychaczu. Nieopodal stało jeszcze dwóch innych mężczyzn. Mieli zaraz rozpocząć pracę nad pobliskim odcinkiem promenady.

Alan wyobraził sobie legendę krążącą w przyszłości wśród robotników w KAEC, dziwną opowieść o Amerykaninie odzianym jak biznesmen, lecz snującym się bez celu po plaży, chowającym się za stertami piachu i w pustych fundamentach budynków. Już mu się to zdarzało – usiłując zniknąć, jeszcze bardziej zwracał na siebie uwagę.

Poszedł z powrotem do namiotu i zastał młodych współpracowników śpiących w plastikowym mroku. Zwinął jeden z dywanów i położywszy się, oparł na nim głowę.

Był sam na górnym pokładzie statku. Pod zapchanym gwiazdami niebem dochodziła północ, a statek sunął cicho wąskim dopływem Rio Negro; wiatr był gorący, z dala od brzegu płonęły ogniska. Ruby stała przy relingu w wytartej żółtej koszuli i Alan podszedł do niej od tyłu. Zanim jeszcze wyciągnął w jej kierunku ręce, odchyliła się i wsparła na nim. Objął ją i wtedy Ruby szybko odwróciła się ku niemu, a on przywarł do jej pachnących piwem ust. Po chwili trafili do jej kajuty i tam spędzili znaczną część reszty wycieczki.

Pobrali się w zawrotnym pośpiechu, lecz Alan szybko poczuł, że Ruby traktuje go jak powietrze. Kim był? Sprzedawcą rowerów. Okazało się, że są niedobrani. Był ograniczony. Próbował wznieść się na jej poziom, poszerzyć horyzonty i patrzeć na wszystko jak ona, ale miał do dyspozycji

zbyt prymitywne narzędzia. Zbawiennym elementem jego profesji były podróże, rozmaite wyjazdy dla Schwinna na nowe rynki i Ruby bardzo je ceniła. Na początku towarzyszyła mu w czasie eskapad do Tajwanu, Japonii, Chin i na Węgry i zachowywała się cudownie. Była diabelnie czarująca, promienna. Wszystko dostrzegała, ze wszystkimi się spotykała. Była olśniewającym gościem rozmaitych spotkań, najbardziej niezłomną, dociekliwą i pełną życia Amerykanką, jaką ktokolwiek z jego kolegów po fachu poznał.

Alan wprawiał ją jednak w zażenowanie. Nie znał połowy ludzi, o których mówiła – dysydentów, filozofów i przywódców na wygnaniu. Próbował znaleźć przy stole jakiegoś przemysłowca, jednego z tych mężów, którzy znali koszty jednostkowe, daty rejsów, ale niewiele wiedzieli o szansach rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Sri Lance. Czasami miał szczęście i obaj chowali się przed światłem idealistów toczących boje o szczegóły niewykonalnych planów i nierealnych zadań.

Alan wiedział już wtedy, że idealnym partnerem dla Ruby byłby jakiś Kennedy, jakiś Rockefeller. Może Aristotelis Onassis bądź George Soros. Potrzebowała zamożnego mecenasa, który miał polityczne wpływy, mógłby odsłonić kulisy władzy i pokazać jej wszystkie rządzące światem mechanizmy. Kogoś, kto byłby w stanie sfinansować jej plany. Gdy była sfrustrowana, gdy postrzegała go jako piasek w trybach jej życia, robiła się podła.

– Nie ma czegoś takiego jak Ten Jedyńy – zauważyła kiedyś. Jedli kolację w Tajpej, z jakimś dostawcą i jego żoną. Od czterdziestu lat byli małżeństwem. – Myśl, że jest tylko jedna osoba na świecie, z którą masz być, jest nielogiczna. – Wypiła kilka drinków i podobało jej się wypowiedanie swoich refleksji na głos. – To po prostu nie działa! To, z kim się wiążesz, jest tak naprawdę kwestią przypadkowego kontaktu.

Alan otworzył oczy w namiocie nad morzem. Trójka młodych ludzi nadal spała. Najwyraźniej uważali, że jest nikim, człowiekiem bez znaczenia. Czy zdawali sobie sprawę, że pływał w Rio Negro z krokodylami? Że pewnego ranka omal nie został rozszarpany na kawałki, a jego nieustannie okrutna ekszona była jedyną osobą, która walczyła o niego wtedy i kiedykolwiek indziej?

Alan widział wcześniej, że członkowie załogi skaczą od czasu do czasu do rzeki i to wywołało dyskusję o krokodylach. Zarówno wtedy, jak i później usłyszał, jak rzadko atakują, a ludzkie mięso interesuje je tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, jeśli poziom wody jest bardzo niski, a normalne źródła pożywienia gadów zaczynają się wyczerpywać lub zupełnie znikają.

Kiedy więc statek stał przy molo w jakiejś wiosce, grupka skuszonych możliwością kąpieli pasażerów wskoczyła do wody i pływała w niej bez obaw. Twierdzili, że jest świetnie. Stali na płyciźnie, w pobliżu pluskały się wiejskie dzieci i olbrzymie gady nikogo nie atakowały. Wydawało się nawet, że nie ma ich na tym odcinku rzeki, dopóki kilka minut później po drugiej stronie statku nie powstało jakieś zamieszanie. Członek załogi łowił ryby i właśnie złapał małego krokodyla wielkości buta. Oboje z Ruby pobiegli, żeby mu się przyjrzeć; rzeczywiście wyglądał dokładnie tak jak te, które Alan widział w książkach. Miał niesamowity przodozgrzyz i sprawiał wrażenie wściekłego.

Alan nie zamierzał pływać. Ale widok gada podskakującego na pokładzie i fakt, że był tak blisko pasażerów i dzieci kąpiących się w płytkiej wodzie, dowiodły zdaniem Ruby, że nic jej nie grozi, więc wskoczyła do rzeki, pluskała się w niej i starała skusić również Alana. Odmówił i potem, gdy stała już na pokładzie, z ręcznikiem na ramionach, powiedziała, wtulając się w niego:

– Powinieneś to zrobić.

To mu wystarczyło. Postanowił jednak popłynąć dalej, znalazł na statku łódź wiosłową, zwodował ją i do niej wsiadł. Pomyślał, że wypłynie na środek rzeki i skoczy z łodzi do głębokiej wody.

Łódź była bardzo mała, wysokością burt przypominała raczej kajak. Alan wiosłował z wyprostowanymi nogami i wszystko wydawało się w miarę normalne. Wkrótce jednak z pokładu, nad którym stała Ruby, zaczęli go obserwować wszyscy członkowie załogi statku i wydawało się, że coś ich bardzo bawi. Ruby spojrzała więc z zaciekawieniem na łódkę i szybko spostrzegła, dlaczego są tacy weseli. Łódka, którą wybrał Alan, była niezdatna do użytku, dziurawa jak sito i właśnie tonęła. Śmiech członków załogi statku się wzmaczał, w miarę jak Alan powoli pogrążał się w wodzie, a gdy to zauważył, zaczęli się śmiać jeszcze głośniej, obserwując, jak szybko usiłuje zawrócić i dopłynąć do statku, zanim na dobre zatonie.

Słyszał o zupełnym braku zagrożenia ze strony krokodyli, o tym, że atakują człowieka tylko wtedy, gdy przymierają głodem, a poziom wody jest bardzo niski, ale mimo wszystko w każdym pokojowym współistnieniu zwierząt z człowiekiem występowały anomalie – co tydzień jakiś pomocnik dozorczy w zoo tracił rękę w paszczy tygrysa, a słonie rozdeptywały treserów. I oto Alan tonął w wodach Rio Negro około trzydziestu metrów od statku, wystarczająco daleko, by mieć pewność, że jeśli coś pójdzie źle, jeśli krokodyle uznają go za pożywienie, nikt ze statku nie dotrze do niego na czas.

Starał się nie sprawiać wrażenia wystraszonego, starał się pamiętać, jak mało prawdopodobny, a w gruncie rzeczy niemożliwy jest jakikolwiek atak, lecz z drugiej strony: co, jeśli nastąpi? Gdy był niespełna dwadzieścia metrów od statku, rdzawa woda przelała się przez burty łódki i zaczęła ją wypełniać z zatrważającą prędkością. Przestał posuwać się naprzód, prawie cała łódka zniknęła pod powierzchnią wody i po chwili zaczęła opadać

razem z nim na dno rzeki, w której roiło się przecież od krokodyli i wszelkich innych stworzeń.

Bardzo pragnął dopłynąć do statku, i to jak najszybciej, bał się jednak, że gwałtowne ruchy kończyn zwabią drapieżne gady. Równocześnie chciał sprowadzić łódkę z powrotem, to on bowiem wpadł na – jak się teraz okazało – cudownie idiotyczny pomysł, by powiosłować na środek rzeki. Nie chciał dopuścić, by łódka, którą teraz ściskał między nogami, opadła na dno. Wiedział też, że jego dyndające kończyny są obserwowane z wielkim zainteresowaniem przez rzecznych mięsożerców. Mimo to gapie nadal się śmiali. Byli wśród nich nawet tacy, którzy znudzeni odwrócili się od relingu.

W pewnej chwili Alan popatrzył na statek, myśląc: Cóż, to naprawdę może być ostatnia rzecz, jaką widzę. Piękny statek, a na jego pokładzie śliczna Ruby przechylająca się przez barierkę z nagłym krzykiem:

– POMÓŻCIE MU!

Właściwie wisiała nad wodą, przechylona nad relingiem górnego pokładu, usiłując zwrócić uwagę załogi stojącej na pokładzie poniżej.

– POMÓŻCIE MU, DO KURWY NĘDZY! – wrzasnęła znowu i powtarzała tę i inne wersje tej dyrektywy dopóty, dopóki minutę później trzej członkowie załogi nie znaleźli się w szalupie, nie dopłynęli do Alana i nie wciągnęli go na pokład.

XXII

Kiedy Alan dotarł do swojego pokoju w Hiltonie, czerwona lampka na aparacie telefonicznym mrugała. Miał wiadomość od Hanne.

„Zadzwoń” – usłyszał jej głos z taśmy.

Gdy to zrobił, odebrała po pierwszym dzwonku.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytała.

Alan pomyślał o swoim pokoju, o koszmarnych przygodach, które go tutaj czekały. Łóżko, lustro, księżycówka.

– Nic.

– Przyjedź do mnie. Przyrządzę coś do jedzenia.

– Mogę to zrobić?

– Tam, gdzie mieszkam, nikt się tym nie przejmuje.

– Nie musisz gotować. Mogę cię zabrać na kolację.

– Nie, nie. Fajniej, i łatwiej, będzie zjeść u mnie w domu.

Zadzwoił do Jusufa. Połączył się z pocztą głosową.

– Zadzwoń. Wybieram się do domu mojej znajomej i potrzebuję kierowcy.

Jusuf na pewno by się ucieszył. Alan spodziewał się rychłego telefonu, ale po trzydziestu minutach stracił nadzieję. Zawsze dotychczas udawało mu się skontaktować z Jusufem. Ogarnął go nieokreślony niepokój. Wysłał młodemu Saudyjczykowi SMS-a, ale nie dostał odpowiedzi.

Kazał konsjerżowi sprowadzić innego kierowcę, kupił kwiaty w hotelowym holu i godzinę później stał przed bramą domu Hanne.

Nacisnął guzik dzwonka i zobaczył cień przesuwający się na górnej kondygnacji. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Hanne. Miała na sobie jedwabną bluzkę bez rękawów i czarne spodnie. Była elegancka i opanowana, jej twarz promieniała.

– Przyniosłem kwiaty – powiedział Alan.

– Widzę – odparła Hanne.

Dom bardzo przypominał jej gabinet – wyglądał tak, jakby wprowadziła się kilka godzin wcześniej. Było tam nie więcej niż pięć sztuk mebli. Kanapa, stół, kilka drewnianych krzeseł o sztywnych oparciach. Minęli kuchnię, gdzie coś gotowało się na wolnym ogniu.

– Zrobiłam potrawkę – powiedziała.

Alan odparł, że ładnie pachnie, chociaż poza świeżą farbą niewiele czuł.

– Mam trochę wina. Napijesz się ze mną?

Hanne trzymała termos i szklankę z wizerunkiem pary rybek z kreskówki. Alan uśmiechnął się, a ona wlewała do niej różowawy płyn, dopóki szklanka nie wypełniła się w połowie.

– Niedawno zaczął je robić znajomy z dzielnicy. Pochodzi z Afryki Południowej. Znają się tam na winach.

Alan skosztował trunku i się skrzywił. Jakimś cudem wino było zarówno słabe, jak i gorzkie.

– Aż tak dobre?

– Nie, w porządku. Dziękuję – odparł Alan i wypił jedną trzecią zawartości szklanki jednym haustem.

– Załatwiłam ci następną porcję siddiqi – oznajmiła Hanne i przesunęła po blacie kolejną butelkę po oliwie.

– Nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności – odparł Alan.

Hanne się roześmiała.

– Ludzie piją tutaj więcej niż w Finlandii.

Weszła do salonu.

– Wejdz i usiądź. Już dawno nikt mnie nie odwiedzał.

Usiedli na dwóch brzegach kanapy.

– Musi tu być dziwnie – zauważył.

– Jest b a r d z o dziwnie. Ale też tak spokojnie, że przeważnie bardzo mi się tutaj podoba. Zupełny brak obowiązków towarzyskich. Nie odpowiadasz za rodzinę, nie masz tak naprawdę żadnych zobowiązań wobec znajomych. Mam szczęście, jeśli goszczę tu jedną osobę na miesiąc. Taki klasztorny tryb życia pozwala się odprężyć.

Alan skinął głową. Wiedział o tym.

– A poza tym są przyjęcia w ambasadach – przypomniał.

Hanne zapaliła papierosa.

– Owszem. Zachowałam się żenująco?

– Wcale nie. Wszyscy robili szalone rzeczy.

Może umieszczenie jej próby gdzieś w królestwie dziwaków, w co żaden zdrowy na umyśle człowiek by nie uwierzył, załatwi sprawę, pomyślał.

Miał wrażenie, że po tych słowach światło w jej oczach zgasło.

Ale równie szybko Hanne doszła do siebie, zmuszając się do uśmiechu.

– Mam dla ciebie wieści o królu. W przyszłym tygodniu będzie w Bahrajnie, więc macie wolne.

– Och – westchnął, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. Nie takiej wolności szukał. Chciał móc swobodnie zrobić prezentację, zdobyć potwierdzenie woli zawarcia umowy, spakować się i wrócić do domu. Pragnął móc swobodnie opuścić Królestwo Arabii Saudyjskiej.

Hanne postawiła jedzenie na plastikowych podkładkach i wkrótce oboje znali wszystkie istotne fakty ze swojego życia. Alan przypuszczał, że jest rozwódką, i miał rację, ale mylił się, sądząc, że ma dzieci. Nie miała, tak bowiem umówiła się ze swoim byłym, gdy się pobierali. Hanne nie chciała dzieci, on także nie chciał być ojcem. Potem jednak, po pięciu latach,

zapraǳnę nim zostać. Kłócili się więc i oddalali od siebie, i niebawem mąż Hanne zapłodnił inną. Nadal byli wtedy małżeństwem.

Odtąd cała historia była bardzo prosta. Hanne poinformowała szefów z McKinsey, że jest gotowa do misji w odległych miejscach i kilka miesięcy później była w Seulu. Następnie w Aruszy, a potem w Dżuddzie i KAEC.

Wkrótce kolacja została zjedzona, talerze sprzątnięte i gdy Alan się spodziewał, że gospodyni zaproponuje, by z powrotem przeniósł się na kanapę, lub ziewając, odprowadzi go do drzwi, usłyszał:

- Chcesz się wykąpać?
- Co zrobić?
- Wykąpać się. Tak sobie pomyślałam.
- To znaczy razem z tobą?

Roześmiała się, zbywając to uwagą:

- Po prostu coś takiego przyszło mi do głowy.

Nie zamierzała jednak z tego zrezygnować.

- Możemy udawać, że to gorąca kąpiel.

Zastanowił się nad tym, ale niezbyt głęboko. Pomyślał tylko, że woli przedłużyć, choćby w najdziwniejszy sposób, wieczór z Hanne, niż być sam.

- Czemu nie.

– Dobrze! – powiedziała radośnie i szybko ruszyła do łazienki. Rozległ się głośny szum wody lecącej do wanny. Po chwili Hanne wróciła na kanapę, podniosła swój kieliszek i dopiła wino.

- Masz zamiar ponurkować z rurką, z akwalungiem, robić coś takiego?

Odparkł, że o tym nie myślał.

– Tutaj są do tego bardzo dobre warunki. Nurkuje bardzo niewiele osób, więc rafy są zachowane w stanie naturalnym. Kilka tygodni temu

nurkowałam niedaleko plaży w KAEC. Właściwie to miałam na sobie bikini, ale powinnam była ubrać się inaczej. Po godzinie przypłynęła łódź straży przybrzeżnej. Pływanie tam w tak skąpym stroju jest *haram*.

– Aresztowali cię czy coś...?

– Nie, powiedzieli tylko, że następnym razem muszę ich uprzedzić. W okolicach Dżuddy strażnicy są bardzo przychylnie usposobieni do przybyszy z Zachodu. Na ogół udają, że nie widzą, ale chcą wiedzieć, gdzie robisz to, co robisz. Głównie dlatego, żeby mieć pewność, że inni ludzie nie widzą, jak robisz to, co robisz. Chcesz jeszcze?

Nalała więcej wina i poszła sprawdzić stan kąpieli.

– Wygląda na to, że wszystko gotowe.

Tak więc stali zwrócenii twarzami do siebie, nadzy, i żadne z nich nie miało pojęcia, co teraz zrobić. Hanne rozebrała się pierwsza, wchodząc ostrożnie do wanny, jakby robiła to po raz pierwszy. Alan przyglądał się jej, myśląc, że jest piękna, ma obfite kształty, skórę bladą, piegowaną, plecy opalone. Poczekał, aż zajęła się świeczkami za sobą, po czym wszedł w pośpiechu do wanny, zanim zdążyła go zobaczyć w pełnej krasie.

Po chwili siedzieli z kolanami pod brodą i z winem w dłoniach. Teraz żałował, że ma go w szklance tak mało.

– Często się kąpiesz? – zapytał Alan.

– Niezupełnie – odparła Hanne.

Próbowała wcześniej zrobić pianę przy użyciu płynu do mycia naczyń, ale efekt był marny i bąbelki szybko zniknęły.

– Nie za gorąca?

– W porządku – odparł szczerze Alan. Był jej wdzięczny, podziwiał jej odwagę i odpowiadała mu cała ta sytuacja, siedzenie w wygodnej wannie z nową przyjaciółką. Ale z drugiej strony, pomyślał Alan, co on, do kurwy nędzy, robi w wannie tej kobiety?

Problem polegał na tym, że nie chciał sprawiać nikomu przykrości. I w związku z tym zbyt często zgadzał się na takie zaproszenia. Trafiał na śluby i na chrzciny z kobietami, które uważały go za kogoś więcej niż znajomego, uparcie twierdząc, że tak nie jest. Był idiotą.

W tej narośli na jego karku naprawdę musi coś być, pomyślał. Znajdowała się zbyt blisko rdzenia kręgowego i zmieniała bieg informacji z jego mózgu do reszty ciała. To by wyjaśniało jego niezdolność do odczytywania wszystkich sygnałów wysyłanych przez ludzi.

Hanne namydłała mu teraz kolano, delikatnie, jakby polerowała poręcz. Uśmiechnął się do niej. Zmarszczyła brwi.

– Niespecjalnie cię podniecam – zauważyła.

Alan nie był podniecony i wiedział, że prędzej czy później Hanne poczuje się urażona. Byłoby lepiej dla niego, gdyby w ogóle nie wlaźł do tej wanny. Wtedy nie pojawiłby się problem braku erekcji i tego, jak świadczy on o tej nagiej, życzliwej Duncie siedzącej naprzeciwko niego.

– Ależ nie – zaprotestował. – Jesteś cudowna.

– Obraziłbyś się, gdybym spróbowała?

To mówiąc, sięgnęła po jego członek.

– Nie obraziłbym się, ale wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Hanne opuściła ręce i opadła na swoją stronę wanny.

Alan próbował jej to wyjaśnić, wspominał o łatwości i prostocie życia bez seksu, o odczuwanej czystości, o tym, że teraz życie jest, ogólnie mówiąc, bardziej bezproblemowe. Twarz Hanne wykrzywił grymas trwogi.

– Czemu miałbyś pragnąć tego rodzaju prostoty?

– I to mówi kobieta, która na dobre przestała mieszkać w Europie.

– Nie przestała być c z ł o w i e k i e m.

– Ja też nie. Siedzę z tobą w wannie.

– Ale żyjesz z tymi ograniczeniami. Z tyloma zasadami.

– Z jedną.

Przez chwilę siedzieli w nieruchomej wodzie.

– Strasznie mnie to denerwuje – przyznała. – Nie mogę zrozumieć dlaczego.

Alan znał przyczynę. Hanne uważała, że tego wieczoru wyświadcza mu przysługę. I że to samo zrobiła wcześniej. Alan nie był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie i uznała, że będzie łatwą zdobyczą. Kiedy jednak okazał się nieosiągalny, wkurzyła się. Nie powiedział tego głośno.

Dodał jedynie:

– Zdarzało mi się to już przedtem.

Hanne siedziała przez kilka sekund w milczeniu, po czym krótko krzyknęła. Było to raczej komiczne niż pierwotne i chyba sprawiło ją z powrotem w dobry nastrój.

– Czemu w takim razie przyszedłeś na kolację?

– Bo cię lubię. Bo jesteśmy na odludziu.

– Bo jesteś samotny.

– To też.

– Myślę, że jesteś zupełnie pusty w środku.

– Sam ci to mówiłem.

– Może nie pusty. Raczej przegrany.

Alan wzruszył ramionami.

– Jak to się stało? Tam jest zupełnie ciemno. – Pochyliła się, by postukać palcem w jego skroń. Jej piersi spoczęły na krótko na kolanie Alana i wtedy poczuł pobudzenie.

Alan od niemal dekady zastanawiał się nad odpowiedzią na to samo pytanie. Po rozwodzie przez wiele lat czuł gniew, ale zarazem żył. Śmiał się, umawiał na randki, korzystał z rzeczy, z których powinien był korzystać. Teraz jednak stał się kimś innym. Znajdował się w tym samym miejscu, w którym kiedyś czerpałby przyjemność z różnych rzeczy –

oglądania kuzyna śpiewającego w barze irlandzką piosenkę ludową, patrzenia, jak młoda córka znajomego demonstruje jakąś sztuczkę na skuterze – i ciepło się uśmiechał. Ale nie czuł w sobie ciepła. Pragnął jedynie wrócić do domu. Chciał być sam. Oglądać na DVD mecze Red Sox, popijając księżycówkę Hanne.

– Można by wysnuć teorię, że nie doszedłeś do siebie po rozstaniu z byłą żoną. Że utknąłeś w tym stanie.

Nie interesowały go teorie i powiedział to Hanne wprost.

– Czy przynajmniej mnie podotykasz? – zapytała.

Alan spojrzał w jej nieruchome oczy i odparł:

– Oczywiście.

Hanne wstała, odwróciła się i znowu usiadła plecami do Alana. Wsparła się na nim i miał wrażenie, jakby okryto go ołowianym fartuchem ochronnym. Jego ręka opadła między nogi Hanne, jej palce wskazały drogę jego palcom.

– Możesz tam dosięgnąć?

– Niezupełnie.

Przesunęła się nieco wyżej.

– Teraz lepiej?

– Tak.

Znowu się odchyliła.

Uszczypnął ją w łechtaczkę. Usłyszał szybki wdech, a potem jęk. Dopiero zaczął, ale Hanne jęczała coraz głośniejsze. Wydawała piękne odgłosy, gardłowe i dziwne, i Alan znowu poczuł pobudzenie. Zastanawiał się, czy się podnieci. Poczuł ukłucie, ale tylko przez moment.

Prowadziła jego palce po okręgu. Potem kreśliła nimi ósemki. Zamknęła oczy i Alan zrozumiał, że jest daleko, w sypialni nastolatki lub na plaży, a on jest w jej myślach kimś innym – silniejszym, młodszym mężczyzną.

Mężczyzną pełnym życia, osiągalnym. Alan dalej kreślił kółka, szczyptał i przesuwał dłonią w górę i w dół. Oddech Hanne stał się nierówny i głośny, a jej ciało jeszcze mocniej wsparło się na jego piersi.

Dopiero co czytał jakiś magazyn pełen wizji przyszłości, wśród których znalazło się zapewnienie, że wkrótce będziemy mieli komputery w szklach kontaktowych i dostęp do informacji z całego świata za pośrednictwem samych oczu. Że skonstruujemy lepsze organy, że nanotechnologia pozwoli umieścić w naszych ciałach czynniki rakobójcze i będziemy dożywać dwustu lat. Ludzie obawiali się, że przekształcimy się w roboty, ale już teraz, zaprogramowani i podatni na manipulację, bardzo je przypominaliśmy. Mieliśmy przyciski, mieliśmy obwody i to wszystko można było odwzorować i wyjaśnić, ponownie zaprogramować i skalibrować. Zwykła mechaniczna prostota możliwości poruszania na wszystkie strony tym osobliwym narzędziem, łąchaczką, by w ten sposób wywołać największą rozkosz, wydawała się śmiesznie łatwa. Korzystaliśmy więc z tej możliwości, tworzyła bowiem poczucie szczęścia. Wciskamy guziki, które zapewniają nam nagrodę. I znowu największym pożytkiem z człowieka była jego użyteczność. Nie konsumowanie, nie oglądanie, lecz robienie dla innych czegoś, co poprawiało ich życie, choćby na kilka minut.

– A teraz szybciej – wykrztusiła z nagle wyraźniejszym akcentem.

Przyspieszył ruch palcem. Delikatnie trącał nim i kreślił kółka; Hanne oddychała z jeszcze większym trudem. Chwyciła go za rękę, drugą dłonią złapała sutek, najpierw jeden, potem drugi. Ruchy jego palca zrobiły się dłuższe i Hanne omal nie krzyknęła. Lata temu miał w tym pewną wprawę. Szalone orgazmy Ruby, to jak kręciła głową, niewyraźne, wyzywające „nie”, włosy smagające go przy każdym gwałtownym ruchu jej głowy.

Niebawem Hanne zaczęła się rzucać, z jej ust wydobyła się seria słów aprobaty oraz ponagleń. Plecy Hanne wygięły się w łuk, doszła i nastąpił

koniec.

Odwróciła się do Alana, dotknęła jego policzka i warg. Spojrzała mu w oczy, gorączkowo, w poszukiwaniu jakiegoś dowodu, że nastąpił przełom, że go zmieniła. Nie znalazłszy go, znowu odwróciła się twarzą do wykafelkowanej ściany. Przywarła do niego plecami i się roześmiała. Pewnie nadejdzie taki moment, gdy świat będzie stwarzał ludzi silniejszych niż oni. Gdy wszystko będzie się udawało. Do tego czasu nie zabraknie jednak kobiet i mężczyzn, takich jak Hanne i Alan, niedoskonałych i nieznających drogi ku doskonałości.

XXIII

Nadszedł saudyjski weekend i niewypełniona niczym przestrzeń, kiedy miał za dużo wolnego czasu i nic do roboty, nie wpłynęła na niego dobrze. Przez większość ranka oglądał telewizję, a potem poszedł do siłowni. Ćwiczył na trzech przyrządach, pchając i ciągnąc, stopniowo popadając w otepienie, i po niespełna pół godzinie wrócił do pokoju. Nim coś zjadł, nadeszło popołudnie, zamówił więc do pokoju omlet i grejpfruta. Zjadł na nasłonecznionym balkonie, przyglądając się, jak maleńcy z tej perspektywy ludzie łowią ryby przy moło.

Wróciwszy do pokoju, sprawdził pocztę głosową, tracąc kolejne sto dolarów, żeby się dowiedzieć, że Jim Wong, któremu był winien czterdzieści pięć tysięcy, zasięga rady u jakiegoś prawnika.

– To tylko środek zabezpieczający – wyjaśnił Jim. – Wiem, że dasz radę, ale po prostu chcę wiedzieć, jakie mam możliwości. – To była pierwsza wiadomość. Druga okazała się jeszcze gorsza.

Kit postanowiła spędzić jesień, pracując w spółdzielni spożywczej w Jamaica Plain. Powiedziała, że nie chce teraz wracać na studia.

Akurat, pomyślał Alan.

Annette, wdowa po Charliem Fallonie, też zostawiła wiadomość, prosząc o kopie listów, które Alan pewnie od niego dostał. Jak miał jej powiedzieć, że je wyrzucił? Mógł powiedzieć: Myślałem, że gość wariuje. Nie, tego by nie zrobił.

Sprawdził pocztę elektroniczną i dowiedział się, że młodzi ludzie z Relianta pojechali do Rijadu. „Mam nadzieję, że to Ci nie przeszkadza!!!”

– napisała Rachel w swoim liściku. „Chcieliśmy się rozejrzeć po tym obłądnym miejscu!!” – wyjaśnił Brad w swoim.

Niebawem Alan spojrział na zegarek i wyczytał zeń dobrą wiadomość: była szósta i mógł otworzyć swoje siddiqi. Hanne uzupełniła jego zapasy i gdy wyciągał nową szklankę z łazienki i wlewał pierwszą dawkę trunku, myślał o niej czule.

Sączył mieszaninę, która z łatwością spływała do gardła. Kilka dni wcześniej miała ostry, odrażający smak, ale teraz była niemal łagodna i gdy kończył pierwszą dawkę, szeptała do niego życzliwie: Mój przyjacielu, mój przyjacielu.

Wstał i stwierdził, że już teraz ma lżejszą głowę, a jego kończyny zrobiły się cięższe. Trunek był mocniejszy niż ostatnio. Hanne uprzedziła go o tym, gdy żegnali się na ganku jej domu; Alan nadal miał mokre włosy.

– Do zobaczenia w kampusie – powiedziała.

Znów nalał sobie kapkę księżycówki i wziął szklankę do łazienki. Wypił połowę i zdjął opatrunek założony przez doktor Hakem. Czuł, że rana jest świeża, zaogniona i nagle zdał sobie sprawę, że lekarka przypuszczalnie nie miała racji. Lekarze często mylili się w takich sprawach, prawda? Lekarz patrzył na jakiś pieg, guzek i mówił, że to nic poważnego, lecz później pieg się zaognił, powiększał i robił się ciemniejszy, a potem następowały śmierć i procesy sądowe.

Alan dopił siddiqi i nalał sobie kolejną porcję. Druga szklanka zawsze smakowała najlepiej. Wzbijał się wówczas do lotu, osiągał stan nieważkości. Teraz wszystko ruszało z miejsca. Zaczynało się dziać. Wracając na balkon, miał wrażenie, że jest wstawiony – czuł się znakomicie.

Alan był pewien, że Charlie Fallon fiksuje. Wkładanie ulotek transcendentalistów do jego skrzynki na listy? To było dzieło świra. Wszystkie te teksty, listy i wycinki prasowe, kopie, traktowały o Bogu, o jedności z naturą. Właśnie takie sprawy poruszały Charliego. Wzniosłość – lubił to słowo. Wzniosłość, podziw i świętość, komunizm, komunizm ze światem zewnętrznym. „Alanie, odpowiedzi na wszystkie pytania są w powietrzu, na drzewach, w wodzie!” – pisał na marginesach tego lub innego manifestu wspólnoty z Brook Farm. A potem wszedł do lodowatego jeziora i pozwolił, by go zabiło. Tak wyglądała jego idea komunii, idea jedności ze światem?

Charlie miał dwie córki, Fionę i drugą, której imienia Alan nie mógł sobie przypomnieć. Obie były starsze od Kit, różnica wieku uniemożliwiała wspólną zabawę. Miały proste włosy, szeroko rozstawione oczy i każda z nich trzymała nisko opuszczoną głowę, niczym kapelusz na wieszaku.

Pamiętał jedno spotkanie z Fioną, ten dziwny pożar na drzewie. Tamtego popołudnia było ciemno, lekkiemu deszczowi towarzyszyły krótkie, ale gwałtowne porywy wiatru. Alan wracał wcześniej do domu, gdy ujrzał Fionę stojącą na ulicy i spoglądającą w górę. Miała wówczas około szesnastu lat. Zatrzymał się i opuścił szybę w samochodzie.

– Dzielna jesteś, że tak tu stoisz – powiedział. Fiona trzymała w dłoni zwrócony ekranem ku niebu telefon komórkowy. – Przeprowadzasz jakiś eksperyment naukowy?

Uśmiechnęła się.

– Witam, panie Clay. To drzewo się pali – powiedziała, wskazując na wysoki dąb po drugiej stronie ulicy.

Alan wysiadł z auta i zobaczył ognik pełgający we wnęce w pniu drzewa, około sześciu metrów nad ziemią. Płomień wielkości wiewiórki podobnie jak ona wtulały się między konary.

– Przewrócił się słup – wyjaśniła Fiona.

Stojący obok dębu słup złamał się na pół. Przy okazji urwał się kabel i iskra z nieosłoniętego przewodu zapaliła niewielką kupkę uschniętych liści.

Fiona zadzwoniła już po straż pożarną, więc po prostu stali we dwoje, obserwując, jak ogień rozbłyska biało z każdym podmuchem wiatru.

Niewyraźny odgłos syreny. Pomoc była już w drodze.

– Cóż, sprawa załatwiona – powiedziała dziewczyna. – Do zobaczenia, panie Clay.

Zarówno Fiona, jak i druga córka Charliego były już dorosłe. Gdzie teraz mieszkały? Alan widział je na pogrzebie, wyglądały bardzo podobnie, na zbyt młode. Ale miały wystarczająco dużo lat. Doświadczyły obecności ojca w swoim życiu, Charlie wytrzymał wystarczająco długo. O j c o s t w o z a b i j a o j c ó w. Ktoś zażartował kiedyś w ten sposób podczas partii golfa. Ale Charlie zrobił dla nich dostatecznie dużo. Tylko to się liczy. Dziewczyny miały ojca, wyrosły na silne kobiety, a teraz on odszedł. Wydawało się, że wszystko jest mniej więcej w porządku. A może nie.

Miły, uroczy, zamarznęty człowiek na błotnistym brzegu jeziora, otoczony ludźmi w mundurach próbującymi przywrócić go do żywych.

Alan wszedł do pokoju i wyciągnął papier listowy.

„Kit, żyj długo, a wtedy wszystkim sprawisz zawód. Ludzie myślą, że możesz im pomóc, a zazwyczaj nie możesz. Sprowadza się to zatem do wyboru jednej lub dwóch osób, których usilnie starasz się nie rozczarować. Ja postanowiłem, że nie zawiodę Ciebie”.

Nie, nie. To głupie. Cholera. Wypił za jednym zamachem potężny haust księżycówki i zaczął od nowa.

„Kit. W czasach gdy dużo podróżowałem, wracałem nieraz do domu, kiedy już spałaś. Wiedziałem, że rano wyjadę, zanim się obudzisz. Miałaś wtedy około trzech lat. Mieszkaliśmy w Greenville w stanie Missisipi. Przez jakiś czas bardzo Ci się tam podobało. Mieliśmy duże ranczo. Cztery hektary ziemi. Twoja matka nie znosiła tego miejsca. Boże, jak ona nienawidziła Missisipi. Do domu wracałem późno. W fabryce panował bałagan. Robotnicy nie mieli pojęcia, co robią. Przenieśliśmy tam całą produkcję Schwinna i to była katastrofa. Nosiała jeszcze pieluchy, choć chyba już nie powinniśmy byli Ci ich zakładać. Zdarzało się jednak, że budziłaś się zmoczona i wstawałem, żeby Cię przewinąć. Przekonałem Twoją matkę, żeby się na to zgodziła, i zmieniałem Ci pieluchy. I chociaż nie chciałem, żebyś się obudziła i wystraszyła, miałem nadzieję, że otworzysz oczka na wystarczająco długo, by poznać, że to ja. Wtedy zbyt rzadko bywałem przy Tobie i chciałem, żebyś mnie zobaczyła. Po prostu otwórz oczka, myślałem. Tylko na tyle, by mnie rozpoznać. Tak właśnie myślałem. Po prostu otwórz oczka na wystarczająco długo, by mnie rozpoznać”.

Nie, nie. To prawdopodobnie w niczym nie pomoże. Cały ten list. Ale na dziś wieczorem wystarczy, pomyślał Alan i nagroził swoje starania sporym łykiem trunku.

Wkrótce poczuł się zadowolony, bardzo zadowolony z rozlewającego się w żołądku ciepła księżycówki. Wzniosłość, pomyślał. To jest wzniosłość. Ułożył się na łóżku, znalazł w kablówce dawny mecz Red Sox i o dziewiątej urwał mu się film.

Rano wreszcie dodzwonił się do Jusufa i zapytał, czy chce przyjechać coś zjeść.

– Nie, nie mogę – odparł młody Saudyjczyk. – Jeszcze przez jakiś czas.

Ukrywał się w domu kuzyna, bał się wychodzić. SMS-y od męża byłej żony i jego pachołków stały się jeszcze bardziej napastliwe.

Alan zjadł lunch w hotelowej restauracji, czytając „Arab News” i obserwując grupkę europejskich i saudyjskich biznesmenów siedzących przy stole po drugiej stronie przejścia. Usłyszał głośny, wibrujący śmiech i rozejrzał się po sali. Dwie kobiety z Zachodu rozmawiały z konsjerżem. Na głowach miały chusty, ale reszta ich stroju – obcisłe spodnie i szpilki – nie wskazywała na skłonność do kompromisów. Mówiły zbyt głośno, co chwila wybuchały chrapliwym śmiechem. Wypytywały go o plaże.

Po południu poszedł na siłownię i spędził tam godzinę, udając, że ćwiczy na różnych przyrządach, a potem w nagrodę uraczył się kawałkiem pieczeni wołowej oraz resztą księżycówki.

Gdy już czuł się dobrze, wolny od autocenzury, postarał się przedstawić Kit spójne argumenty. Spróbował odnieść się po kolei do jej obaw, do jej narzekań. Pisał jak szalony.

„Kit, wspominasz w swoim liście tę historię z psem”.

Kit miała wówczas sześć lat. Właśnie wyszli we troje z kościoła i ta kobieta przechodziła obok nich, prowadzona przez psa rasy beagle. Ruby zapytała, czy pies jest niegroźny, kobieta zapewniła, że tak, i właśnie wtedy czworonóg rzucił się na Kit i ugryzł ją w brodę. „Co u diabła?!” – wrzasnął Alan niemal pod nosem pastora i reszty parafian. Spłoszył psa, który kulił się ze strachu i skamlał, jakby już wiedział, jaką popełnił zbrodnię i jaki czeka go los.

„Miałś krew na ustach i na niebieskiej sukience i krzyczałaś na oczach setek ludzi. Owszem, Twoja matka rzeczywiście powiedziała: »W środę ten pies będzie martwy«. Byłem tam. Też to słyszałem. I psa rzeczywiście

uśpiono w tym samym tygodniu. Wiem, że Twoim zdaniem świadczyło to o jej oziębłości lub sadyzmie, ale...”

Alan przerwał. Pociągnął jeszcze jeden spory łyk ze szklanki.

W tym, jak to powiedziała, była okropna, chirurgiczna precyzja, prawda? Ale kiedy pies atakuje w ten sposób, gryzie małe dziecko, usypiają go. Na czym polegała zbrodnia Ruby? Na tym, że miała rację?

Alan przypomniał sobie, z jakim jadem wypowiedziała te słowa. „W środę ten pies będzie martwy”. Mieć taką przytomność umysłu! Chwilę po ataku psa Alan był w panice, miotał się, zastanawiał, czy powinien biec z Kit do oddalonego o szesnaście przecznic szpitala, czy zadzwonić po karetkę albo zawieźć ją tam samochodem. A Ruby już skazywała zwierzaka na śmierć. Tego rodzaju chłodna kalkulacja!

Gdy pies już nie żył, właściciele wysłali im jego zdjęcie. Albo je podrzucili. Koperta w ich skrzynce na listy, w środku zdjęcie psa, w szczęśliwszych czasach, z bandaną na szyi.

Ale dość już o psie. Załatwił tę sprawę. Nalał sobie jeszcze trochę, wypił. Teraz została mu już tylko kwestia jazdy samochodem po alkoholu, usunięcia całego dobytku Kit, gdy ta była w szkole, dziwna obecność facetów Ruby na najważniejszych uroczystościach jej córki, między innymi na konfirmacji i rozdaniu dyplomów...

Mimo tych listów Alan czuł się dobrze, pełen energii, ożywiony. Chciał pobiegać. Wstał. Jogging był jednak niemożliwy. Zadzwonił do obsługi i zamówił koszyk pieczywa i ciastek. Chciał się dobrze prezentować przed kelnerem, więc umył zęby i przycesał włosy. Stojąc przed lustrem, wpadł na pewien pomysł. Będzie mu potrzebna agrafka.

Przeszukał szuflady w pokoju i niczego nie znalazł. Zajrzał do szafy i znalazł tam przybory do szycia. Jeszcze lepiej.

Przyniesiono pieczywo i Alan podpisał rachunek, wstrzymując oddech. Nie chciał mieć kłopotów z Muttawą. Umył co prawda zęby, ale kelner chyba by poczuł. Zerkał na niego, gdy kładł tacę na łóżku, ale wyraz oczu mężczyzny wydawał się łagodny. Nie zwracał uwagi na Alana i wyszedł. Alan zamknął za nim drzwi i poczuł się nadzwyczajnie. Położył się na łóżku i zjadł ciastka, patrząc na to, co dotąd napisał do Kit. Nie było w tym za grosz sensu.

„Na wypadek gdybyś się nad tym zastanawiała, wiedz, że nie zrobiłbym tego, co zrobił Charlie” – napisał, po czym wykreślił to zdanie. Po pierwsze, Kit nie przyszłoby to do głowy. Skup się, pomyślał.

„O Boże, Kit, przepraszam Cię za czas spędzony w Greenville. Przyczyniłem się do podjęcia tej głupiej decyzji. W Chicago związki zawodowe nie dawały nam spokoju i postanowiliśmy przenieść całą produkcję do Missisipi, gdzie nie musieliśmy się przejmować tym, że jakies powstaną. Do diabła, ależ tam był bałagan. Rowery, które produkowaliśmy w Missisipi, nie nadawały się do niczego. Wyrzuciliśmy na śmietnik wiedzę gromadzoną od stu lat. Myśleliśmy, że fabryka będzie bardziej wydajna, a było odwrotnie. A ja stale wyjeżdżałem. Już wcześniej byłem na Tajwanie i w Chinach. Straciłem tam kilka lat. Przecież nie chciałem siedzieć na Tajwanie, prawda? Ale byli tam wszyscy inni. Straciłem w tym kraju kilka ważnych dla Ciebie lat i bardzo tego żałuję. Niech to szlag. Będzie bardziej wydajna bez związków, pozbądźcie się ich. Bardziej wydajna bez amerykańskich robotników i już! Pozbądźcie się ich. Czemu tego nie dostrzegłem? Bardziej wydajna była także beze mnie. Psiakrew, Kit, zrobiliśmy ją tak wydajną, że stałem się niepotrzebny. Sam sprawiłem, że przestałem się liczyć.

Ale Twoja matka była na miejscu. Niezależnie od tego, czym Ci się naraziła, wiedz, że stałaś się tym, kim jesteś, dzięki swojej matce, dzięki jej

sile. Wiedziała, kiedy być holownikiem. To ona ukuła ten termin. H o l o w n i k. To ona była ostoją. To ona omijała niebezpieczne rafy. Teraz uważasz, że jestem dla Ciebie ostoją, ale czy wiedziałaś, że to Twoja matka była nią przez cały czas?”

Gdy tylko skończył pisać, zrozumiał, że tego listu nie wysłał. Był beznadziejny. Czemu więc czuł, że rozpiera go siła?

Podszedł do lustra i w etui z przyborami do szycia znalazł igłę. Myślał o sztuczce stosowanej przy pieczeniu ciast – wetknij wykałaczkę, zobacz, co na niej zostało. Jeśli będzie czysta, ciasto jest gotowe.

Rozejrzył się za zapałkami. Nie miał ich. Był pijany i zmęczony szukaniem wszystkiego. Igła wydawała się wystarczająco sterylna. Odwróciwszy się plecami do lustra, przytrzymał guz palcami lewej dłoni i wycelował weń igłą trzymaną w prawej. Wiedział, co poczuje; już raz przekłuł na nim skórę. Teraz musiał jednak dostać się głębiej, na tyle głęboko, by znajdujące się tam komórki rakowe przylgnęły do igły. To oczywiste, że przylgną. Obce zawsze lgnie do obcego.

Najlepiej byłoby załatwić to szybko, pomyślał i zatopił igłę w karku. Ból był ostry, piekący. Miał wrażenie, że zaraz straci przytomność. Wytrzymał jednak i wepchnął igłę jeszcze głębiej. Wiedział, że musi zagłębić się na co najmniej dwa centymetry. Wzmocnił nacisk, obrócił igłę i ból jakimś cudem zelżał. Zrobił się tępy, pulsował w całym ciele, w sercu oraz w czubkach palców i było to bardzo przyjemne.

Wyjął igłę i wlepił w nią wzrok, spodziewając się ujrzeć coś szarego lub zielonego, w barwach kojarzących się z upokorzeniem. Ale zobaczył tylko czerwień, kleistą czerwień krwi ciekącej jak przedtem cieniutką strużką po plecach.

Ścierając krew z pleców i myjąc igłę, czuł się dobrze, czuł się usatysfakcjonowany. Jest pewien postęp, pomyślał.

Nazajutrz rano zaczynał się saudyjski tydzień roboczy. Alan jeszcze całkiem nie wytrzeźwiał, ale był gotów wziąć się w garść. Zadzwoił do Jima Wonga i kazał mu się odpieprzyć, dodając, że forsa niebawem się pojawi i jeśli chce ją dostać, musi przestać się mazać i pamiętać, że mieli być przyjaciółmi. Zrobił dziesięć pajacyków i zatelefonował do Erica Ingvalla. Powiedział mu, że król przyjeżdża w następnym tygodniu, a on wszystkiego dopilnuje. Ingvall nie był w stanie tego podważyć, on zaś zawsze mógł się wycofać. Tak czy owak, Ingvall mógł się dymać pieprzonym zarażonym słupem telefonicznym. Alan czuł się mocny. Zrobił dwie pompki i poczuł się jeszcze silniejszy.

Założył z powrotem opatrunek, dokończył księżycówkę i wlażł do łóżka. W z n i o s ł o ś ć, pomyślał i zaśmiał się pod nosem. Rozejrzał się po pokoju, popatrzył na telefon, tace, lustra i przesiąknięte krwią ręczniki.

– To jest wzniosłość – powiedział na głos i poczuł się z tym wyśmienicie.

XXIV

Rano, czując się rześko, Alan wsiadł do mikrobusu z młodymi współpracownikami. Słońce, bardziej upalne niż w poprzednie dni, rzucało z góry przekleństwami, ale Alan był na nie głuchy. Rozmawiał głośno z młodymi ludźmi i snuł plany. Dzisiaj, zapowiedział, ustali przynajmniej przybliżony harmonogram działań. Zdobędzie jakieś zapewnienia, jakieś dowody szacunku. Zapyta nie tylko o wi-fi, ale również o zepsutą klimatyzację w namiocie. Tego dnia czuł się kompetentny, a ponieważ od pewnego czasu nie zwracał głowy nikomu w Czarnej Skrzynce, mógł tam wejść i pytać oraz żądać tyle, ile zechce.

– Hola, Alanie, skąd ta nagła fanfaronada? – zapytała Rachel.

Nie wiedział.

Zostawił młodych ludzi w namiocie i pomaszerował do Czarnej Skrzynki.

– Witam – powiedziała Maha.

– Witaj. Jak się masz? Czy Karim al-Ahmad jest dziś u siebie?

Alan czuł, że mówi niczym sprzedawca z innej epoki. Jego głos był donośny, pewny, niemal apodyktyczny.

Pieniądze! Romantyczne Przeżycia! Samoobrona! Uznanie!

– Niestety nie.

– A będzie?

Miał wrażenie, że Maha patrzy teraz na niego inaczej. Był dziś hałaśliwy, pełen życia i oczekiwań. Recepcjonistka wydawała się kulić przed nim ze strachu.

– Nie sądzę – odparła potulnie. – Jest w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku? – Teraz Alan niemal krzyczał. – A Hanne zastałem?

– Hanne?

Alan zdał sobie sprawę, że nie zna jej nazwiska.

– Dunka? Blondynka?

Miało to być pytanie, ale zabrzmiało jak rozkaz: b l o n d y n k a!

Maha straciła rezon i nic nie powiedziała.

Alan dostrzegł swą szansę.

– Odwiedzę ją na górze.

Co się przed chwilą stało? Wizyta u doktor Hakem dodała mu dziwnej siły. Był zdrowym człowiekiem! Był silnym mężczyzną! Wkrótce podda się prostemu zabiegowi, a potem stanie się jeszcze silniejszy i zawojuje świat! Blondynka!

Ruszył więc ku windzie. Maha nie zrobiła niczego, żeby go zatrzymać. Czuł się tak, jakby mógł pofrunąć na drugie piętro, ale zamiast to zrobić, wsiadł do windy. Gdy znalazł się w środku, opuściły go siły i powrócił do swej pierwotnej postaci, jakby to była jakaś kryptonitowa komora.

Kiedy dotarł na piętro Hanne, stwierdził, że jej gabinet jest pusty. Nie dostrzegł w nim jakiegokolwiek śladu jej obecności tego dnia.

– W czym mogę pomóc?

Alan obrócił się na pięcie i stanął oko w oko z młodym, najwyżej trzydziestoletnim mężczyzną w czarnym garniturze i fioletowym krawacie.

– Szukałem Hanne. – Alan starał się mówić głosem mężczyzny, którym był w holu, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego rejestru. – Tej duńskiej konsultantki!

No i proszę. Może chodziło tylko o siłę głosu? Trochę mniej kulturalnie i człowiek przypominał prezydenta. Mężczyzna natychmiast zmienił swoje nastawienie. Wyprostował się, przybrał bardziej oficjalny wyraz twarzy.

Natężenie dźwięku decydowało o różnicy między byciem traktowanym jak powietrze a byciem traktowanym jak człowiek, który może być ważny.

– Niestety, dzisiaj jest w Rijadzie. Mogę jakoś pomóc?

Alan wyciągnął rękę.

– Alan Clay. Firma Reliant.

Mężczyzna uścisnął jego dłoń.

– Karim al-Ahmad.

Człowiek, za którym się uganiał.

– Nie jest pan w Nowym Jorku – zauważył Alan.

– Nie jestem.

Stali tak przez chwilę. Al-Ahmad zmierzył go wzrokiem. Alan nawet nie mrugnął. W końcu twarz al-Ahmada złagodniała w pretensjonalnym uśmiechu.

– Powinniśmy porozmawiać, panie Clay?

Z sali konferencyjnej roztaczał się otwarty widok na całe osiedle. Widać było kanał, centrum informacji i morze za nim. Al-Ahmad przeprosił za zwłokę w spotkaniu i powitał Alana w biurowcu.

– Wody sodowej? Soku?

Alan przyjął szklankę wody, nadal usiłując zrozumieć, dlaczego ten nieosiągalny dla niego człowiek jest w budynku mimo zapewnień recepcjonistki, że wyjechał.

– Wasza recepcjonistka powiedziała, że pana dzisiaj nie ma.

– Przepraszam za tę pomyłkę. To nowa pracownica.

– Był pan tutaj przez ostatnie dwa dni?

– Nie.

Alan patrzył na swojego rozmówcę. Karim al-Ahmad był młody, przystojny i wymuskany, jakby odlano go ze szkła i pokryto chromem. Zęby miał olśniewające, skórę gładką i delikatną. Człowiekowi o takim wyglądzie, tak ufryzowanemu i wypielegnowanemu, mówiącemu

z akcentem angielskich wyższych sfer, trudno było uwierzyć na słowo. Na takich mężczyznach wzorowano postaci filmowych złoczyńców. W tym momencie, jakby czytając w myślach Alana, al-Ahmad zrobił coś ze swoją piękną twarzą, wykrzywiając usta w przepraszającym uśmiechu i stając się przez to odrobinę mniej urodziwy.

– To, jak was dotychczas traktowano, jest nie do przyjęcia.

Nie do przyjęcia – Alanowi spodobało się to określenie.

– Zapewniam pana, że żaden dostawca nie jest dla nas ważniejszy niż Reliant.

Alan postanowił potraktować jego słowa poważnie.

– Miło mi to słyszeć. Mamy jednak pewne problemy.

– Jestem tu po to, by je rozwiązać.

Al-Ahmad wyciągnął oprawiony w skórę notes i wieczne pióro, zdjął skuwkę i przygotował się do notowania. Teatralność tych zabiegów była irytująca, ale niezrażony Alan mówił dalej.

– Nie możemy urządzić naszej prezentacji w namiocie.

– Dlaczego?

– Musimy mieć stałe łącze.

– Tego nie mogę zapewnić.

– To przynajmniej musimy mieć wi-fi.

– Każę to załatwić. Co jeszcze?

– Klimatyzacja nie działa. Cierpią na tym moi ludzie.

– Natychmiast się tym zajmujemy. Co jeszcze?

– Co mamy jeść? Na razie przywozimy sobie jedzenie z hotelu.

– Od jutra począwszy, codziennie będziecie mieli przygotowane posiłki.

Alan czuł się ogromnie wpływowym człowiekiem. Nie miał pojęcia, czy coś z tego naprawdę się stanie, ale fajnie było udawać, że w to wierzy. Spróbował uzyskać odpowiedź na najważniejsze pytanie.

– Jak długo będziemy czekali na króla?

- Tego nie wiem.
- A pi razy drzwi?
- Nie rozumiem.
- W przybliżeniu?
- Nie wiem.

Al-Ahmad odkładał notes.

- To kwestia dni?
- Nie wiem.
- Tygodni?
- Nie wiem.
- Miesiący?
- Mam nadzieję, że nie.

Alan nie miał już dokąd iść. Ten człowiek dał mu wszystko, o co prosił, a przecież i tak nie liczył na to, że młody Saudyjczyk będzie znał plany monarchy. Pogodził się z tym, że nikt tutaj nie ma pojęcia o poczynaniach króla Abdullaha. Zadowolony wstał i nie mogąc się doczekać przekazania tych wieści swoim ludziom, wyciągnął dłoń do al-Ahmada. Kiedy wymieniali uścisk dłoni, w głębi biegnącego poniżej kanału Alan zobaczył coś dziwnego.

- Czy to jacht?
- Owszem. Przyłynął wczoraj. Żegluje pan?

Dziesięć minut później Alan i Karim zostali zawiezieni na brzeg kanału i tam pokazano im wyposażenie jednostki, dziewięciometrowego jachtu do wędkarstwa rekreacyjnego, białego i nowiuteńkiego. Miał trzy mile na liczniku.

- Pływał pan czymś takim? – zapytał al-Ahmad.

Jacht, za którego sterami stał kiedyś Alan, miał trzydzieści lat i był wart kilka milionów mniej, ale Alan chciał wypróbować to cacko.

- Podobną łodzią – odparł.
- To świetnie.

Człowiek, który opiekował się jachtem, chudzielec o imieniu Mahmud, porozmawiał krótko po arabsku z al-Ahmadem; Alan przypuszczał, że al-Ahmad przekonywał Mahmuda, by pozwolił Amerykaninowi stanąć za sterem. Z tego rodzaju przywilejów Alan zwykł korzystać jako dyrektor – lub przywykł do korzystania z nich w czasach, gdy jeszcze nim był. Dostawał do testowania astony martiny, mógł na chwilę przejąć stery samolotu śmigłowego. Ale nade wszystko mógł łowić ryby. Ludzie ze Schwinna krzewili kulturę wędkowania, na jeziorze Michigan i innych akwenach. Zdarzały się weekendy na Jeziorze Genewskim z wiceprezesami firmy, z kilkoma wybrańcami z grona najlepszych detalistów. Brakowało mu tego.

Al-Ahmad wręczył mu kluczyki.

- Powierzam panu stanowisko kapitana.

Alan obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik ocknął się z łoskotem. Alan zastanawiał się, jaka prędkość byłaby rozsądna w kanale nieznanej długości. Czy kanał aż do morza, gdzie mógł opuścić miasto i wypłynąć na otwarte wody, był wystarczająco głęboki?

– O ile nie ma tu ukrytych łąch piasku, jesteśmy bezpieczni – powiedział i obaj się roześmiali, kanał był bowiem płaski i przejrzysty jak basen pływacki.

Alan odciągnął dźwignię przepustnicy. Opuścili miejsce postoju i niebawem płynęli powoli turkusową drogą wodną. Kanał był bez skazy – w wodzie nie pływały najdrobniejsze nawet szczątki, na betonowym dnie nie dało się dostrzec żadnej rysy.

Powietrze, które chwilę wcześniej było duszne, teraz wypełnił cudowny, rozwiewający włosy wiatr. Alan odwrócił się do Saudyjczyka, który uśmiechał się od ucha do ucha, unosząc brwi, jakby chciał powiedzieć: „To ja zafundowałem nam tę wycieczkę, prawda?”. Alan uwielbiał tego gościa, uwielbiał tę łódź i ten kanał oraz rodzące się miasto.

Minęli zręby następnych budynków po prawej stronie i ujrzeli przed sobą biegnącą nad kanałem kładkę dla pieszych. Al-Ahmad przedstawił zamierzenia dla tej części osiedla.

– Mieszkał pan w Chicago, prawda?

Inwestycja miała trochę przypominać to miasto, a trochę Wenecję, wyjaśnił. Promenady z obu stron wody, liczne miejsca postoju, małe restauracje, taksówki wodne. W grę wchodziła estetyka, ale też ekologia. Powietrze wokół Dżuddy często wypełniał smog, do tego dochodziły zanieczyszczenia z fabryk tworzyw sztucznych, więc tutaj starali się zmniejszyć emisję spalin. Ludzie mogą docierać do pracy kajakami.

– Jechać rowerem wodnym, wynająć gondoliera, cokolwiek – dodał al-Ahmad. – Niech pan skręci tutaj.

Kanał się rozgałęział i Alan ruszył węższą odnogą; niebawem ujrzął załączki centrum finansowego, miejsce, o którym amerykański architekt mówił na przyjęciu w ambasadzie. Teraz niewiele było tam do oglądania, jedynie olbrzymi krąg ziemi okolony wodą, ale i tak wrażenie było olśniewające. Szklane wieżowce wyrastające z krystalicznej wody i odbijające się w jej lustrze.

Alan chciał tu zostać. Chciał obserwować, jak miasto rośnie, chciał być właścicielem łodzi do wynajęcia. Może w Marina Del Sol. Ile życzili tam sobie za mieszkanie? Po tej transakcji mógłby sobie na nie pozwolić. A sytuacja, przynajmniej teraz, wydawała się pod kontrolą. To była po prostu gra na przeczekanie. Al-Ahmad darzył go sympatią i ufał mu na tyle, by pozwolić pływać lśniącym białym jachtem po nieskazitelnie czystych

kanalach miasta. Alan był już częścią wczesnych dziejów tego miejsca. Okrążył przyszłe centrum finansowe na wyspie dwa, trzy razy.

Obaj byli szczęśliwymi ludźmi, wizjonerami. Po raz pierwszy od kiedy tu przyjechał, Alan nie czuł się obco.

Kiedy wróciwszy pod namiot, wpadł do środka, zastał dwoje z trojga młodych ludzi przy pracy na laptopach. Cayley spała w kącie. Kiedy ją obudził, zebrał wszystkich i przekazał im najnowsze wieści, niemal natychmiast stali się zmotywowanymi i kompetentnymi pracownikami, których Reliant zatrudnił właśnie z tego powodu.

Po niespełna godzinie sygnał wi-fi stał się na tyle silny, by można było przystąpić do pracy. Al-Ahmad dotrzymał słowa i ku wielkiej uldze Alana okazał się człowiekiem, który potrafi wszystko załatwić. Niedługo potem w namiocie znaleźli się technicy ściągnięci do naprawy klimatyzacji. Wczesnym popołudniem temperatura spadła do dwudziestu stopni, a młodzi współpracownicy Alana ustawili cały sprzęt – ekrany, rzutniki i głośniki. Taśmą klejącą zaznaczyli miejsca na podium i zrobili krótką próbę.

O czwartej byli gotowi do przetestowania transmisji holograficznej. Nawiązali łączność z biurem w Londynie, najbliższą placówką Relianta zdolną do przeprowadzenia takiego połączenia, i do piątej, gdy przyjechał mikrobus, przeprowadzili dwie pełne dwudziestominutowe prezentacje. Poszło gładko. To było zdumiewające. Wydawało się, że jeden z ich londyńskich kolegów chodzi po podium w namiocie nad Morzem Czerwonym; mógł odpowiadać na zadawane na żywo pytania, mógł komunikować się z Rachel lub Cayley. Tego rodzaju technologią dysponował tylko Reliant i tylko Reliant mógł ją dostarczyć za odpowiednią cenę. Wykonanie prototypu w Stanach Zjednoczonych było szalenie kosztowne, ale znaleźli w Korei dostawcę, który mógł

wyprodukować obiektywy zgodnie z ich specyfikacją około pięciu razy taniej niż w Ameryce; mogłoby wyjść jeszcze taniej, gdyby zlecili to chińskiej fabryce. Reliant miałby pokaźny zysk z każdej sztuki, a co więcej – technologia wirtualnej obecności stanowiła część całego spektrum możliwości telekomunikacyjnych firmy, możliwości podłączenia do sieci całego miasta, a w zakresie usług klasy wyższej urządzania tego rodzaju zdumiewających prezentacji. Alan był stuprocentowo pewny, że prezentacja na oczach Abdullaaha szybko przypieczętuje umowę.

Gdy zakończyła się druga prezentacja próbna, Alan zaczął przybijać ze wszystkimi piątki i młodzi ludzie śmiali się z jego entuzjazmu. Robili to jednak z nowo odkrytym szacunkiem dla niego. Alan był zaś nowym, pełnym życia człowiekiem. Wiedzieli, że zapewnił wykonanie zadania. Naprawił, co trzeba było naprawić, utorował im drogę do sukcesu, znowu był kapitanem statku.

XXV

Następnych kilka dni przepłynęło jak chmury na niebie. Ale w środę, gdy dotarli do zjazdu na KAEC, powitał ich zgiełk klaksonów. Po raz pierwszy, odkąd Alan przejeżdżał przez bramy miasta, utknęli w korku. Przed mikrobusem stało dziesięć pojazdów – SUV-y i ciężarówki wiozące palmy, betoniarka oraz sznur taksówek i furgonetek. I wszystkie trąbiły.

W namiocie młodzi współpracownicy Alana krzatali się w pośpiechu, ustawiając krzesła, rozmieszczając głośniki i sprawdzając działanie mikrofonów.

Rachel zauważyła go pierwsza.

– To naprawdę stanie się dzisiaj?

Alan o niczym nie wiedział, ale odparł:

– Na to wygląda.

Brad spojrział znad rzutnika.

– Będziemy gotowi.

Wzdłuż jednej ściany namiotu ustawiono wielki, długi na co najmniej dwanaście metrów stół nakryty białym obrusem i zastawiony dziesiątkami srebrzystych podgrzewaczy. Jedzenie – zestaw potraw na ciepło i zimno, saudyjskich i zachodnich, wszystko od bobu po risotto i shoarmę. Pojawiły się również białe kanapy; ekipa pakistańskich robotników ustawiała je w rzędach zwróconych w stronę podium.

Alan opuścił namiot i ruszył biegiem do Czarnej Skrzynki, żeby poznać dokładny termin wizyty. Usłyszał warkot śmigłowca i gdy uniósł wzrok,

zobaczył dwa helikoptery obniżające lot i lądujące gdzieś koło centrum informacji. Popędził do drzwi biurowca.

Siedząca w recepcji Maha, przedtem tak nieskora do pomocy, teraz pragnęła porozmawiać. **B l o n d y n k a!** Wyjaśniła Alanowi, że ludzie króla, jeśli monarcha ma tego dnia przyjechać, przekażą tę informację z dwudziestominutowym wyprzedzeniem. Poza tym Reliant powinien być gotowy natychmiast i przez cały dzień.

Alan wrócił do namiotu. Brad siedział po turecku na podium, wpisując coś w szalonym tempie do swojego laptopa. Rachel i Cayley stały niżej i rozmawiały przez komórki. Alan podszedł do Brada.

– Jesteśmy gotowi?

– Dwie minuty.

Dwie minuty później, tuż po tym, jak Brad oznajmił, że są gotowi do próbnej holograficznej prezentacji wraz z londyńskim zespołem, do namiotu wszedł mężczyzna, Saudyjczyk, którego wcześniej nie widzieli. Był wysoki, miał na sobie biały thawb i trzymał w dłoni skórzaną dyplomatkę. Stał w wejściu, jakby nie chciał naruszać ich osobistej przestrzeni, i podniósł rękę, by przyciągnąć uwagę tych, co miotali się wewnątrz.

– Panie i panowie, z przykrością informuję, że króla dziś nie będzie. Zostaliście wprowadzeni w błąd. – Mężczyzna wyjaśnił, że gdzieś nastąpiła pomyłka w przepływie informacji. Ktoś w królewskim wydziale łączności przekazał niepotwierdzoną oficjalnie i nieprawidłową wiadomość komuś w Emaarze i ta wiadomość została rozpowszechniona. Harmonogram króla odnośnie wizyty w KAEC wciąż nie był ustalony, ale na razie Abdullah przebywał w Jordanii i miał tam spędzić następne trzy dni.

Przynajmniej na moment troje młodych ludzi ogarnął nastrój przypominający rozpacz. Patrząc na przygnębionego Brada, Alan miał

wrażenie, że młody informatyk właśnie przeżył jedno z największych rozczarowań w swoim życiu. Rachel i Cayley po chwili żałobnej bezczynności wróciły do swoich laptopów i wydawało się, że teraz, gdy w namiocie pojawiły się kanapy, jedzenie i mocny sygnał wi-fi, są zadowolone. Kiedy więc Brad leżał na podium między rzutnikami niczym pluszowy miś, z szeroko rozsuniętymi nogami, one z przyjemnością jadły na siedząco.

Alan wyszedł przed namiot, gdzie zaobserwował tego samego rodzaju aktywność jak wcześniej, tyle że w odwrotnej kolejności. Wozy dostawcze odjeżdżały, taksówki i furgonetki zniknęły, zwijano cały interes.

Wędrował po terenie osiedla, zwracając uwagę na różne udoskonalenia, do których doszło tego ranka. Wokół Czarnej Skrzynki biegła teraz szeroka fosa z kwiatów. Na promenadzie zaroilo się od palm – tego dnia posadzono chyba kolejnych sto. W oddali, wokół centrum informacji, widział fontanny wyrzucające jasne pióropusze wody w powietrze.

Stojąc u stóp schodów prowadzących do Czarnej Skrzynki, spostrzegł czarnego SUV-a wyłaniającego się z podziemnego garażu. Samochód zatrzymał się obok Alana i szyba w tylnych drzwiach opadła, ukazując uśmiechniętą twarz jasnowłosej kobiety. Była to Hanne.

- Emocji nie brakowało.
- Raczej nie.
- Przepraszam za fałszywy alarm.
- Nie musisz. Przyda się nam trening.
- Wracam do Dżuddy. Podwieźć cię?

Alan zastanawiał się nad propozycją. Nie było potrzeby, by tu został. Nie chciał jednak być sam na sam z Hanne.

- Powinienem być z zespołem – odparł.
- Dobrze się czujesz?

– Tak.

Uniosła brwi, co wskazywało, że wtrąciłaby się, gdyby dał jej podstawy sądzić, że tego chce. Nie powiedział nic więcej i Hanne zniknęła za szybą, pomachawszy mu na pożegnanie.

Zanim zdążył się poruszyć, usłyszał swoje imię.

– Alan!

Spojrzał w kierunku Czarnej Skrzynki. Jakiś znajomy mężczyzna zbiegał po schodach. Alan nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Jego twarz nabrała ostrości w samą porę. Mężczyzna wyciągnął do niego rękę.

– Mudżaddid. Oprowadzałem cię. Pamiętasz?

– Oczywiście. Miło cię znowu widzieć.

– Dzisiaj było sporo emocji, co?

Alan przyznał, że było to ekscytujące.

– Szukałem cię – powiedział Saudyjczyk. – Przez przypadek rozmawiałem z Karimem al-Ahmadem. Powiedział mi o waszej wycieczce po kanałach i o tym, jak zachwycił się osiedlem.

– Byłem pod wrażeniem. Nadal jestem.

– Doskonale. Cóż, jak wiesz, jestem odpowiedzialny za sprzedaż mieszkań i domów i mam nadzieję, że nie jestem zbyt bezczelny, przypuszczając, że możesz być zainteresowany kupnem domu w Economic City króla Abdullaha.

Zanim Alan zdążył zaprotestować, Mudżaddid przedstawił różne korzyści wynikające z posiadania drugiego domu – użył zwrotu *pied-à-terre* – w KAEC, szczególnie dla kogoś takiego jak on, kto przypuszczalnie spędzi tu trochę czasu, wdrażając plan budowy systemu informatycznego. Słyszając w słowach Mudżaddida niemal pewność i wyraźną sugestię, że pozycja Relianta w rywalizacji o sprzedaż usług informatycznych jest niepodważalna, Alan poczuł gwałtowny przypływ pewności siebie i zgodził się na obchód budynku z mieszkaniami.

– Zdawałeś sobie sprawę, że niektórzy z nas już tu mieszkają? – zapytał Mudżaddid.

Alan nie był tego świadom, ale to tłumaczyło widok twarzy, które od czasu pojawiały się w wysokich oknach.

Gdy weszli do budynku, Saudyjczyk zatrzymał się w rozległym holu. Sufit w kształcie szklanej rotundy znajdował się na wysokości dziewięciu metrów.

– Jest zarówno wspaniały, jak i przyjemny, nie sądzisz? – Hol wyglądał efekciarsko i odpychająco, ale Alan skinął ochoczo głową.

– Jak pewnie wiesz, jedno piętro budynku jest wykończone i wiele osób z personelu już tu mieszka. Chciałbym pokazać ci, jak żyją, żebyś się przekonał, jak jest tu luksusowo i wygodnie, nawet na tak wczesnym etapie bu...

Mudżaddid przerwał, wyjął telefon i spojrzał na ekran. Coś go zaniepokoiło, więc odebrał. Wywiązała się krótka rozmowa w języku arabskim; gdy skończył, uśmiechnął się przepaszająco.

– Zechciałbyś mi na moment wybaczyć? Otrzymałem z biura pilne wieści. Chcą, żebym natychmiast zjawił się na zebraniu. Niestety to nieuniknione.

– Nie ma problemu.

– Wrócę niebawem.

Alan musiał wyglądać na obrażonego i chyba był obrażony, ponieważ nie chciał być sam. Mudżaddid przedstawił nowy plan.

– Może sam pójdziesz na piąte piętro? Zadzwoń pod numer pięćset jeden. Dam znać właścicielowi, że przyjdiesz, a on pokaże ci mieszkanie. Właściwie to najlepsze wyjście. Mieszka tam od początku i opowie o tym wszystkim lepiej niż ja. Ma na imię Hasan.

Mudżaddid znowu przeprosił i wyszedł.

Alan przechadzał się po parterze, po pomieszczeniach przyszłej restauracji Wolfganga Pucka i przyszłej Pizzerii Uno. Posadzka była pokryta kurzem i piaskiem. Jedyнным meblem na całej kondygnacji okazał się olbrzymi stalowy stojak na gorące naczynia, tkwiący samotnie na środku niczym szkielet ruchomego drapacza chmur. Alan czuł się głupio, chodząc po pustym budynku, ale nie mógł być nieuprzejmy. Musiał go obejrzeć. Coś za coś: być może on kupi mieszkanie, a oni dadzą mu kontrakt. Wypadało je przynajmniej zobaczyć.

Doszedł do ściany budynku i zobaczył kolejną klatkę schodową, betonową i ciemną. Gdy dotarł na drugie piętro, usłyszał głosy, blisko, za drzwiami przeciwpożarowymi. Czyżby Mudzaddid miał na myśli tę kondygnację, gdy mówił o piątym piętrze?

Alan otworzył drzwi i wtedy wylał się przez nie głośny gwar. Znalazł się w dużym pomieszczeniu pełnym mężczyzn; niektórzy byli w bieliźnie, inni w czerwonych kombinezonach i wszyscy krzyczeli. Przypominało to zdjęcia więziennych siłowni przekształconych w sale sypialne. Pięćdziesiąt piętrowych prycz, a między nimi wiszące na sznurkach ubrania. Prycze były jednak puste – wszyscy mężczyźni zgromadzili się pośrodku sali, wrzeszcząc i się przepychając. Robotnicy, których Alan widywał wcześniej w pobliżu; Jusuf twierdził, że to Malezyjczycy, Pakistańczycy i Filipińczycy.

Alan chciał wyjść, i to szybko, ale nie mógł oderwać od nich oczu. Co tu się działo? Musiał przynajmniej zobaczyć, o co walczą. Pośrodku stało dwóch mężczyzn splecionych w uścisku. Jeden z nich trzymał coś w ręce. Alan nie widział tego przedmiotu – mieścił się w dłoni mężczyzny. Pieniądze? Coś bardzo małego. Kluczyki?

Mężczyzna stojący na skraju zgromadzenia zobaczył Alana i zwrócił na niego uwagę swojego sąsiada. Obaj patrzyli osłupiali. Jeden z nich dał mu znak, żeby podszedł; miał chyba nadzieję, że to przerwie bójkę, której oni nie umieli położyć kresu. Zrobił krok w ich kierunku, ale drugi mężczyzna próbował go przegonić szybkim machnięciem ręki. Alan się zatrzymał.

Teraz jego obecność zauważyło kilku innych mężczyzn, a po chwili wiedziała o niej cała reszta. Gwar ucichł, bójka ustała. Wszyscy znieruchomieli, cała dwudziestokilkuosobowa grupa, jakby myśleli, że Alan przyszedł ich skontrolować. Mężczyzna, który zachęcał go, by podszedł, jeszcze raz na niego machnął. Alan zrobił kolejny krok w ich stronę, ale nie zauważył głębokiego rowka w podłodze. Zahaczył o jego krawędź butem i stracił równowagę. Po chwili ją odzyskał, potem jednak pośliznął się na pokrytej piaskiem posadzce, co sprawiło, że zachwiał się w lewą stronę. Omal nie runął na ziemię, ale w porę wsparł się ręką o ścianę. A wszystko to na oczach dwudziestu kilku mężczyzn.

Miał teraz dwie możliwości. Mógł po prostu wycofać się bez słowa, zrobiwszy z siebie głupka, albo brnąć w to dalej, zważywszy, że nie wybuchnęli śmiechem i chyba nadal patrzyli na niego z respektem. Jego osobliwe zachowanie i jego ubranie wskazywały, że jest tutaj bardziej u siebie niż oni.

Podniósł dłoń i rzekł:

– Cześć.

Kilku mężczyzn skinęło głowami.

Zbliżając się do nich, poczuł woń robotników, zapach potu, papierosów i nieświeżych rzeczy.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał. – O co chodzi? – Usłyszał w swoim głosie ślady brytyjskiego akcentu. Skąd się to wzięło? Nikt się nie odezwał, ale wszyscy zwrócili na niego uwagę.

Alan wszedł między zebranych podniesiony na duchu ich wyraźną wiarą, że zostanie rozjemcą, i zażądał, by obaj zwaśnieni mężczyźni rozchylili zaciśnięte dłonie. Pierwszy miał puste ręce. Drugi trzymał w prawej dłoni telefon komórkowy. Był to starszy model, z klapką i porysowanym ekranem. Wyglądał tak, jakby ktoś go wyrzucił. I wtedy, rozpoznając aparat, Alan zdał sobie sprawę, że tak się właśnie stało. To musiała być komórka Cayley. To właśnie jej pozbyła się pierwszego dnia.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał mężczyznę, który trzymał telefon.

Mężczyzna milczał. Nie miał pojęcia, o czym Alan mówi.

– Czy ktoś tutaj mówi po angielsku?

Kilku mężczyzn zrozumiało, o co pyta, ale pokręcili głowami. Nikt nie znał ani słowa w jego języku. Sprawa wydawała się trudna. Nie był w stanie się dowiedzieć, jak aparat znalazł się w ich posiadaniu i kto ma do niego prawo. Nie był w stanie się dowiedzieć, dlaczego się bili, ani ocenić, kto ma rację, co zaszło między tymi dwoma lub między ludźmi, w imieniu których się bili. Może chodziło o jakąś rywalizację, waśń wszczętą wiele miesięcy lub wieków temu? W żaden sposób nie dałby rady się w tym rozeznać.

Liczył, że ma przy sobie ćwierćdolarówkę. Znalazł ją w kieszeni. Rzut monetą wydawał się równie uczciwym sposobem rozstrzygnięcia sporu, jak każdy inny.

– Dobra – rzekł. – Kto zgadnie, co wypadnie, dostanie telefon. W porządku?

Pokazał im awers i rewers monety. Wyglądało na to, że zrozumieli. Podrzucił ją, złapał, nakrył dłonią i wskazał na mężczyznę, który ostatni miał komórkę w ręce.

– Wybieraj – powiedział.

Mężczyzna milczał. Nie znali tej gry. Kiedy Alan zastanawiał się, jak im wyjaśnić jej zasady, drugi chwycił telefon i wypadł na klatkę schodową. Jego przeciwnik długo nie wiedział, co zrobić. Wydawało się, że oczekuje, że to Alan znajdzie rozwiązanie. Lecz Alan był bezradny i gdy tylko stało się to jasne, mężczyzna wybiegł i popędził schodami za tym pierwszym.

Atmosfera w pomieszczeniu szybko zrobiła się ponura. Reszta robotników otoczyła Alana, krzycząc do niego. Szarpano go za rękawy. Ktoś pchnął go z tyłu. Chcieli, żeby wyszedł. Cofnął się, przepaszając, niepewny, czy powinien odwrócić się i zwać. W końcu to zrobił i uciekł tak samo jak tamci dwaj. Wiedział jednak, że nie może biec w dół – mógł napotkać na schodach drugiego ze zwaśnionych, tego, który stracił telefon. Pobiegł w górę, słysząc kroki na schodach. Goniło go co najmniej kilku mężczyzn.

Znalazł się na trzecim piętrze. Otworzył drzwi i pobiegł po gołej podłodze. Były tam tylko słupy, żadnych ścian, żadnych szkieletów ich konstrukcji, niczego. Drzwi nie zamknęły się za nim. Usłyszał huk, gdy mężczyźni przez nie przeszli. Wciąż chcieli go dopaść. Czy naprawdę zrobią mu krzywdę? Miał na sobie białą koszulę i spodnie khaki! Nie odwrócił się. Zdołał dobiec na drugi koniec kondygnacji i dostać się na kolejną klatkę schodową. Pchnął drzwi i zaczął piąć się po schodach.

Musiał znaleźć mieszkanie numer 501. Teraz słyszał docierający z dołu odgłos podążających za nim kroków. Pierś falowała mu ciężkim oddechem. Na piątym piętrze pchnął drzwi przeciwpożarowe i oparł się o nie, żeby odpocząć i zablokować drogę swoim prześladowcom. Gdy uniósł wzrok, stwierdził, że dokonał skoku w czasie. Miał wrażenie, że jest w zupełnie innym budynku. To piętro było wykończone, nowoczesne, zadbane tu o każdy detal.

Spodziewał się, że biegnący za nim mężczyźni wpadną do środka, ale za drzwiami panowała cisza. Czyżby wystraszył ich widok wykończonej kondygnacji? Czyżby przestali go ścigać? Przypuszczenie wydawało się dość sensowne.

Pobiegł dalej długim korytarzem oświetlonym jasno kolumnadą żyrandoli. Sufit miał ciemnoniebieski kolor morza podczas letniego sztormu, wzór na tapecie tworzył symfonię słonecznikowych i ochrowych pasków. Kremowa wykładzina była puszysta i miała falistą fakturę, jakby pomarszczyła ją delikatna bryza. Do tego kontakty, gniazdka, wypolerowane tekowe stoliki, gaśnice, wszystkie oznaki cywilizowanego życia.

Nie dowierzając własnym oczom, oszołomiony Alan znalazł mieszkanie numer 501 i zapukał do drzwi. Otworzyły się natychmiast, jakby gospodarz, mężczyzna w garniturze i czymś, co wyglądało na apaszkę, cały dzień trzymał dłoń na klamce.

– Pan Clay, jak przypuszczam – powiedział. Był mniej więcej w wieku Alana, gładko ogolony, nosił okulary i chytrze się uśmiechał.

– Hasan?

– Miło mi pana poznać.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Już się bałem, że się pan zgubił.

– Chyba tak się właśnie stało.

– Niech pan wejdzie.

Mieszkanie Hasana było ogromne, przestronne i skąpane w bursztynowym świetle. Zajmowało całą szerokość budynku, od jednego panoramicznego okna do drugiego. Miało wyszukany wystrój: na podłogach lśniące twarde drewno, dywany na zamówienie, niskie kanapy i stoliki z połowy dwudziestego wieku, tu i ówdzie jakiś staroć dla ozdoby –

wielkie złoczone lustro z biegnącym przez środek pęknięciem w kształcie błyskawicy. Nad gzymsem kominka cztery obrazy artysty, którym był albo sam Degas, albo ktoś, kto rysował tancerki dokładnie tak jak on. Z każdego kąta dobiegała muzyka klasyczna.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Hasan. – Wygląda pan tak, jakby właśnie przebiegł kilka kilometrów.

Alan nie słyszał żadnych odgłosów z korytarza i był pewny, że bez względu na to, kto go ścigał, tutaj nie przyjdzie. Był bezpieczny, poza zasięgiem tamtych. W zupełnie innym świecie.

– Nic mi nie jest – odparł. – To tylko te schody. Nie jestem w formie.

Alan ruszył ku wychodzącemu na morze oknu i już po chwili przez nie patrzył. Tuż poniżej widział namiot, który wyglądał na znacznie mniejszy, niż powinien z wysokości zaledwie piątej kondygnacji – przynajmniej tak mu się zdawało. Za namiotem rozciągało się morze; szybko dostrzegł miejsce nad wodą, w którym bywał.

– Herbaty?

Alan odwrócił się, gotów odpowiedzieć na propozycję.

Hasan uniósł brew i dodał:

– Czy czegoś bardziej konkretnego?

Alan uśmiechnął się, myśląc, że gospodarz żartuje, ale Hasan stał przed dobrze zaopatrzonym barkiem ze złoczonego metalu i szkła, z dłonią na kryształowej karafce.

– Bardzo proszę.

Alan w ogóle nie rozumiał tego kraju. Nie zauważył, żeby choć jeden przepis był tu konsekwentnie przestrzegany. Niedawno znalazł się wśród armii ubogich malezyjskich robotników, którzy najwyraźniej mieszkali na dziko w niewykończonym budynku, a teraz znajdował się w supereleganckim apartamencie. I pił z wpływowym muzułmaninem.

Hasan podał mu trunek, który wyglądał na szkocką, i ruchem dłoni wskazał miejsce na kanapie. Usiedli na przeciwległych końcach obszytego śnieżnobiałą skórą siedziska w kształcie podkowy.

– Nooooo – rzekł Hasan, rozciągając to słowo, aż zaczęło oznaczać dowolną liczbę rzeczy, bez wyjątku podejrzanych. Założył lewą nogę na prawą w niemalże elegancki sposób. Było w nim coś lekko wytrącającego z równowagi i Alan w końcu zrozumiał co – tik nerwowy lub raczej dwa tiki równocześnie, które zmieniały twarz mężczyzny. Jego lewe oko mrugało, a usta się wykrzywiały, jakby w wyrazie dezaprobaty wobec tiku oka i powodowanego przezeń rozproszenia uwagi. I znowu: mrugnięcie, skrzywienie.

– Widział pan resztę budynku?

Alan opowiedział mu o tym, jak natrafił na mężczyznę na drugim piętrze. Nie wspomniał ani słowem o bójce, zważywszy na to, że robotnicy, traktowani zapewne jako siła robocza, którą można rozporządzać według uznania, mogli zostać zwolnieni grupowo i szybko zastąpieni innymi.

– Tak mi przykro. Jak pan trafił do tej części budynku?

– Po prostu się w niej znalazłem.

– Co pan widział?

– Jak się tam snują.

– Zaszokowała pana ich obecność?

– Niezupełnie. Nic mnie tutaj nie zaskakuje.

Hasan zachichotał.

– A to dobre. Naprawdę dobre. Resztę zakwaterowaliśmy poza budowę. Pewnie widział pan już część przyczep. Jeszcze trochę?

Dolał Alanowi szkockiej. Pierwsza porcja zniknęła ze szklanki szybciej, niż powinna.

– Jak interesy? – zapytał Alan, uważając to pytanie za retoryczne. Ten człowiek sprzedawał lokale i mieszkania w KAEC. Jego odpowiedź byłaby

pełna przesady.

– Szczerze? Jak po grudzie.

Hasan wyjaśnił, że trudno mu podpisać z kimkolwiek umowę, a te nieliczne sieci, które na początku, przed laty, kupiły lokale, zdążyły się już wycofać. Obawiano się o rentowność Emaaru, firmy deweloperskiej. Martwiono się, że we wszystko zaangażowana jest firma wykonawcza należąca do rodziny bin Ladenów. Przede wszystkim istniała zaś obawa, że miasto umrze wraz z królem Abdullahem, że bez jego reformistycznego ducha, bez jego aprobaty wobec małych postępowych kroków nastąpi ogólny regres i wszystkie obiecane w KAEC swobody pogrzebie piach.

– Ale na parterze macie restauracje, które zaraz zostaną otwarte.

– To niestety ściema. Nie sprzedaliśmy tych lokali. Jeszcze jednego? – Alan wypił już drugą szklaneczkę.

Hasan wrócił do barku i przygotował drinki.

– Alanie, tutaj można ubić świetny interes. Gdybyś zdecydował się na jedno z tych mieszkań, zapłaciłbyś ułamek tego, co ludzie zapłacą za rok lub dwa. Mógłbyś je opchnąć z dziesięciokrotnym przebicciem.

Teraz Alan przypomniał sobie prognozy Jusufa: że zarówno miasto, jak i Emaar upadną, że to się nie uda. Że cały ten pomysł umrze wraz z Abdullahem.

Hasan przyniósł mu drinka.

– Dziękuję, przyjacielu – rzekł Alan.

Saudyjczyk uśmiechnął się i wyznał:

– Bardzo się cieszę, że mam się z kim napić.

Alan zapytał o króla, o to, dlaczego nie wyłożył po prostu swoich pieniędzy, żeby wybudować to miasto, jeszcze za życia zobaczyć je jako dzieło skończone lub przynajmniej nadające się do zamieszkania.

– Mamy w języku arabskim takie powiedzenie: „Nie da się klaskać jedną dłonią”. Nie możemy stworzyć tego miasta sami. Potrzebujemy partnerów.

– Daj spokój – odparł Alan. – Abdullah mógłby zbudować to miasto w pięć lat, gdyby chciał. Po co ciągnąć to przez dwadzieścia?

Hasan siedział i długo głowił się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – przyznał w końcu.

Tak więc dzielili się swoim rozczarowaniem, że są skazani na łaskę czynników – zbyt wielu, by je wyliczyć – na które nie mają wpływu. Hasan mieszkał w KAEC od roku, miał być tutaj pionierem i gościł dziesiątki ludzi takich jak Alan, by pomóc im wyobrazić sobie, że też się tu osiedlą.

– Kiedyś można będzie tu przyjemnie żyć – zauważył Hasan. – Boję się jednak, że nie ma woli, by dokończyć to wszystko.

Ponieważ Alanowi brakowało woli, by wyjść lub zrobić coś innego, został z Hasanem; przez wiele godzin grał z nim w szachy i popijał szkocką. Gdy wreszcie wyszedł, był bliski upojenia i czuł się znakomicie. Znalazł się na klatce schodowej, zamierzał iść na dół, ale zamiast tego ruszył w górę. Minął zamknięte drzwi, ale schody biegły dalej, aż w końcu uświadomił sobie, że otwiera drzwi na dach budynku. Widok był olśniewający: plaża, budynki, kanały i pustynia skąpane w delikatnym złotym świetle. Musiał już iść, ale nie potrafił się zmusić do zrobienia najmniejszego ruchu.

XXVI

Nie wiedzieć czemu, Alan spał dobrze, a gdy się obudził, lampka na hotelowym telefonie znowu mrugała na czerwono. Wysłuchał wiadomości nagranej przez Jusufa. Młody Saudyjczyk powiedział, że wyjeżdża na jakiś czas i chce się pożegnać. Będzie w hotelu rano, chyba że usłyszy od Alana inną propozycję. Alan poczuł wielką ulgę. Nocą ogarnął go lęk, przeczucie, że jego znajomemu coś się stało. Osobliwy problem wynikający ze stałej możliwości kontaktu: jeśli milczenie trwa dłużej niż kilka godzin, człowieka zaczynają ogarniać apokaliptyczne myśli.

Alan ubrał się i zjechał przez atrium do holu.

– Jesteś.

– Jestem. – Jusuf nie wyglądał zbyt dobrze.

– W porządku?

– Sam nie wiem. Jestem trochę wkurzony.

– Mąż.

– Taak, on i jego pachołki. Zjawili się pod moim domem.

– Myślałem, że jesteś u kuzyna.

– Byłem, ale zrobił się nerwowy. Mieszka z babcią i nie chciał kłopotów, więc wróciłem do domu. Przyjechali godzinę później.

– I co zrobili?

– Może na chwilę usiądziemy?

Przyszedł kelner i Jusuf zamówił espresso.

– Wczoraj wieczorem oglądałem mecz Barcelony z Realem...
Widziałeś?

– Zlituj się!

– Racja. Usłyszałem na zewnątrz jakiś hałas. Wstałem i zobaczyłem przy oknie trzech mężczyzn. Omal się nie zesrałem.

– I co zrobili?

– Po prostu tam stali. To wszystko. Nie musieli robić nic więcej. To znaczy, że wiedzą, gdzie mieszkam, i nie boją się tam przyjść, stanąć kilkanaście centymetrów od okna mojego domu i mi się przyglądać. Muszę wyjechać.

– Tak mi przykro.

– Taak, cóż.

– Dokąd pojedziesz?

– Do domu mojego ojca, w górach. Tam nie dotrą. A ludzie w wiosce o mnie zadbają. Mamy broń i całą resztę.

Alan wyobraził sobie pojedynek na Dzikim Zachodzie. Sprawa intrygowała go w niewytłumaczalny sposób.

– Nie, nie – zaoponował. – Zostań tutaj. Wynajmę ci pokój. Mają tu ochronę. Będziesz bezpieczny. Znikniesz im z oczu.

Gdy tylko o tym wspomniał, zaczęło wyglądać to bardzo realnie. Jusuf zbył go machnięciem ręki.

– Nie, nie. Chcę być w domu. Jest koniec tygodnia. Dobra pora na wyjazd.

– Jak długo cię nie będzie?

Alan przestraszył się nagle, że już nigdy go nie zobaczy.

– Nie wiem. Muszę przez kilka dni poczuć się bezpiecznie. Po prostu muszę znaleźć się w miejscu, skąd wszystko będzie dobrze widać. Ocenię, jak to wygląda. Właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać. Być może spędzę tam trochę czasu i chciałem się pożegnać na wypadek, gdybyśmy mieli się więcej nie zobaczyć.

Twarz Jusufa nie zdradzała żadnych szczególnych emocji. Nie należał do uczuciowych osób. Alan miał jednak wrażenie, że go potrzebuje, że to jedyny zdrowy na umyśle człowiek w promieniu tysiąca pięciuset kilometrów.

Dziesięć minut później Alan siedział w samochodzie młodego Saudyjczyka, jego worek marynarski leżał w bagażniku i razem zmierzali w stronę gór. Przez kilka minut jechali autostradą, Alan czuł euforię. Jusuf zjechał nagle z drogi i wyjaśnił:

- Musimy wstąpić do sklepu mojego taty. Potrzebuję kluczy do domu i zgody, by się tam zatrzymać.
- Nie masz własnego klucza? – zdziwił się Alan.
- Właśnie o to mi chodzi. Traktuje mnie jak nastolatka.

Wjeżdżali spiralnym podjazdem pięciopiętrowego parkingu w środku Dżuddy.

- To stare miasto?

Wszystko wyglądało na zupełnie nowe.

- Stare miasto to mniej więcej trzy kwartały przy tym parkingu – wyjaśnił Jusuf. – Resztę wyburzono w latach siedemdziesiątych.

Parking sąsiadował z galerią handlową. Alan i Jusuf zjechali ruchomymi schodami obok kilku sklepów z walizkami i biżuterią, mijając grupy młodych kobiet w abajach i z błyszczącymi torebkami w ręce oraz grupki patrzących na nie pożądliwie młodych mężczyzn.

Kiedy zjechali na parter, Jusuf wyprowadził Alana z galerii; cofnęli się przy okazji o kilka stuleci. Ta część starego miasta stanowiła ciąg połączonych zaułków, gdzie miejscowi kupcy urządzili niewielkie sklepy. Sprzedawali w nich orzechy, słodycze, sprzęt elektroniczny i koszulki piłkarskie, ale najpopularniejszym towarem była wyeksponowana

w sklepowych witrynach damska bielizna. Alan uniósł brwi i spojrzał na Jusufa, a ten wzruszył ramionami, jakby chciał rzec: „Co, właśnie odkryłeś, że w naszym królestwie zdarzają się sprzeczności?”.

– Oto on – rzekł Jusuf i zatrzymał się jakieś sześć metrów od całkowicie przeszklonego narożnego sklepu z widocznymi wewnątrz setkami sandałów. Za ladą stało dwóch mężczyzn. Jeden był mniej więcej w wieku Alana i wyglądał na ojca Jusufa. Drugi, o wiele starszy i zgarbiony, wspierał się o ladę całym ciężarem, jakby stał tylko dzięki niej. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat.

– Który jest twoim...? – zaczął Alan.

– Niespodzianka, to ten staruszek – odparł Jusuf z ponurą miną. – Przedstawię cię.

Kiedy podchodzili, starzec zmierzył Jusufa wzrokiem. Zmrużył oczy i zagryzł wargi. Jusuf kaszlnął w ramię i zagłuszył rzucone przy okazji słowo *d u p e k*. Weszli do środka.

– *Salaam* – rzucił pogodnie Jusuf. Ojciec, syn i pracownik sklepiku wymienili uściski dłoni i kilka słów po arabsku, a po tym, co Alan uznał za wprowadzenie, ojciec Jusufa zerknął na niego przelotnie. Alan wyciągnął rękę i mężczyzna poklepał ją niczym łapę łaszącego się psa. Rozmawiał z synem niespełna minutę, po czym się odwrócił i wszedł na zaplecze sklepu. Jego pomocnik ruszył za nim.

– No i go poznałeś. Cóż za wspaniały człowiek – rzekł Jusuf.

Alan nie wiedział, co powiedzieć.

– Wyjaśniłem mu, że jadę w góry. Powiedział, że powiadomi dozorcę. Chyba nie potrzebuję klucza, więc możemy ruszać.

Skierowali się do wyjścia. Jusuf przystanął w progu.

– Zaczekaj, chcesz sandały? Powinieneś mieć jedną parę.

– Nie, nie.

– Tak, Alanie. Jaki nosisz numer?

Sandały wypełniały cały sklep, od podłogi po sufit. Wszystkie wykonano ze skóry, misternie ozdobiono i obszyto. Były robione ręcznie i dość toporne. Wybrali jedną parę, Jusuf zostawił pieniądze na ladzie i znaleźli się z powrotem w zaułku.

– Poznałeś więc mojego staruszka – stwierdził Jusuf, zapalając papierosa.
– Ogólnie rzecz biorąc, nie jest zbyt życzliwy. I naprawdę nie podoba mu się to, co robię. A tym bardziej mu nie w smak, gdy wożę Amerykanów.

Wrócili na parking.

– Przecież studiujesz. Co masz jego zdaniem robić?

– Chce, żebym zajmował się sklepem, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć. Pracowałem tam przez jakiś czas, ale to było straszne. Straciliśmy dla siebie szacunek. Ojciec jest okropnym szefem. To zwykły gbur. I uważał mnie za obiboka. Więc odszedłem. Nie powinienem przyprowadzać gości do sklepu.

– Muszę powiedzieć... – zaczął Alan i ugryzł się w język. Miał właśnie zgodzić się z Jusufem, ale zdał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Odkąd zaczął bronić Ruby, wziął na siebie rolę pośrednika między wszystkimi dziećmi a ich zadziwiającymi rodzicami... Czy o to chodziło?

Martwił się o Jusufa. Niepokoił się o jego życie, martwił się o jego ojca. Jusuf uważał, że obawy Alana są trywialne, ponieważ ludziom w jego wieku wydaje się, że wszystkie problemy są albo do rozwiązania, albo nie warto ich rozwiązywać.

– Muszę powiedzieć – zaczął znowu Alan – że szanuję to, czego dokonał. Twój ojciec szyje buty i je sprzedaje. To dobre i uczciwe zajęcie.

Jusuf zaśmiał się drwiąco.

– Mój ojciec nie szyje tych butów. Kupuje je. Robią je inni. On tylko podnosi ich cenę.

– Ale to i tak sztuka – zauważył Alan i pomyślał, że Joe Trivole nazywał to tańcem. – Jestem pewien, że gdyby chciał, potrafiłby je robić.

– Mylisz się – odparł Jusuf. – Po prostu kupuje je hurtem. Robi się je w Jemenie. W życiu nie uszył buta.

Wystarczyło kilka minut na drodze i Jusuf znowu poweselał. Wydawało się, że nie może się doczekać, by pokazać Alanowi tę twierdzę, rozległą, ogrodzony dom wybudowany przez jego ojca. Powiedział, że ojciec zniwelował wierzchołek góry. Mówił to tyle razy, że Alan pogubił się w rachubach. To, że ojciec miał dość siły, wpływów, bogactwa lub wyobraźni, żeby zniwelować szczyt góry, było dla syna, choć stale z nim walczył, głównym powodem do dumy.

Jechali przez miasto na południe, od nowoczesnego centrum po przedmieścia składające się z bloków w kolorze piasku i prowadzonych przez Somalijszczyków i Nigeryjszczyków sklepów motoryzacyjnych, gdy ktoś zadzwonił do Jusufa. Saudyjszczyk się roześmiał i zamienił ze swoim rozmówcą kilka słów po arabsku, po czym nagle zawrócił.

– Pojedzie z nami Salem – powiedział, unosząc brwi. Wyjaśnił, że Salem, jeden z jego najserdeczniejszych przyjaciół, pracuje w dziale marketingu amerykańskiej fabryki pieluch. – Ale to hipis, nie jakiś twardogłowy sprzedawca – zastrzegł, po czym przestraszył się chyba, że obraził Alana. Przeprosił go, ale Alan wcale nie poczuł się obrażony. Słowo *s p r z e d a w c a* nie mogło go urazić w żadnym kontekście.

Zaparkowali w uliczce między kilkoma niewielkimi budynkami mieszkalnymi. Jusuf zatrąbił i dwudziestokilkuletni mężczyzna zbiegł po schodach, niosąc futerał z gitarą. Usiadł na tylnym fotelu, uściskał Alanowi dłoń i pojechali.

Ze swoim wyglądem Salem świetnie pasowałby do Venice Beach lub Amsterdamu. Miał długie włosy z pasemkami siwizny i szpakowatą kozią bródkę, jego duże oczy patrzyły spod eleganckich okularów. Nosił koszulę w tureckie wzory i džinsy. Jego angielszczyzna była jeszcze bardziej

amerykańska niż angielski Jusufa, choć Alan myślał, że w tym kraju to niemożliwe.

Salem przez pierwsze dziesięć minut jazdy siedział wsparty rękami na przednich fotelach, z głową między Alanem i Jusufem, opowiadając o tym, że niedawno spotkało go coś bardzo dziwnego – w budynku, w którym mieszkał, spotkał niewolnika.

– Opowiedz o tym, jak płakał – zaproponował Jusuf.

Salem opowiedział, że kilka dni temu zobaczył, że na klatce schodowej siedzi mężczyzna w średnim wieku. Wyminął go i wtedy zauważył, że mężczyzna jest zrozpaczony i płacze żałością.

– Zapytałem, co się stało. Powiedział, że jest niewolnikiem i że jego właściciele właśnie go uwolnili. Nie wiedział jednak, co ze sobą zrobić. Ci ludzie byli jego rodziną.

– Mieszkali w twoim budynku?

– Piętro niżej.

Salem mieszkał tam od roku i widywał tę pięcioosobową rodzinę, gdy wchodziła i wychodziła, a od czasu do czasu spotykał też tego mężczyznę. Ale dopiero wtedy dowiedział się, że nie jest to przyjaciel ani stryj, lecz niewolnik przywieziony przez nich z Malawi.

– Muszę znaleźć sobie nowe lokum – dodał Salem.

– Nie ty jeden – odparł Jusuf. Zaczęli rozmawiać o wspólnym zamieszkaniu w innej części miasta lub innym kraju. Salem miał na razie dość Królestwa Arabii Saudyjskiej; nie miało mu nic do zaoferowania.

– Można tu skonać z nudów – zauważył.

Alan dochodził do siebie po opowieści o niewolniku, gdy Jusuf i Salem zaczęli rozmowę o depresji i samobójstwach w Królestwie.

– Prawdopodobnie jest lepiej niż u was, Alanie – rzekł Salem. – Ale zdziwiłbyś się. Połowa kobiet zażywa prozac. A mężczyźni tacy jak my

dają upust energii w niebezpiecznych miejscach.

Mówił o pewnej lekkomyślności w obliczu beznadziejnego braku życiowych szans, o tym, jak niewielki jest strach przed śmiercią. O wyścigach samochodowych urządzanych na środku pustyni, gdzie młodzi zamożni mężczyźni ścigają się w swoich bmw i ferrari; niektórzy doznają obrażeń lub giną i nie mówi się o tym lub nic na ten temat nie wie. Jusuf i Salem zaczęli szybko rozmawiać po arabsku, zastanawiając się, czy mogliby go zabrać na jakiś wyścig.

– Może weźmiemy cię na coś takiego w drodze powrotnej – oznajmił Salem i dodał: – No i może na koncert.

Koncerty także organizowano na pustyni. Salem był muzykiem i filmowcem oraz poetą, ale głównie autorem i wykonawcą piosenek. Nie mógł jednak wykonywać swojej muzyki jawnie, na żywo, chyba że na tajnych występach lub na koncertach na pustyni. W Rijadzie było o wiele gorzej, ale nawet w Dżuddzie życie muzyka stanowiło ciągłą walkę. I to życie, które pierwotnie miało pewien romantyczny urok, straciło swój blask. Salem zamierzał teraz przenieść się na jakąś karaibską wyspę, by grać w jakimś barze.

Zostawili miasto za sobą i niebawem droga zaczęła wieść przez pustynię, płaską i czerwoną, z pojawiającymi się od czasu do czasu przydrożnymi parkingami oraz skalnymi wychodniami. Nad szeroką i szybką szosą wisiało nieruchome słońce; Alan poczuł zmęczenie. Zdrzemnął się z głową ułożoną na pasie, a głosy Jusufa i Salema, rozmawiających bardzo poważnie po arabsku, kołysały go do snu.

Obudził go głuchy trzask zamykanych drzwi. Samochód stał. Znajdowali się na rozległym parkingu otoczonym sklepami i restauracjami. Jusuf zniknął, a Salem bawił się telefonem. Alan spostrzegł spod przymrużonych powiek, że Jusuf biegnie do sklepu spożywczego.

Usiadł prosto i starł ślinę z policzka.

– Jak długo spałem? – zapytał.

Salem nie odrywał wzroku od wyświetlacza komórki.

– Chyba z godzinę. Chrapałeś. To urocze.

Jakaś mniej więcej siedmioletnia dziewczynka w burce podeszła do okna po stronie Salema. Ten natychmiast przycisnął guzik blokady drzwi. Mała została przed oknem i stukając w szybę, pocierała kciukiem drugiej dłoni o palec wskazujący.

Teraz Alan zauważył, że dziesiątki kobiet i młodych dziewcząt, wszystkie w czarnych burkach, snują się od auta do auta.

Alan zaczął opuszczać szybę w swoim oknie. Ujrawszy zyczliwszą twarz, dziewczynka z wyciągniętymi rękami pośpiesznie przeniosła się na jego stronę samochodu.

– Nie rób tego! – zawołał Salem. – Zamknij okno!

Alan posłuchał i przesuwająca się w górę szyba omal nie przytrzasnęła dziewczynce małych palców. Stukała teraz w nią bardziej niecierpliwie, z przechyloną prosząco głową, gorączkowo poruszając ustami. Alan uśmiechnął się do niej i pokazał puste dłonie. Wydawało się, że nie zrozumiała tego gestu lub się nim nie przejęła, stukała bowiem dalej.

Salem przyciągnął uwagę małej i skierował wyprostowany palec wskazujący w górę. A dziewczynka po prostu odwróciła się i odeszła. Podziało to niczym jakaś magiczna sztuczka.

– Co znaczy taki gest? – zapytał Alan, naśladując Saudyjczyka.

Salem skierował spojrzenie z powrotem na ekran telefonu i odparł:

– To znaczy P a n B ó g d o p o m o ż e.

– I to działa?

– Owszem. Kończy dyskusję.

Kiedy następna dziewczynka z żółtymi oczami i szklanym wzrokiem podeszła do ich samochodu, Alan wskazał na niebo. Mała Saudyjka

zniknęła.

– Nie przejmuj się – rzekł Salem. – One świetnie sobie radzą.

Alan rozejrzył się po parkingu, w końcu dostrzegając to, co powinno być oczywiste: różnorodną masę ludzi podróżujących równocześnie w tym samym kierunku. Teraz zobaczył to wyraźnie. Mężczyzna w mercedesie tuż przed nimi, odziany tylko w białe prześcieradła i sandały. Rodziny zaopatrujące się przed podróżą.

– To jakaś pielgrzymka? – zapytał.

Salem znowu przeglądał wiadomości w swoim telefonie, czemu towarzyszyły dźwięki przypominające trzaski w liczniku Geigera-Müllera.

– Nie ta oficjalna, hadż, która w tym roku odbędzie się w listopadzie, ale umra, pielgrzymka mniejsza, dla osób, które nie mogą przybyć do Mekki w dwunastym miesiącu kalendarza muzułmańskiego.

Jusuf wyszedł ze sklepu, pchając wózek pełen zakupów. Salem odblokował drzwi i jego przyjaciel załadował rzeczy do bagażnika. Po kilku sekundach ponownie byli w drodze; Alan znowu drzemał. Jazda czarną, bardzo gładką szosą w ciepłe bardzo odległego słońca sprawiała, że zrobił się senny. Obudziła go gorąca dyskusja Jusufa z Salemem.

– Co się dzieje?

Jusuf odwrócił się do niego i wskazał na zbliżający się drogowskaz nad szosą. Autostrada się rozgałęziała, trzy główne pasy były dostępne tylko dla muzułmanów. Czerwona tablica wskazywała omijającą Mekkę okrężną drogę dla niewiernych. Jusuf zamierzał przewieźć Alana główną trasą.

– Możemy cię odziać w thawb. Przejechałbyś.

– Nie warto – rzekł Salem. Nie był zadowolony z tego pomysłu. – Objazd potrwa zaledwie dwadzieścia minut dłużej. Proszę.

Jusuf znowu odwrócił się do Alana.

– Chcesz, żebym cię przemycił?

Alan nie miał na to ochoty. Nie chciał łamać takich przepisów. Nadal jednak jechali lewym pasem, a usytuowany trzy pasy dalej zjazd dla niemuzułmanów szybko się zbliżał.

Strumień arabskich słów z ust Salema. Jusuf nie odpowiedział. Nagle zapanował totalny chaos. Saleem rzucił się w stronę kierownicy i jego tułów znalazł się nad przednim fotelem. Alan został przyciśnięty do drzwi. Jusuf odtrącił ręce przyjaciela i uderzył go otwartą dłońią w twarz. Słyszając głośne plaśnięcie, roześmiał się zachwycony. Saleem wycofał się na swoje miejsce – był wyraźnie przybity.

I wtedy Jusuf jednym płynnym ruchem kierownicy wprowadził samochód w poślizg i po chwili znalazł się na autostradzie dla niewiernych.

Patrząc w lusterko wsteczne, skierował na Salema spojrzenie pełne rozczarowania i rzekł:

– Stary, tylko żartowałem. Ż a r t o w a ł e m. Wyluzuj.

W Salemie wciąż wszystko się gotowało.

– Sam wyluzuj.

Jusuf uśmiechnął się szeroko.

– Nie, to ty wyluzuj.

Kiedy pięli się górkami serpentynami, zaczął szybko zapadać zmrok.

– Pasma Sarawat – wyjaśnił Saleem. – Poczekaj, aż dotrzemy na szczyt. Zobacysz pawiany. Lubisz pawiany?

Niebawem znaleźli się na górze. Jusuf zatrzymał się na parkingu na wysokości około tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza, skąd na odległość stu pięćdziesięciu kilometrów widać było pustynię. W punkcie widokowym wszędzie siedziały, jadły i przechadzały się oswojone jak koty domowe pawiany.

Przemknęli przez At-Ta'if, kolorowe i wietrzne miasto na szczycie góry, po czym znaleźli się na dzikim terenie poza jego granicami. W miarę jak

zbliżali się do miasteczka, w którym Jusuf przyszedł na świat, droga pustoszała. Gdy tam dotarli, Alan drzemał, a Salem smacznie spał.

Jusuf zatrzymał raptownie samochód i zawołał:

– Pobudka, łajzy!

Salem jęknął i uderzył pięścią w oparcie fotela kierowcy.

Rozciągający się przed nimi ząbkowaty łańcuch górski okalał niewielkie skupisko światła wciśnięte w niewielką dolinę. Osada mogła liczyć co najwyżej kilkadziesiąt domów, kilkaset osób.

– To całe miasto – wyjaśnił Jusuf. – Obejrzymy je jutro.

Skręcili na jakiś podjazd i przez kilkadziesiąt metrów pięli się po zboczu góry, dwukrotnie zmieniając kierunek jazdy, aż dotarli do ogromnej budowli, zupełnie nieprzypominającej domu.

– Jesteśmy na miejscu? – upewnił się Alan.

– Tak – odparł Jusuf. – W domu wybudowanym z pieniędzy ze sprzedaży sandałów.

Budowla wyglądała raczej jak hotel albo jakiś budynek komunalny. Była dwupiętrową konstrukcją z suszonej na słońcu cegły i szkła. Zaparkowali na rozległej działce, na tyle dużej, by pomieścić dwadzieścia pojazdów. W skład posiadłości wchodził również mały meczet usytuowany poniżej na zboczu.

– Nie miałem pojęcia... – rzekł Salem. On też był tutaj pierwszy raz.

Gdy on i Alan zachwycali się tym wszystkim, z domu wyszedł jakiś mężczyzna i podbiegł do nich. Był niski, niższy od Jusufa i bardziej korpulentny. Miał okrągłą twarz oraz szeroki, bezzębny uśmiech. Podał Jusufowi rękę i potrząsnął jego dłonią. Został przedstawiony Salemowi i także uściśnął mu dłoń. Kiedy jednak Alan wyciągnął rękę na powitanie, można było odnieść wrażenie, że Saudyjczyk musi nauczyć się tego gestu na nowo. Uściśnął ją, a potem powoli cofnął dłoń, jakby wyjmował ją z paszczy zwierzęcia, którego nie chciał prowokować.

– To Hamza, nasz dozorca – wyjaśnił Jusuf. – Pracuje dla nas od dwudziestu lat. Ale nie uprzedziłem ojca, że tu przyjedziesz.

– Dlaczego? – zdziwił się Alan.

– Bez urazy, ale ten dom to jego duma. Nie chciałby, żebyś go skalał swoją obecnością. Tylko żartuję.

Ale nie żartowałem.

Hamza się odwrócił, zaprowadził ich do wejścia i otworzył drzwi.

Jusuf wszedł do środka i odwrócił się za progiem.

– Gotowi? To ten dom – oznajmił Jusuf, przeobrażając się szybko z pogardzanego nastolatka w dumnego syna.

Wewnątrz budynek bardzo przypominał szereg pustych, wyłożonych wykładziną dywanową sal balowych, z których każda była wystarczająco duża, by pomieścić ponad sto osób. W każdej sali kilka ogromnych żyrandoli oświetlało rozległą przestrzeń pozbawioną jakichkolwiek mebli z wyjątkiem ustawionych pod ścianami ław. Wydawało się, że cały dom miał służyć wyłącznie podejmowaniu gości.

– Ojciec zadbał, by zmieściło się tu całe miasteczko. Odbywa się tu każde miejscowe wesele. Muszę cię kiedyś przywieźć na jedno z nich – rzekł Jusuf do Alana. – Spodobałoby ci się. Mógłbyś nosić weselny strój, dostałbyś specjalny nóż i całą resztę.

Alan próbował dostrzec budowniczego tego domu w opryskliwym i zgorzkniałym mężczyźnie, którego wcześniej poznał. To, że ten człowiek zbudował coś takiego, wydawało się niemożliwe. Budynek był owocem wspaniałej wyobraźni i szczodrości, ojciec Jusufa nie sprawiał zaś wrażenia, by odznaczał się jednym z tych walorów. Weszli po schodach na drugie piętro. Ich odlane z betonu stopnie były na tym odcinku nierówne, jakby wykonawca przestał zwracać szczególną uwagę na jakość robót.

– To piętro wykończyli trochę szybciej – wyjaśnił Jusuf z uśmiechem. – Ale widok to rekompensuje.

Wyszli na szeroki balkon. Powietrze było czyste i rześkie, a panorama wspaniała. Alan, Jusuf, Salem i Hamza stali i patrzyli na dolinę.

– Och, muszę wam coś pokazać – powiedział Jusuf, zbiegając po schodach.

Wprowadził Alana i Salema do mniejszego pomieszczenia, w którym znajdował się jedynie olbrzymi sejf na jednej ścianie i sterta cienkich materacy opartych o drugą.

– Gdzieś tutaj – rzekł, chwytając za materace i rzucając je na podłogę. Alan czuł się tak jak wtedy, gdy dzieci przyjaciół prowadziły go do swoich pokoi, żeby mu pokazać wszystkie swoje zabawki, ekscytując się coraz bardziej z każdym wypowiedzianym przez niego słowem podziwu. Jusuf przewrócił siedem lub osiem materacy, zanim znalazł to, czego szukał: ukryty skład karabinów. Był ich co najmniej tuzin, niektóre nowe, inne wiekowe i wykonane ręcznie, z drewnianymi kolbami i starannie rzeźbionymi detalami.

– Ten należał do mojego dziadka – wyjaśnił, trzymając oburącz stary karabin. Wręczył go Alanowi, jakby podawał mu noworodka. Broń była ciężka, zrobiona z litego twardego drewna. – Ten jest nowszy. – Jusuf zabrał Alanowi pierwszy karabin i podał go Salemowi. Zastąpił go nowym modelem, który wyglądał jak typowy winchester kaliber 44. Alan obejrzał broń i połknął haczyk. Salem uprzejmie podziwiał karabiny, ale trudno mu było zamaskować brak zainteresowania. Za to Alan był nimi zafascynowany. W młodości dość dobrze strzelał i nadal miał słabość do takich starych strzelb. Ogromnie pragnął wycelować z jednej z nich i wystrzelić, ale nie miał pewności, czy to możliwe. Poprzestał więc na wychwalaniu broni, a gdy Jusuf zaczął ją z powrotem chować, uznał, że już jej nie zobaczy.

Liczył po trosze, że Jusuf mówił poważnie, że potrzebuje ich do odparcia sprzymierzeńców męża jego byłej żony. Myśl, że przyjadą i zaatakują tę twierdzę, była niedorzeczna, ale równocześnie budziła w Alanie nadzieję, stwarzała szansę. Wyobraził sobie, że celuje do najeźdźców z balkonu. Chciał zrobić coś spektakularnego, żeby obronić swojego przyjaciela.

– Jakie jest ryzyko, że ci goście rzeczywiście się tutaj zjawią?

– Jacy goście?

– Mąż, jego ludzie?

– Mówisz poważnie? Oni nie wiedzą o istnieniu tego miejsca. Myślisz, że tłucliby się cztery godziny przez pustynię, żeby mnie tutaj zdybać?

Alan pokręcił głową, odrzucając tę myśl, ale coś między nimi zaszło. Jusuf go zrozumiał: Alan bynajmniej nie bał się ich ataku, nie wykluczał go i powitałby go z zadowoleniem. Jusuf położył mu dłoń na ramieniu, obrócił go i delikatnie wypchnął z pokoju, po czym zgasił światło.

Usiedli na tarasie pierwszego piętra. Hamza wyniósł tam dywany oraz poduszki i ułożył je równo. Wszedł w pośpiechu do domu i wrócił z serwisem do herbaty, którą podawał z wielką powagą.

Gdy Salem stroił pobieżnie gitarę, Alan pił herbatę, miętową i słodką. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale gdy przyjaciel Jusufa zaczął brzdąkać, wybijając rytm na drewnianym pudle jak na perkusji, zabrzmiało to niczym zachodnia muzyka popularna, coś, co można usłyszeć w galerii handlowej.

Wieczorne powietrze stało się chłodniejsze, a od doliny nadciągnął wiatr, który omiótł mury twierdzy. Poniżej, jakby niesione jego podmuchem, pojawiło się światło. Potem dwa następne. Ujrzeni pnący się podjazdem motocykl, za którym podążała mała furgonetka.

Jusuf wskazał ruchem głowy na gitarę i Salem zrozumiał sugestię. Zapakował instrument do futerału i szybko wycofał się do środka. Na taras wrócił już bez gitary.

Wkrótce na tarasie pojawiło się trzech ubranych na biało młokosów. Mieli od trzynastu do szesnastu lat i wszyscy wyglądali jak Jusuf, byli niscy i krępi. Nosili białe thawby i czerwone ghutry – mali biznesmeni o szerokich, promiennych uśmiechach. Szybko podeszli do Jusufa i uściskali go na powitanie.

– To moi kuzyni – wyjaśnił Jusuf Alanowi. – Dwaj z nich. Trzeci to ich przyjaciel.

Alan uścisnął im dłonie, a Jusuf i jego kuzyni przez jakiś czas rozmawiali po arabsku. Salem został na balkonie, jakby rozumiał, że przybysze z małego miasteczka to ludzie innego gatunku. Jusuf był mostem łączącym wielkomijską ogładę Salema i Alana z zaściankowością tych chłopców, którzy, jak przypuszczał Alan, byli wychowywani w bardziej konserwatywny sposób i nie mieli kontaktu z takimi rzeczami jak muzyka popularna i takimi ludźmi jak goście z Ameryki. Wieczór mijał i Hamza podał więcej herbaty. Wydawało się, że Jusuf i jego kuzyni mieli do nadrobienia spore zaległości i wiele rzeczy do opowiedzenia, więc Alan czuł, że przeszkadza. Kiedy Salem wszedł do domu, tłumacząc się wyczerpaniem, Alan potraktował to jako sygnał. Jusuf życzył im obu dobrej nocy i kazał Hamzie zaprowadzić ich do sypialni.

W sypialni Alana, dużej jak sala jadalna, sprężyste materace, za którymi wcześniej ukryte były karabiny, leżały teraz na podłodze, przykryte starannie prześcieradłem i wełnianym kocem. Jego worek marynarski przyniesiono z samochodu i leżał teraz na drewnianym krześle koło posłania. Hamza pokazał im łazienkę, dał ręczniki i myjki, a nawet sandały z miękkiej skóry.

Alan ułożył się na materacu i naciągnął na siebie gruby koc. W domu szybko robiło się chłodno.

– ...branoc – powiedział Salem, mijając wejście do jego pokoju.

– ...branoc – odparł Alan.

Musiła być prawie północ. Za oknem, w odległości niespełna dziesięciu metrów, Alan widział powierzchnię góry, a nad nią stalowoszare niebo i kropki gwiazd. Teraz, gdy leżał i było mu ciepło, pragnął wędrować wśród gór, z Jusufem lub Salemem albo w pojedynkę. Nie czuł zmęczenia. Spoglądał w mieszczące się nad nim okno, na tak niebieskie w czystym blasku księżyca zbocze góry. Z minuty na minutę miał coraz mniejszą ochotę na sen.

Pomyślał o napisaniu listu, ale nie miał papieru. Przy drzwiach znalazł dużą kopertę i zaczął: „Droga Kit, piszę do Ciebie z zamku. Wcale nie żartuję. Jestem w jakiejś współczesnej twierdzy, w saudyjskich górach. Człowiek, który ją zbudował, sprzedaje buty. Nie jest jakimś dużym wytwórcą butów. Ma w Dżuddzie sklep o powierzchni trzydziestu sześciu metrów kwadratowych i sprzedaje zwykłym ludziom zwykłe buty, głównie sandały. Z pieniędzmi, które zarobił i zaoszczędził, sprzedając obuwie, wrócił do swojego miasteczka, zniwelował wierzchołek góry i zbudował na niej zamek”.

Odłożył pióro. Ruszył powoli do drzwi, starając się nie obudzić Salema. W domu panowała cisza, ale większość lamp wciąż się paliła. Podszedł cicho do schodów i wspinał się po nierównych stopniach na dach. Chodził tam od naroża do naroża, chłonąc widoki ze wszystkich stron. Doszedł do wniosku, że mógłby tu zamieszkać, że byłby zadowolony, gdyby zbudował taki dom. Potrzebował jedynie trochę przestrzeni, gdzieś na odludziu, gdzie ziemia jest tania, a budowanie nie nastęrcza większych trudności. Podzielał marzenia ojca Jusufa, też czuł potrzebę powrotu do źródeł, wzniesienia czegoś trwałego, otwartego i dziwnego jak ta twierdza, czegoś, z czego mogliby korzystać przyjaciele i rodzina, wszyscy, którzy przyczynili się do jego wychowania. Jakie miał jednak korzenie? Nie wiedział, skąd wywodzą

się jego przodkowie. Znał Dedham. Czy Dedham było miasteczkiem jego przodków? Nikt tam nie wiedział, kim jest. Czy pochodził z Duxbury? Czy w ogóle czuł więź z tym miastem, a ktoś czuł więź z nim?

W Duxbury nie mógł nawet postawić muru.

Alan nie miał ochoty myśleć o gościu z Komisji Planowania Przestrzennego, ale i tak przypomniał sobie jego wazeliniańską twarz. Chciał jedynie zbudować ogród otoczony kamiennym murkiem. W części podwórka za domem ziemia była kamienista, pomyślał więc, że zbuduje ogród nad podwórkiem, kilkadziesiąt centymetrów wyżej. Widział taki w jakiejś książce i wydawało się, że to rozwiązanie ma sens i dobrze wygląda. Ogród z książki był obudowany drewnem, jak piaskownica, ale Alan pragnął go upodobnić do starych kamiennych murów ogradzających niektóre posiadłości w mieście – murów wzniesionych, przynajmniej w kilku przypadkach, przed setkami lat. Część z nich wykonano bez użycia zaprawy, tworzyły je po prostu starannie ułożone kamienie, lecz Alan pomyślał, że zwiąże wszystko cementem. Po przejrzaniu wypożyczonej z biblioteki książki o kamieniarstwie odwiedził hurtownię materiałów budowlanych i kupił dwa worki gotowej zaprawy murarskiej.

Potem pojechał do składu przy autostradzie, gdzie sprzedawano kamienie. To była najlepsza część całego przedsięwzięcia, coś, o czym nie miał wcześniej pojęcia. Chodził po placu, gdzie w niewielkich ogrodzonych sektorach zgromadzono sterty sporych kamieni, czując się jak w kamiennym zoo. W końcu znalazł lekko zaokrąglony szaroróżowy kamień, który wydawał się pasować do muru przed jego domem.

– I co teraz? – zapytał jednego z pracowników składu. Mężczyzna był wysoki, chudy, zbyt drobny, żeby pracować w takim miejscu. Wyglądał na kogoś, kto nie byłby w stanie podciągnąć spodni, a co dopiero dźwigać kamienie, które sprzedawał.

– Sam pan je będzie przewoził?

Alan nie miał pojęcia.

– A powinienem?

– Mógłby pan – odparł mężczyzna. – Chyba że buduje pan zamek.

Alan parsknął. Ten żart wydawał się w tym momencie bardzo zabawny.

– Nieee, tylko murek.

– To pański wóz? – zapytał sprzedawca, wskazując głową kombi Alana.

– Tak. Wystarczy?

– Oczywiście, ale musimy go najpierw zważyć. Waga jest tam.

Niebawem Alan znowu siedział w samochodzie i wjeżdżał po szynach prowadzących na platformę. Platforma mieściła się obok biura i gdy samochód znalazł się na wadze, Alan ujrzał w nim drugiego pracownika składu, który podniósł kciuk na znak, że dokonał pomiaru.

Alan zjechał po szynach i wrócił tam, gdzie leżały wybrane przez niego kamienie, po czym zaczął ładować je do bagażnika. Nie wiedział, ile ma ich kupić, nie było też żadnej tabliczki z ceną. Cały proces zakupu kamieni – ważenie, wrzucanie ich do samochodu, który się kołysał, ilekroć ładował w nim zwiększający jego ciężar kamień – sprawiał mu jednak wielką frajdę. Postanowił ładować dopóty, dopóki tylny zderzak nie znajdzie się niebezpiecznie blisko ziemi. Tak też zrobił, zamknął tylne drzwi i pojechał z powrotem na wagę.

I znowu pracownik w biurze dał mu przez okno znak podniesionym kciukiem, że może zjechać. Alan zaparkował obok biura. Gdy wszedł do środka, mężczyzna za ladą mrugnął do niego przyjaźnie.

– Sto osiemdziesiąt dziewięć kilo.

Alan pomyślał, że jeśli cena za kilogram znacznie przewyższa dwa dolary, to ma przechłapane. Na realizację całego przedsięwzięcia przeznaczył bowiem kilkaset dolarów.

Mężczyzna wykonał mnożenie na kalkulatorze i uniósł wzrok.

– Jakiś cement do tego?

Alan pokręcił głową.

– W porządku. Wyszło sto siedemdziesiąt dolarów i sześćdziesiąt osiem centów.

Alan omal nie wybuchnął śmiechem i w drodze do domu uśmiech nie schodził mu z twarzy. Taka transakcja była bardzo prosta. Prosta i przyjemna. Zobaczył kamienie. Wrzucił je do bagażnika swojego kombi i zważył samochód, gość obliczył różnicę, ustalił ciężar kamieni i policzył mu około dziewięćdziesięciu centów za kilogram. Piękna sprawa.

Od lat Alanowi nic nie sprawiło tyle radości, co wznoszenie tego muru, mimo że praktycznie nie miał pojęcia, jak to zrobić. Zapomniał kupić narzędzia, zaprawę mieszał więc w taczkach i nakładał ją łopatą. Starał się dopasować kamienie w sensowny sposób, układając zaprawę na wierzchu i między nimi. Nie wiedział, jak długo będzie schła ani jak bardzo będzie wytrzymała po związaniu. Powinien był czekać, kłaść kamienie warstwa za warstwą, ale zdecydowanie za bardzo go to cieszyło, by mógł zwolnić tempo. Tak jak w przypadku wielu jego domowych i przydomowych przedsięwzięć pragnął uporać się z robotą za jednym zamachem i cztery godziny później skończył.

Cofnął się i stwierdził, że murek jest mniej więcej kwadratowy. Wznosił się na wysokość niecałego metra i był średniowieczny w swojej prostocie. Kiedy postawił stopę na pierwszym ukończonym fragmencie, zaprawa już się związała. Naparł na kamienie, ale te ani drgnęły. Stanął na murku i okazało się, że jest równie mocny, jak wszystkie posadzki w jego domu. Był tym głęboko wzruszony. Cement! Nic dziwnego, że architekci tak bardzo go lubili. W ciągu kilku godzin zbudował mur, do którego rozbiórki potrzebny byłby młot pneumatyczny. Pomyślał, że w ten sposób w kilka dni mógłby pewnie zbudować dom. Mógłby zbudować wszystko. Był w euforii.

Potem nastąpiła jednak wizyta urzędników Wydziału Gospodarki Przestrzennej. Obudziwszy się nazajutrz, znalazł naklejoną na drzwiach

domu czerwoną kartkę. W powiadomieniu wzywano go do ratusza, miał przedłożyć projekt budowlany i wystąpić o pozwolenie na budowę. Wszystko to z powodu metrowego murku. Potem zaś doszło do sporów z tym draniem z Komisji Planowania Przestrzennego, które okazały się zupełnie daremne. Alan nie postawił murku zgodnie z wymogami miejskich urzędników, nie współpracował z licencjonowanym przedsiębiorcą, tak więc murek trzeba było rozebrać. Zmusili go, żeby zapłacił dwóm ludziom za rozwalenie go młotami pneumatycznymi w drobny mak i zniszczenie ogrodu. Robotnicy stratowali mu warzywa, wszystko wdeptali w ziemię. Rośliny były martwe. Przykro było patrzeć na ten bałagan. A potem musiał jeszcze zapłacić kolejnym dwóm gościom za wywiezienie gruzu.

XXVII

Kiedy Alan się obudził, niebo miało przyprawiający o mdłości szary kolor. Zszedł na parter. Nie słyszał żadnych głosów, nie widział żadnego ruchu ani oznak wschodu słońca. Sale bankietowe były puste, kuchnia też. Ktoś pogasił w końcu światła. Pomyślał o powrocie do łóżka, ale wiedział, że na pewno nic to nie da.

Otworzył drzwi od frontu i ujrzał rozciągającą się poniżej dolinę, błękitną i brązową w słabym świetle poranka. Usiadł na poręczy i po raz pierwszy zauważył, że na terenie posiadłości, na kolejnym płaskim kawałku ziemi pięć metrów niżej, pasie się stado owiec. Umieszczono je w zagrodzie, a na pokrytym pyłem kamienistym gruncie było jedynie kilka pojedynczych skrawków zieleni. Pióropusz dymu rozcinał błękitne niebo za górami. Alan wszedł do domu i wziął aparat.

Podszedł do podjazdu i zrobił tam zdjęcia drogi prowadzącej w dół wzgórza oraz wzgórz przylegających do posiadłości za domem. Zszedł podjazdem, dotarł do głównej drogi i ruszył nią w kierunku miasteczka.

W dolinie panowała cisza. Alan przystanął, żeby zrobić zdjęcie kolczastego drzewa, pędu białych kwiatów, jaskrawo pomalowanego starego pakistańskiego autobusu, niesprawnego i zepchniętego na pobocze. Sfotografował też jakąś zbłąkaną kozę.

Nad pobliskim pagórkiem ukazał się kłęb kurzu. Wzbił go mały biały pick-up. Zbliżył się do Alana i zatrzymał koło niego. Szyba w oknie opadła.

Za kierownicą siedział czterdziestolatek w czystym, popielatym thawbie. Przypominał nieco Jusufa, był jednak wyższy i chudszy.

- *Salaam* – powiedział na powitanie.
- *Salaam* – odparł Alan.
- Podwieźć pana?
- Nie, dziękuję. Wybieram się na spacer.
- Będzie pan fotografował?
- Chyba tak. Piękny ranek.
- Patrzyłem na pana z góry.

Alan się rozejrzył, próbując ocenić, z którego miejsca Saudyjczyk mógł prowadzić obserwację. Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

- Robi pan dużo zdjęć.
- Chyba tak – potwierdził Alan.

Coś się działo, ale nie potrafił zrozumieć co. Wreszcie to do niego dotarło.

- Amerykanin? – zapytał mężczyzna.

Ach. Jak zawsze Alan musiał przemóc odruchową skłonność do kłamstwa.

- Tak – przyznał.
- A te zdjęcia? Pracuje pan dla CIA?

Uśmiech mężczyzny wydawał się teraz bardziej szczery i pewnie to sprawiło, że Alan się rozluźnił i zażartował:

- Jako wolny strzelec. W niepełnym wymiarze.

Mężczyzna cofnął głowę o dwa centymetry, jakby wyczuł coś nieprzyjemnego, nienaturalnego. Po czym wrzucił bieg i odjechał.

Kiedy Alan wrócił do domu, Jusuf i Salem byli ubrani, a Hamza wyniósł już serwis do herbaty na taras. Salem, jak poprzedniego wieczoru, grał na gitarze.

– Alan! Już myśleliśmy, że cię porwali – rzekł Jusuf na widok nadchodzącego Alana.

Obaj Saudyjczycy uśmiechali się od ucha do ucha.

– Poszedłem na spacer. Obudziłem się wcześniej. O świcie jest tutaj pięknie.

– A jakże. Śniadanie zjemy na zewnątrz. Zgadzasz się?

Hamza rozłożył na tarasie szeroki obrus, a oni usiedli wokół niego. Potem przyniósł kolejną porcję herbaty, chleb i daktyle. Powietrze było rześkie, ale słońce się pięło i Alan czuł nadciągający skwar, ciepło otaczających ich skał. Siedzieli w cieniu. Alan chciał im opowiedzieć o spotkaniu z mężczyzną w pick-upie, wiedział bowiem, że spaprał sprawę i niebawem mogą być z tego kłopoty, choćby tylko pod postacią telefonu. Miał jednak nadzieję, że mężczyzna o tym zapomni, że było to nieistotne, że uzna jego okropny żart właśnie za żart i nic ponadto.

Gdy śniadanie dobiegło końca, Jusuf pobiegł do domu, jakby coś przyszło mu nagle do głowy. Wrócił z dwoma karabinami, które demonstrował im poprzedniego wieczoru. Alan spodziewał się, że to kolejna lekcja pokazowa, dopóki nie zobaczył, że Jusuf wysypuje z pudełka na obrus naboje kalibru .22, a potem wsuwa jeden z nich do komory.

Gdy jest się wśród obcych lub świeżo poznanych ludzi, moment ładowania broni zawsze zmusza do szybkiej oceny. Alan od wielu lat miał do czynienia z bronią i czuł się z nią pewnie. Czuł się również pewnie przy Jusufie, a mimo to musiał się przez chwilę zastanowić i pomyśleć o swoim przyjacielu, karabinie oraz ich wzajemnym usytuowaniu, a także o ewentualnych motywach i skutkach takiego postępowania. Był z dala od kogokolwiek, kto przejmowałby się jego bezpieczeństwem. Alan miał zaufanie do Jusufa, uważał go za przyjaciela, po trosze za syna, ale

z drugiej strony głos w jego głowie mówił: „Nie znasz zbyt dobrze żadnego z nich”.

Jusuf zostawił broń na obrusie i przeszedł na drugi koniec balkonu, gdzie dom graniczył ze zboczem góry. Wyciągnął z zarośli puszkę, postawił ją na niskim murku, po czym przybiegł z powrotem i rzekł:

– Zobaczmy, czy jeszcze potrafię.

Alan spodziewał się, że Jusuf ułoży się do strzału na brzuchu lub będzie stał, ale młody Saudyjczyk usiadł, wsparł łokcie na kolanach, a karabin na ramieniu. Alan nigdy nie widział, by ktoś strzelał w taki sposób, ale nie było to całkowicie pozbawione sensu.

Jusuf wycelował do stojącej niespełna dwadzieścia metrów dalej puszkę i wystrzelił. Huk nie był zbyt głośny, mniej donośny niż w przypadku czterdziestki. Dwudziestki i dwójki były ciche, eleganckie i mało natarczywe, jeśli chodzi o hałas i wymagania stawiane strzelcowi.

Kula wylądowała w zaroślach. Pudło. Jusuf wymamrotał coś po arabsku, opróżnił komorę i umieścił w niej kolejny nabój. Wycelował i strzelił; tym razem puszka zachwiała się i po chwili spadła z krawędzi muru na podjazd niczym spadający z dachu kowboj z westernu.

– Świetnie – pochwalił Alan.

Hamza pobiegł znowu ustawić puszkę.

– Może teraz ty? – Jusuf wręczył Alanowi broń.

Alan wziął karabin i załadował go jednym z małych nabołów w złotej łusce. Broń była bardzo lekka. Alan miał ochotę wstać lub położyć się na brzuchu, ale czuł, że zwyczaj nakazuje naśladowanie sposobu, w jaki strzelał Jusuf.

Stanowiąca namiastkę trójnoga pozycja okazała się dość wygodna. Alan namierzył puszkę przez celownik, zrobił wydech i pociągnął za spust. Tuż obok puszkę, z lewej strony, pojawił się obłoczek dymu. Wydawało się, że

Jusuf i Hamza są pod pewnym wrażeniem, ale byli też chyba zadowoleni, że Alan nie strzela celniej od nich. Jak by to wyglądało, gdyby on, facet w średnim wieku, ocieężały i w spodniach khaki, usiadł, wziął broń do ręki i zrobił to lepiej niż oni?

Alan jednak bardzo chciał im to pokazać.

– Mogę spróbować jeszcze raz? – zapytał.

Jusuf wzruszył ramionami i wskazał głową pudełko z nabojami. Alan umieścił kolejny nabój w komorze i znowu wycelował. Westchnął, odetchnął i pociągnął za spust. Tym razem kula trafiła w sam środek i puszcza spadła z muru.

Wszyscy, nawet Salem, mruknęli z aprobatą. Alan wręczył broń Jusufowi, który uśmiechał się szeroko.

Kontynuowali strzelanie na przemian, dziurawiąc puszkę przez mniej więcej dwadzieścia minut, dopóki na podjazd nie wtoczył się biały pick-up. Kierowca, którego Alan spotkał już wcześniej, wysiadł. Ujrzawszy jego wzburzoną minę, natychmiast zrozumiał, że za chwilę będzie się musiał tłumaczyć. To, że w momencie gdy samochód podjeżdżał pod dom, Alan trzymał broń w ręku, tylko pogorszyło sprawę. Kiedy przybysz szedł długim krokiem w ich stronę, Alan położył karabin na obrusie, jak najbliżej Jusufa, ale w swoim zasięgu. Skąd mógł wiedzieć, co się zaraz wydarzy? Musiał mieć pole manewru.

Najpierw mężczyzna zarzucił Jusufa gradem arabskich słów, cały czas wskazując na Alana. Potem Jusuf wstał, Salem także i wszyscy trzej krzyczeli, a Hamza nie bardzo wiedział, co robić. Dozorca z pewnością codziennie widywał człowieka z białego pick-upa, ten ostatni musiał mieszkać w miasteczku. Nie mógł więc otwarcie mu się przeciwstawić, nie mógł też stanąć ślepo po stronie Jusufa. Alan siedział, usiłując sprawiać wrażenie łagodnego jak baranek.

W końcu Jusuf podszedł do niego i zapytał:

– Powiedziałeś temu człowiekowi, że jesteś z CIA?

Alan przewrócił oczami.

– Zapytał, czy jestem z Agencji, a ja żartowałem, że pracuję dla nich jako wolny strzelec.

Jusuf spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

– Czemu tak powiedziałeś?

– Żartowałem. To był żart. Zapytał mnie. To było niedorzeczne pytanie.

– Dla niego nie jest niedorzeczne. Muszę go teraz przekonać, że nie jesteś z CIA. Jak mam to zrobić?

Alan miał ochotę zniknąć, zwać na dach, dokądkolwiek. Przyszedł mu jednak do głowy pewien pomysł.

– Powiedz mu, że gdybym był z CIA, nie powiedziałbym tego pierwszemu człowiekowi, który mnie o to zapytał.

Jusuf roześmiał się na te słowa. Dzięki Bogu, pomyślał Alan. W pewnym momencie cała sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli jemu oraz im wszystkim, a Jusufowi, jego ojcu i Alanowi groziły kłopoty. Przed obiadem wracałby taksówką do Dżuddy. Wyjaśnienie Alana było jednak przełomem, przypomniało Jusufowi, kim jest Alan i kim są obaj. Byli przyjaciółmi i mogli sobie zaufać.

Jusuf odwrócił się do mężczyzny, objął go ramieniem i odprowadził do samochodu. Mężczyzna usiadł za kierownicą i siedział tak przez następnych pięć minut, Jusuf tłumaczył mu coś spokojnie przez okno, od czasu do czasu wskazując ze współczuciem w kierunku Alana. Ugasił tłący się jeszcze żar furii Saudyjczyka i niebawem zakończył rozmowę.

Gdy pick-up odjechał, Jusuf wrócił, usiadł i westchnął teatralnie.

– Nie powinieneś być tego mówić.

– Wiem.

– Ludzie nie lubią takich żartów.

- Zrozumiałem to, gdy tylko to powiedziałem.
- To tak, jakbyś ochronie lotniska powiedział żartem, że masz bombę.
- Ta analogia też przyszła mi do głowy.
- Więc się zgadzamy.
- Jak zawsze.
- Przeważnie.
- Przepraszam.
- W porządku. Postrzelajmy jeszcze trochę.

I strzelali, dopóki Salem nie powiedział, że chce zobaczyć przynajmniej część miasteczka lub okolicy. Wsiedli więc do jednej z furgonetek ojca Jusufa, z Hamzą za kierownicą, i zjechali na dno doliny. Samochód jechał po wyboistej drodze tak wolno, że wydawało się, że szybszy i mniej niedorzeczny byłby wspólny spacer. Mijali bardzo skromne siedliska i szereg porządnie wykonanych domów z suszonej na słońcu gliny oraz budynków mieszkalnych. W całym miasteczku mieszkało co najwyżej dwieście osób, ale była tam przyzwoita szkoła, przychodnia lekarska, meczet, a nawet coś, co Alan uznał za hotel.

Minąwszy główne skupisko budynków, ruszyli pokrytą pyłem drogą na drugi koniec doliny, a po przejeździe wąskim korytarzem między dwoma olbrzymimi głazami znaleźli się w drugiej, mniejszej dolinie. Przez chwilę jechali w dół, widząc przed sobą następne miasteczko, po czym Jusuf kazał zatrzymać samochód.

– To dom moich dziadków – wyjaśnił, wskazując na niewielkie stare siedlisko. Zbudowano go z kilku tysięcy płaskich kamieni, bez użycia zaprawy. Przepuszczalnie liczył co najwyżej osiemdziesiąt lat, ale pasowałyby do zupełnie innej epoki.

Wysiedli z auta i Alan wszedł za Jusufem do domu przez okno. Składał się z jednej małej izby. Dach zniknął, zostały tylko okrągłe belki. Jusuf

zdjął okulary przeciwsłoneczne i powiesił je na kołnierzu swojego thawbu. Pociągnął łyk wody z plastikowej butelki i rzekł:

– Nie potrafiłbym żyć w takich warunkach. Możesz to sobie wyobrazić? Wsiedli z powrotem do furgonetki.

Następnych kilka godzin spędzili na leniwej jeździe przez doliny, w górę i w dół po okropnych drogach. W pewnym momencie minęli ciąg niesamowitych formacji skalnych. Sześciometrowe, na wpół wydrążone głazy, spoczywające na ziemi niczym puste hełmy. Dotarli na przełęcz na skraju doliny, w której ojciec Jusufa zbudował swój dom, i spojrzeli na miasteczko. Wydawało się stąd niesamowicie małe i kruche, jak osiedle, które w kilka sekund zmyłaby nagła powódź i pogrzebała każda lawina. Mieszkanie tam choćby przez kilka dni, a tym bardziej przez wieki, wydawało się niedorzecznością. Gdyby nastąpiła susza albo jedyna droga stała się nieprzejezdna ze względu na błoto lub spadające kamienie, żyjący tu ludzie staliby się zupełnie bezradni. Patrząc na tę dolinę, gdzie wysiłki człowieka były tak znikome w porównaniu z pracą wiatru i wody, Alana naszała częsta u niego myśl – że ludzie nie powinni tu mieszkać. Ludzie nie powinni osiedlać się na skalistym terenie, gdzie brakuje wody i nie padają deszcze. Ale gdzie w takim razie powinni mieszkać? Natura mówi człowiekowi, że może uśmiercić go wszędzie. Na równinach zabije go tornadami. Na wybrzeże wyśle tsunami, żeby w ten sposób zniszczyć owoce wielowiekowej pracy. Trzęsienia ziemi drwią sobie ze wszystkich inżynierów, z wszelkich wyobrażeń o trwałości. Natura chce po trzykroć zabijać, śmiać się z naszej pracy, oczyścić się do cna. Lecz ludzie mieszkali tam, gdzie chcieli, mieszkali także tutaj, w tej niesamowitej dolinie, i dobrze się mieli. Czy na pewno? Żyli. Ocalili, rozmnażali się i wysyłali swoje dzieci do miast, żeby zarobiły tam pieniądze. Ich dzieci zarabiały pieniądze i wracały, żeby niwelować wierzchołki wzgórz i budować zamki w tej samej niesamowitej dolinie. Człowiek wykonuje swą pracę za plecami

świata przyrody. Gdy natura to dostrzega i jest w stanie wykrzesać odpowiednią ilość energii, znowu równa wszystko z ziemią.

W drodze powrotnej do twierdzy minęli dwóch mężczyzn stawiających kamienny mur. Organizacja robót przypominała w znacznej mierze metodę zastosowaną przez Alana – sterta kamieni i wypełnione zaprawą taczki.

– Możemy tu stanąć? – zapytał Alan, zanim w pełni zrozumiał, dlaczego chce to zrobić.

Hamza zatrzymał samochód. Robotnicy spojrzeli znad muru i im pomachali. Jusuf pozdrowił ich przez okno auta, żartując po arabsku. Mężczyźni się roześmiali i podeszli do niego.

– Zapytaj, czy potrzebują pomocy – powiedział Alan.

– Ja im nie pomogę! – Jusuf przez chwilę miał zdziwioną minę. – Masz na myśli siebie? Chcesz im pomóc?

– Tak. Naprawdę chcę.

Przez kilka minut wspólnie z Salemem próbowali przekonać Alana, żeby zrezygnował z tego pomysłu, w końcu Jusuf zaproponował to mężczyznom, a ci się zgodzili. Zaprzęgli Alana do roboty, a Hamza, Jusuf i Salem pojechali dalej.

Zadaniem Alana było dopilnowanie, by zaprawa nie stwardniała, mieszanie jej i dolewanie od czasu do czasu wody, a kiedy już to zrobił, pomoc w znajdowaniu kamieni o odpowiednim kształcie, które następnie trafiały na mur. Praca szła powoli, a bariera językowa sprawiała, że było to frustrujące dla obu stron, lecz Alan dobrze czuł się na wolnym powietrzu, pracując fizycznie i obficie się pocąc; do końca dnia postawili ponad pięć metrów muru. Miał dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości, był solidny i znacznie lepiej wykonany niż mur, który Alan postawił na podwórku za

swoim domem. Mężczyźni kiwnęli głowami, uścisnęli mu dłoń i Alan był wolny.

Kiedy wracał pieszo do zamku, słońce chyliło się już ku zachodowi. Nie dało się zgubić drogi: twierdzą było widać z każdego miejsca doliny. Dotarł na miejsce po dwudziestu minutach; Jusuf i Salem siedzieli znowu na murze balkonu. Salem brzdąkał na gitarze.

– Dobrze się bawiłeś? – zapytał Jusuf.

– Przez jakiś czas tak. Potem dostałem po dupie.

Obaj Saudyjczycy wybuchnęli śmiechem. Mieli przed sobą głupca.

Jusufowi zaświeciły się oczy.

– Po kolacji czeka na ciebie niespodzianka. Będziesz zachwycony.

Wtajemniczony w sprawę Salem uniósł brwi i zgodził się, że Alan bardzo się ucieszy.

– Co to takiego?

– Chcesz zapolować na wilki?

– Dlaczego? Gdzie?

– Ostatnio najwyraźniej polują na owce. Wilki urządzają na nie łowy.

Przyda się każdy, kto umie strzelać.

Alan od lat nie otrzymał bardziej intrygującej propozycji.

– Bardzo chcę – przyznał.

– Mówiłem ci – powiedział Jusuf do Salema.

– Nie zaprzeczałem – odparł Salem. Podniósł gitarę i na poczekaniu skomponował piosenkę o Alanie i polowaniu.

Była całkiem niezła.

XXVIII

Po kolacji pod dom podjechały dwa pick-upy. I znowu Salem wyszedł w pośpiechu, żeby schować gitarę. Obie furgonetki były białe, ale żadnej nie prowadził człowiek podejrzewający Alana o pracę dla CIA. Siedziało w nich po czterech mężczyzn, rówieśników Alana bądź starszych, oraz kilku nastolatków.

Alanowi zaproponowano miejsce z przodu w pierwszym pick-upie, ale wolał jechać na pace. Wieczór był rześki i bezchmurny i Alan chciał wszystko widzieć. Mężczyźni głośno zaprotestowali, ale skończyło się interwencją Jusufa i zapewnieniem, że Alan rzeczywiście tego chce, a spełniając jego życzenie, najlepiej okażą swą gościnność. Normalnie by się nie upierał, ale tego dnia nie ustąpił, gdyż po paru tygodniach zamieszkiwania w sterylnym hotelu potrzebował wieczornego powietrza, gwiazd i podskakiwania na pace furgonetki.

Wlazł więc na platformę z dwoma najmłodszymi kuzynami Jusufa i jakimś starszym mężczyzną. Wszyscy trzej mieli karabiny. Jusuf usiadł obok kierowcy.

- Nie jedziesz z nami? – zapytał Alan Salema.
- Żarty sobie stroisz? – odparł Salem. – Do zobaczenia.

Silnik pick-upa zacharczał i ożył. Zaczęli toczyć się powoli w dół podjazdu. Mężczyzna siedzący naprzeciw Alana, w podobnym wieku i podobnej budowy co on, uśmiechał się do niego. Alan podał mu rękę i się przedstawił:

- Alan.

Mężczyzna uściśnął jego dłoń i odparł:

– Atif.

Na jakimś wyboju wszyscy wyskoczyli w powietrze. Gdy wylądowali z powrotem na pace, roześmiali się gremialnie. Alan miał nadzieję, że Atifa nie uprzedzono, że Alan może być agentem CIA. Pragnął po prostu być tym, kim był – nikiem.

Atif skinął na niego głową i zapytał:

– Poluje pan już na wilka, Alan?

Alan pokręcił głową.

– Ale już pan... – Atif nie mógł znaleźć angielskiego słowa na określenie strzelania i udał, że strzela z własnej broni. – Robi pan to?

– Tak, wiele razy – odparł Alan.

Mężczyzna przechylił głowę, nie do końca rozumiejąc.

– Ale nie zabija z w i e r z ę?

– Nie – przyznał Alan.

Atif się uśmiechnął. Brakowało mu większości zębów.

– Zabija c z ł o w i e k?

Alan roześmiał się i odparł:

– Nie.

– J e zwierzę?

– Tak.

Rozmówca Alana wydawał się usatysfakcjonowany, ale już po chwili w jego oczach pojawił się szelmowski błysk.

– J e c z ł o w i e k?

Alan postanowił się roześmiać.

– Nie.

Mężczyzna uśmiechnął się i upewnił:

– Nigdy, a n i r a z nie je człowiek?

Alan znowu wybrał śmiech.

Atif wyciągnął rękę i znowu uścisnął Alanowi dłoń.

– Dobrze – powiedział.

Droga była w fatalnym stanie i robiła się coraz gorsza, w miarę jak pięli się wyżej przez góry. Furgonetka charczała i stękała i Alan się zastanawiał, czy w promieniu wielu kilometrów od ich hałaśliwego konwoju pozostaną jeszcze jakiegokolwiek wilki.

W końcu zatrzymali się na szczycie pasma i kuzyni Jusufa wysiedli, pomagając Alanowi zeskoczyć na ziemię. Jusuf wysiadł z drugiego pick-upa. Trzymał w ręku karabin.

– Ostatnio owce zostały zagryzione w gospodarstwie poniżej.

Alan dostrzegł zagrodę i stwierdził, że dzieli ich od niej sześćdziesiąt kilka metrów.

– Jaki jest więc plan?

– Chyba po prostu tutaj poczekamy.

– Nie wyczują nas? – zapytał Alan. Nikt nie odpowiedział, więc uznał, że to pytanie nie na miejscu.

– Pójdziemy tam – rzekł Jusuf.

Przeszli niespełna sto metrów do skupiska niskich gładkich głazów i Jusuf położył się na jednym z nich. Alan poszedł za jego przykładem i obaj skierowali karabiny w stronę zagrody. Nic nie przesłaniało im widoku. Właściciel zostawił włączony reflektor – mężczyźni powiedzieli, że nie powstrzymało to wcześniej wilków – a wiatr był dość słaby, gdyby więc wilk poruszał się powoli i w przewidywalny sposób, Alan mógłby go trafić. Nie miał dużego doświadczenia w strzelaniu do ruchomego celu, ale uważał, że w oświetlonej zagrodzie bez przeszkód zdoła ustrzelić co najmniej jedną sztukę.

Przyglądał się, jak reszta myśliwych rozlokowuje się wokół zagrody. Naliczył dziewięciu strzelców, z kuzynami Jusufa włącznie. Gdyby jakiś wilk się do niej przedostał, nie zabrakłoby karabinów gotowych do strzału.

Alan nie chciał zabijać zwierząt. Bał się chwili, kiedy trafiony kulą wilk gwałtownie drgnie, zachwieje się i, unieruchomiony, zostanie nafaszerowany ołowiem. Bał się, że stojąc z innymi nad zwierzęciem i czekając, aż skona, usłyszy jego ciężki oddech. Wydawało się jednak nieprawdopodobne, by jakiegokolwiek zwierzę, choćby najgłupsze i najbardziej zdesperowane, weszło do zagrody w takich okolicznościach, w obecności tylu ludzi, w tak jasnym świetle. Z drugiej strony Alan nie miał pojęcia o polowaniu, o polowaniu na wilki, o polowaniu na wilki w górach centralnej części Arabii Saudyjskiej.

Ojciec nauczył go strzelać, a w każdym razie zabrał go kilka razy na łowy. Nie przekazał mu za wiele. Kiedy Alan skończył dziesięć lat, Ron wręczył mu wiekowego winchestera kaliber .22 i powiedział: „Rób to, co ja”. Ojciec używał półautomatycznej czterdziestkiątki; Alan szedł za nim. Gdy Clay senior unosił lufę karabinu, Alan go naśladował. W końcu Ron nauczył syna robić wdech przed oddaniem strzału i trzymać karabin jak najbliżej ciała i policzka. Ale Alan nie polubił polowania tak, jak oczekiwał tego ojciec, i wszystko skończyło się na tych kilku razach.

Po drugiej stronie doliny, za postrzępionym zarysem grani, pojawiła się jeszcze jedna para reflektorów – przypominało to błękitny wschód słońca. Alan popatrzył na Jusufa, a ten tylko wzruszył ramionami.

– To tutaj duże wydarzenie. Każdy chce w nim uczestniczyć. To jak Boże Narodzenie. – Jusuf zastanowił się nad tym przez chwilę i dodał: – Może nie do końca.

Alan spojrzął na zagrodę. Pusto. Owce były bezpieczne pod falistym dachem, a wilk nie śmiał wkroczyć na scenę. Jusuf odłożył karabin i rozmasował sobie ramię i kark.

Popatrzył na Alana i zapytał:

– Hej, jak twój kark?

– Świetnie. Boli.

Jusuf z uśmiechem objął spojrzeniem leżącego na kamieniu i gotowego do oddania strzału Alana.

– Służyłeś kiedyś w wojsku? – zapytał.

– Nie, mówiłem ci.

– Mówiłeś, że nie byłeś w CIA.

– W wojsku też nie. Mój tato był.

– I walczył?

– Tak. Podczas drugiej wojny światowej.

Jusuf cmoknął z podziwem.

– Gdzie?

Weterani drugiej wojny światowej mają swoją mitologię i nie lubią rozmawiać o swoich przeżyciach, ale Ron zawsze robił to bez wahania. Każdy pretekst był dobry. Włoski akcent uczestnika jakiegokolwiek programu telewizyjnego sprawiał, że zaczynał mówić o dwóch żołnierzach armii Mussoliniego – nie nazywał ich Włochami, bo jego zdaniem prawdziwi Włosi nie popierali i nie walczyli dla tego szaleńca – których zabił lub pomógł zabić. Widok pielęgniarki wywoływał opowieści o niemieckich sanitariuszkach, o brytyjskich sanitariuszkach na pokładzie statku, którym wracał do domu, i o polskiej sanitariuszce, którą poznał całkiem blisko. Tę opowieść zaczął snuć po śmierci żony. Na starość stał się naprawdę nieznośny, nieprawdaż? Ale te opowieści istniały, były lepsze, niż miał i mógłby mieć do opowiedzenia Alan, ojciec zaczynał je przy okazji każdego urazu, kiedy usłyszał Schuberta czy Wagnera, gdy obejrzał dokument na History Channel.

Alan opowiedział Jusufowi najlepszą z nich – o tym, jak naziści schwytali ojca i uwięzili go w Mühlbergu. Kiedy Sowieci opanowali ten

obszar, jeńcy myśleli, że wyjdą na wolność, ale tak się nie stało. Mieli wrażenie, że stali się kartą przetargową Stalina, że przetrzymuje ich, zastanawiając się, jakie to daje możliwości. Ron i jego kumpel z pryczy wiedzieli, że coś nie gra, i choć nakazano im zostać na miejscu, zachować cierpliwość i respektować ustalenia, postanowili się stamtąd wydostać. Chcieli być w domu. Pewnej nocy ukradli dwa sowieckie rowery, pognali do ogrodzenia, znaleźli w nim dziurę, przekradli się na drugą stronę i ruszyli przez niemiecką prowincję.

Jusufowi bardzo spodobała się ta opowieść.

– To dlatego zająłeś się rowerami – zauważył.

– Co masz na myśli?

– To dlatego, że twój ojciec uciekł rowerem.

Alan zastanawiał się nad tym przez moment.

– Cóż – odparł w końcu – nigdy nie wiązałem tych spraw ze sobą.

Jusuf mu nie uwierzył. Żeby nigdy nie skojarzyć tego z ucieczką ojca na rowerze, jedynym pojeździe, który zapewnił mu tak bezszelestny i szybki transport? Czy istniał tu jakiś związek? Alan nie próbował tego analizować.

– Ale sam nie chciałeś iść do wojska?

– Nie.

– Dlaczego? Nie ma sprawiedliwych wojen?

– Właśnie.

– Ale w drugiej wojnie światowej byś walczył?

– Nie miałbym wyboru.

– A gdybyś miał?

– Wybór?

– Tak.

– Poszedłbym na nią. Ale starałbym się uniknąć udziału w walkach na Pacyfiku.

– A gdybyś był teraz młody?

- Czy poszedłbym do wojska? Nie.
- Dlaczego? Nadal nie ma sprawiedliwych wojen?
- Po co te wszystkie pytania? Zamierzasz się zaciągnąć?
- Może. Chciałbym być pilotem.
- Nie próbuj.
- A to dlaczego?
- Dlatego że musisz po prostu wrócić na studia i je skończyć. Masz głowę na karku. Nie narażaj się, idź na studia, stwórz sobie nowe możliwości.
- Ale tutaj ich nie ma. Mówiłem ci.
- Więc wyjedź.
- To mógłbym zrobić.
- W takim razie na co czekasz?
- Bo byłoby lepiej tu zostać i zmienić sytuację. – Przez chwilę leżeli w milczeniu. Jusuf odwrócił się do niego. – Alanie, walczyłyś w naszej obronie?
- Waszej, czyli?
- Ludzi takich jak ja, w Arabii Saudyjskiej.
- W waszej obronie? Jak?
- Tak jak walczyliście w obronie Irakijczyków. Czy też tego, czego rzekomo broniliście. Żeby stworzyć im s z a n s e.
- Chodzi ci o to, czy walczylibym osobiście?
- Owszem.
- Może. Jako młody człowiek tak.
- Ktoś jeszcze by to zrobił?
- Jusufie, to szaleństwo. Nikt nie najedzie na Arabię Saudyjską.
- Wiem. Jestem po prostu ciekaw. Chodzi mi tylko o ludzi.
- Chcesz wiedzieć, czy pojedynczy Amerykanie przyjechaliby walczyć u twego boku?

– Właśnie.

– Nie wiem. Prawdopodobnie. Myślę, że wielu moich rodaków jest skłonnych wesprzeć w walce ludzi, którzy usiłują być wolni. Amerykanie lubią bić się za sprawę. I nie zastanawiają się nad tym za bardzo.

Alan się roześmiał, rozbawiony własnym żartem. Jusuf zachował powagę.

– Jeśli więc wywołam tutaj demokratyczną rewolucję, wsparlibyście mnie?

– Taki masz plan?

– Nie. Tylko pytam. Wsparlibyście?

– Oczywiście.

– Jak?

– Nie wiem.

– Wysłalibyście żołnierzy?

– Ja osobiście?

– Wiesz, co mam na myśli. Stany Zjednoczone.

– Wysłać żołnierzy? To niemożliwe.

– Wsparcie z powietrza?

– Nie, nie.

– Operacja „Wstrząs i trwoga”?

– Tutaj? Wykluczone.

– Może jacyś doradcy? Szpiedzy?

– Tutaj, w Arabii Saudyjskiej? Jest ich już cała masa.

– A ty sam? Czy ty sam przyjechałbyś, żeby mnie wesprzeć?

– Tak – odparł Alan.

– Szybka odpowiedź.

– Cóż, jestem tego pewien.

– Ze swoim karabinem kaliber dwadzieścia dwa.

– Zgadza się.

Jusuf się uśmiechnął.

– To dobrze. Gdy wywołam rewolucję, będę miał po swojej stronie przynajmniej ciebie.

– Z pewnością.

– Jesteś szalony. – Jusuf pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu, i wrócił na swoje stanowisko. Potem znowu zwrócił się do Alana: – Wiesz, że żartowałem, prawda?

– W jakiej sprawie?

– W sprawie najazdu Stanów Zjednoczonych na nasz kraj.

Alan nie wiedział, co powiedzieć. Jusuf nadal się uśmiechał.

– Tak chętnie w to uwierzyłeś! To trochę zabawne, nie sądzisz?

– Nie wiem, czy to zabawne – odparł Alan. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że żartujesz.

– Nie ma sprawy. I tak się cieszę, że przywiózłbyś swą dwudziestkędwójkę, żeby walczyć razem ze mną. Nawet jeśli nie myślę o wszczęciu rewolucji.

Powrócili do obserwacji doliny, ale Alan był wstrząśnięty. Jusuf zadawał swoje pytania niefrasobliwie, ale jego uśmiech maskował powagę i wielki smutek i Alan wiedział, co jest jego źródłem: świadomość, że nie będzie żadnych walk, żadnego boju ani oporu i że oni dwaj, którzy nie cierpieli niedostatku, gdyż mimo panującej w ich krajach niesprawiedliwości korzystali z nedorzecznych przywilejów, przypuszczalnie nie kiwną palcem. Byli zadowoleni, wygrali. Walkę będą toczyć inni, gdzie indziej.

U dołu jakiś ruch. Alan uniósł karabin i przycisnął policzek do gładkiego drewna, ale była to tylko jedna z owiec. Jakoś wydostała się wcześniej z zagrody i teraz chciała dołączyć do swoich braci w szałasie. Alan miał tę owcę na muszce i bardzo chętnie by ją zastrzelił. Nie życzył jej źle i miałby z tego powodu kłopoty, ale z drugiej strony czekał z bronią w ręku już od

czterdziestu minut. Czekał i obserwował. Gdyby ją zastrzelił, nie byłby to pierwszy taki przypadek. Broń pragnie, by z niej strzelano. Czekanie nie może trwać w nieskończoność.

Wiatr omiótł dolinę i doleciał do grani, gdzie wszyscy się zgromadzili. W powietrze wzbił się drobny pył, przez który trudno było cokolwiek dostrzec, ale Alan czuł, że wraz z wiatrem pojawiła się dziwna, lecz absolutna pewność, że upoluje wilka.

Rzadko miewał przeczucia, nigdy też nie czuł, że coś jest mu przeznaczone, ale teraz, gdy przyciskał do policzka zimne drewno karabinu, był pewny, że pociągnie za spust i pośle kulę prosto w serce wilka. Był o tym tak przekonany, że opanował go cudowny spokój, spokój, dzięki któremu na jego twarz wystąpił uśmiech.

To będzie przyjemne, pomyślał. Przyjemnie będzie zostać tym, kto zobaczył i zastrzelił bestię. Zastrzelenie wilka w górach Arabii Saudyjskiej to będzie coś. Człowiek, który pociąga za spust, robi coś znaczącego.

Czekał tak, zadowolony i pewny, przez jakiś czas, nawet wtedy, gdy usłyszał za sobą głosy zbliżających się ludzi. Nie obejrzał się, ale miał wrażenie, że niektórzy z myśliwych opuścili swoje stanowiska i albo sadowili się tutaj, żeby czekać na drapieżnika, albo przyszli po niego i Jusufa. Ale jakby wyczuwając, że Alan jest skoncentrowany, że wie coś, czego oni nie wiedzą, trzymali się z daleka. W jednostajnym szumie wiatru ich głosy były odległe i – dla Alana – nieistotne.

Co zrobią, gdy zastrzeli bestię? Uścisną mu rękę i poklepią po plecach. Powiedzą, że wiedzieli, że właśnie on tego dokona, że zrozumieli to w chwili, gdy go zobaczyli.

Nagle jakiś ruch na dole. Na celowniku Alana znalazła się jakaś postać. Duża, ciemna, poruszająca się szybko. Dotknął palcem spustu. Lufa karabinu nie drgnęła. Postać wyłoniła się i wtedy Alan ujrzał łeb wilka.

Nadszedł czas.

Zrobił wydech i pociągnął za spust. Karabin posłał kulę z cichym trzaskiem w wieczorny mrok i Alan zrozumiał, że to on będzie tym strzelcem. To on zabije.

I wtedy zobaczył głowę. Rozczochrane czarne włosy. To nie był wilk. To był chłopiec. Pastuch. Wyszedł z szałasu, żeby wprowadzić do środka zbłąkaną owcę. Przez ułamek sekundy Alan miał świadomość, że kula może trafić w chłopca, może go zabić.

Czekał. Chłopiec patrzył w ich stronę, kierując się odgłosem wystrzału, i Alan czekał, aż drgnie gwałtownie lub upadnie.

Ale chłopak nie upadł. Nie został trafiony. Pomachał ręką.

Z walącym jak młot sercem Alan odsunął karabin od policzka i położył obok siebie na kamieniu. Nie chciał oglądać tego chłopca, nie chciał też, by chłopiec widział jego twarz, więc odwrócił się plecami do zagrody. I wtedy zobaczył tych mężczyzn.

Był wśród nich Jusuf i jego młodzi kuzyni oraz człowiek, który wcześniej pytał Alana, czy jada zwierzęta lub ludzi, a także mężczyzna, któremu powiedział, że pracuje dla CIA. Wszyscy stali z bronią przy boku. Wszyscy widzieli, jak Alan strzelił z karabinu do pastuszka, i żaden nie wyglądał na zaskoczonego.

Podczas jazdy do domu Jusuf siedział z Alanem w kabinie furgonetki. Milczeli, dopóki nie dotarli do twierdzy i nie weszli do środka.

– Powinieneś się trochę przespać – rzekł Jusuf.

Zaprowadził Alana do pokoju.

– Przepraszam – powiedział Alan.

– Sprowadzę samochód, który zawiezie cię rano z powrotem.

- Dobrze.
- Dobranoc – rzucił Jusuf i zamknął drzwi.

Alan nie spał. Próbował uspokoić myśli, ale stale wracał do tego, czego omal nie zrobił. Mało brakowało, by zastrzelił człowieka, ponieważ od lat lub nigdy niczego nie dokonał, ponieważ nigdy nie odznaczył się walecznością, ponieważ jego próby stworzenia czegoś trwałego się nie powiodły.

Mniej więcej o świcie przyjechał jakiś samochód.

Alan wyszedł przed dom, gdzie już czekał Jusuf.

- To jest Adnan, odwiezie cię do Dżuddy.

Adnan nie wysiadł z auta, wyglądał na zmęczonego i niezadowolonego. Jusuf otworzył tylne drzwi i Alan wsiadł do środka.

- Przykro mi – powiedział.
- Wiem – odparł Jusuf.
- Twoja przyjaźń jest dla mnie ważna.
- Daj mi trochę czasu. Muszę sobie przypomnieć, co w tobie lubię.

Alan usiłował spać podczas jazdy, ale nie mógł. Zamykał oczy w białym słońcu i widział jedynie twarz tego chłopca, twarze mężczyzn, łagodną minę Jusufa w chwili gdy odwrócił się od zagrody i zobaczył ich wszystkich. Wyraz twarzy świadczący, że potwierdziły się jego podejrzenia.

Kiedy jednak wróci do Dżuddy, zobaczy się z doktor Hakem, która go zoperuje. Wtedy się dowie, co mu jest, a ona będzie mogła to z niego wyrwać.

XXIX

Alan leżał nagi pod cienkim niebieskim fartuchem w poczekalni saudyjskiego szpitala, o którym nic nie wiedział. Niebawem mieli mu usunąć z karku narośl, wciąż, jak podejrzewał, połączoną z jego kręgosłupem i wysysającą zeń istotną część ducha, woli i umiejętności oceny sytuacji.

Leżąc na szpitalnym łóżku w białym pomieszczeniu, Alan cieszył się, że jest daleko od górskiej twierdzy. Odkąd ją opuścił, całymi dniami i nocami zadawał sobie pytanie: Co ja zrobiłem?

Odpowiedź brzmiała: Nic. Nie zrobił niczego. Ta świadomość przynosiła jednak tylko niewielką ulgę. Prawdziwą ulgę miała mu przynieść doktor Hakem.

Znajdował się w Szpitalu Specjalistycznym i Centrum Badawczym im. króla Fajsala. Przyjęto go i poproszono, by się rozebrał i włożył swoje rzeczy do foliowego worka. Teraz siedział zziębnięty na łóżku, w cienkim jak papier fartuchu, patrzył na swój dobytek, czytał informacje na otrzymanej plastikowej bransoletce i spoglądał za okno, zastanawiając się, czy to moment zwrotny, po którym stanie się człowiekiem chorym i umierającym.

Czekał w pustym pomieszczeniu przez dwadzieścia minut. Potem czterdzieści.

– Witam!

Alan uniósł wzrok. Do poczekalni wszedł jakiś mężczyzna pchający przed sobą wózek, który ustawił obok łóżka.

– Tak, teraz – rzekł i pokazał, że Alan powinien się na niego przesiąść.

Alan przeniósł się na wózek i wtedy sanitariusz, chyba Filipińczyk, okrył go starannie kocem.

– Gotowe – stwierdził i opuścili poczekalnię. Przemierzyli dwanaście szarych korytarzy, zanim w końcu dotarli do skromnego pokoju z szynowym oświetleniem i pomalowanymi na jasnoniebiesko ścianami z pustaków. Nie spodziewał się stołu operacyjnego, ale go zobaczył i Alana poproszono, by się na nim położył. Przewidywał, że trafi do czegoś w rodzaju gabinetu dentystycznego – małego, prywatnego, niewiele różniącego się od pomieszczenia, w którym przyjmowała go doktor Hakem. Teraz się obawiał, że sytuacja się skomplikowała. Znowu miał uczucie, że jego lęk nie jest bezpodstawny: to wszystko dowodziło, że guz na jego karku to coś bardzo poważnego, a skutki operacji mają zasadnicze znaczenie dla jego zdrowia.

Tylko gdzie podziała się doktor Hakem? W pokoju była tylko jedna osoba: stojący w kącie mężczyzna w stroju medycznym, chyba Saudyjczyk. Patrzył na Alana z wyrazem nadziei w oczach, jakby sądził, że człowiek na wózku jest jego przyjacielem. Spostrzegłszy, że to tylko Alan, zrobił zawiedzioną minę i uśmiechnął się szyderczo. Zdjął rękawiczki, wrzucił je do kubła i wyszedł. Alan znowu został sam.

Niedługo potem otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody Azjata pchający przed sobą jakąś maszynę na kółkach. Skinął głową, wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzekł:

– Witam pana.

Alan się uśmiechnął i mężczyzna rozpoczął skomplikowany proces przygotowania urządzenia do pracy.

– Jest pan anestezjologiem? – zapytał Alan.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął, oczy miał błyszczące i radosne. Ale zamiast odpowiedzieć, zaczął głośno i niemal w uniesieniu nucić jakąś melodię.

Alan się odchylił i spojrzął na sufit, ale nic z niego nie wyczytał. Zamknął oczy i po kilku sekundach uświadomił sobie, że zapada w sen. Gdyby nie szalone nucenie azjatyckiego narkotyzera, natychmiast by przysnął. Pomyślał, że ludzie umierają podczas operacji. Miał pięćdziesiąt cztery lata, wystarczająco dużo, by umrzeć, nie wywołując zbytniej konsternacji. Jego matka zmarła wskutek udaru w wieku sześćdziesięciu lat. Gdy do niego doszło, jechała samochodem przez Acton, by odwiedzić kuzynkę. Pojazd wpadł w poślizg i uderzył w słup telefoniczny, co nie spowodowało poważnych obrażeń u matki ani uszkodzeń karoserii – omal go nie wyminęła. Znalaziono ją jednak dopiero rano, a wtedy już nie żyła. Umrzeć w samotności, w środku nocy, gdzieś na poboczu. Alan dostrzegł w tym przesłanie: można mieć nadzieję na godną śmierć, ale należy spodziewać się zamętu.

– Witaj, Alanie. Jak się pan dziś czuje?

Znał ten głos. Otworzył oczy. Głowa doktor Hakem zasłaniała światło. Alan widział jedynie jej rozmazaną twarz.

– Dobrze – odparł, rozglądając się. Jakimś cudem w pokoju zaroilo się od ludzi. Naliczył sześć lub siedem osób, wszystkie były w maskach.

– Miło mi pana widzieć – powiedziała głosem, który podziałał jak zimna woda. – Do pomocy w tym zabiegu mamy tu międzynarodową grupę. To jest doktor Wei z Chin – wyjaśniła, wskazując na anestezjologa. – Znieczulił pana. Doktor Fenton przyjechał z Anglii. Będzie się przyglądał.

Przedstawiła resztę członków grupy, z Niemiec, Włoch i Rosji. Kiwali głowami; Alan widział tylko ich oczy i wszystko działo się zbyt szybko, by

zapamiętał, kto jest kim. Leżąc na wznak, okryty jedynie niebieską peleryną przywdzianą tyłem na przód, robił, co tylko mógł, by się uśmiechać i kiwać głową.

– Gdy będzie pan gotowy, proszę położyć się na brzuchu – powiedziała doktor Hakem.

Alan się odwrócił i wcisnął twarz w wykrochmaloną poduszkę pachnącą środkiem dezynfekującym. Wiedział, że jest obnażony, ale pielęgniarka natychmiast okryła mu nogi i krzyże, najpierw prześcieradłem, a potem pledem.

– Nie jest panu zimno? – upewniła się lekarka.

– Nie. Dziękuję.

– To dobrze. Może pan obrócić głowę w bok?

Alan obrócił głowę w lewo i ułożył ręce płasko na stole.

– Przygotuję teraz miejsce wokół narośli – wyjaśniła.

Poczuł, jak rozwiązuje mu pelerynę u góry, a następnie dotyka skóry czymś mokrym. Muśnięcia wacika. Strużka wody ciekąca po obojczyku.

– W porządku. Doktor Wei wstrzyknie teraz w tym miejscu środek znieczulający. Poczuj pan kilka ukłuć igłą.

Alan poczuł nagle, jak igła wchodzi w jego ciało tuż poniżej torbieli. Po chwili kolejne nakłucie z lewej strony. A potem jeszcze jedno i następne. Doktor Hakem mówiła o kilku, lecz doktor Wei zdążył już wbić igłę cztery, pięć i wreszcie sześć razy. Gdyby Alan nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałby, że Chińczyk czerpie z tego przyjemność.

– Czuje pan to? – zapytała lekarka. – Uciskam teraz torbiel.

Coś poczuł, ale zaprzeczył. Nie chciał, żeby wstrzyknięto mu zbyt dużą dawkę środka znieczulającego. Pragnął czuć jakiś ból, choćby stłumiony.

– To dobrze. Jest pan gotowy?

Odparł, że jest.

– Teraz zacznę – powiedziała.

Wyobrażał sobie rzeczy odpowiadające uciskom, które czuł, odgłosom i ruchom cieni nad sobą. Miał wrażenie, że lekarka wykonała serię niewielkich cięć. Tyle wyczytał z ruchów ręki doktor Hakem. Po każdym nacięciu drugą ręką muskała to miejsce jakimś wacikiem. Czuł go na karku. Cięcie, muśnięcie, cięcie, muśnięcie. Na drugim planie nucenie narkotyzera, a z góry piosenka wykonywana, jak mu się wydawało, przez Edith Piaf.

– W porządku. Wykonałam nacięcia – poinformowała lekarka. – Teraz może pan poczuć lekkie szarpnięcia, gdy będę usuwała torbiel. Bywa, że są z tym problemy.

I tak właśnie zrobiła: niezależnie od tego, jakie narzędzie chirurgiczne trzymała w dłoni, chwyciła nim za coś w ciele Alana i pociągnęła. Poczul potężny ucisk w piersi. Wyobraził sobie, że jakiś haczyk wchodzi mu w plecy, łapie za ciągliwą tkankę, stara się ją wydobyć i wyrwać. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie usuwano mu niczego z ciała. To było nowe i nienaturalne doświadczenie. Mój Boże, pomyślał. Jak dziwnie jest mieć w sobie czyjeś dłonie. Narzędzia, które chwytają i skrobią. Mój Boże. Alan czuł się jak wydrążony, jego ciało stanowiło jamę wypełnioną czymś mokrym, bezładnym ciągiem zakrwawionych worków i rurek. Mój Boże. Skrobanie nie ustawało. Szarpnięcie. Poczul dotyk ściereczki tamującej strużki, które spłynęły po jego karku w stronę stołu.

Alan przyrzekł sobie, że zmieni się na lepsze, jeśli tylko wyjdzie z tego żywy i bez szwanku. Będzie musiał być silniejszy. Jego matka starała się go wzmocnić, zainspirować. Czytała mu fragmenty dziennika jakiejś dalekiej krewnej, kobiety mieszkającej w lesie na terenie obecnego zachodniego Massachusetts. Widziała na własne oczy, jak Indianie mordują jej męża

i dwoje dzieci i została przez nich uprowadzona. Zanim powróciła do swoich, prawie rok mieszkała u ludzi, którzy ją porwali. Odnalazła córkę, jedyne ocalałe z napaści dziecko, i na dwustu czterdziestu hektarach ziemi w stanie Vermont stworzyły dobrze prosperującą farmę mleczną. Przetrwała srogą zimę, podczas której dach ich domu załamał się pod ciężarem śniegu i belka stropowa spadła jej na nogę, tak że wkrótce ją amputowano. Przetrwała epidemię ospy wietrznej, która zabrała jej świeżo zaręczoną córkę. Narzeczony córki przeniósł się na farmę i prowadził ją, gdy jego niedoszła teściowa zmarła w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Wolałbyś być tutaj, teraz, pytała z upodobaniem matka Alana, czy zostać uprowadzony i żyć w lesie z jedną nogą? Nie tolerowała marudzenia ani żadnej niemocy w ich dostatnim podmiejskim życiu. Czterdzieści milionów ofiar drugiej wojny światowej, przypominała. Piętnaście milionów podczas poprzedniej wojny. To na co przed chwilą tak narzekałeś?

Alan słyszał rozmowy w różnych językach. Trochę mamrotania po włosku z prawej strony. Trajkotanie po arabsku u jego stóp. I wciąż to radosne nucenie chińskiego anestezjologa. Ciekawe, że wszyscy znosili tę obłąkańczą, frenetyczną melodię i nikt nie powiedział mu ani słowa. Wydawało się, że anestezjolog jest we własnym świecie, zadowolony z siebie i tylko przelotnie zaangażowany w wykonywany w jego obecności zabieg.

– Zaraz sięgnę głębiej, Alanie – uprzedziła doktor Hakem.

Ruch narzędzia przypominał teraz grzebanie łyżką w pojemniku przez sprzedawcę lodów, obrót i do góry. Potem kolejne muśnięcia wacikiem, wycieranie krwi. Alan wyobraził sobie, że jego krew, nareszcie uwolniona, wypływa, rozlewa się po plecach.

Słyszał oddech doktor Hakem, mozolnie wyszarpującej usuwaną tkankę i muskającej wacikiem ranę. Coś raz za razem pękało z trzaskiem, jakby pokonanie oporu śluzowatej substancji w jego ciele wymagało naprawdę

dużej siły. Alan nie wykluczał, że milczenie lekarki świadczy o tym, że coś wykryła, że znalazła coś pod tkanką niegroźnego tłuszczaka. Coś czarnego, przesądzającego o jego losach.

Alan próbował skupić myśli na czymś innym. Pomyślał o morzu, o namiocie, o tym, co teraz robią jego młodzi współpracownicy. Wyobraził sobie, że dowiadują się o jego śmierci na stole operacyjnym, w pokoju ze ścianami z niebieskich pustaków. Co by powiedzieli? Że lubił długie spacerować po plaży. Że nie lubił wcześniej wstawać.

Pomyślał o Kit. O Kit samotnej, bez niego. To byłby większy kłopot. Ruby potrzebowała przeciwwagi. Rok temu, gdy córka i matka prowadziły wojnę, Alan wziął Kit ze sobą. Zabrał ją ze szkoły i pojechali na przylądek Canaveral, żeby zobaczyć start wahadłowca, któremu zostało jeszcze tylko kilka lotów.

Na dzień przed startem oprowadzono ich po wszystkich obiektach. Wszędzie dało się wyczuć nastrój ludzi z NASA – byli zasepieni, rozgoryczeni, rozlaźli i niepewni siebie. W promocyjnym filmie uparcie powtarzano, że NASA „nie tylko pakuje miliardy dolarów w rakiety i wysyła je w kosmos”.

Ich głównym przewodnikiem był mężczyzna o imieniu Norm, który niedawno skończył osiemdziesiąt lat. Pracował dla NASA od 1956 roku. Wsiadł do autobusu z laską w dłoni, zajął miejsce z przodu, wziął mikrofon i łamiącym się głosem, z mocnym teksańskim akcentem, powiedział:

– To będzie moje ostatnie oprowadzanie po centrum i cieszę się, że jestem tu z wami.

Kit mówiła przez cały czas, jak zawsze gdy byli razem. Spędzili wiele godzin w autobusie, w drodze do ośrodka lotów i z powrotem, w drodze na punkt obserwacyjny i z powrotem, w sumie chyba z dziesięć godzin, i poruszyli wszystkie tematy. Mówiła o swojej szalonej współlokatorce, o pięknym kampusie, w którym jednak nic się nie działo, o tym, że musi

szybko znaleźć jakichś przyjaciół, ponieważ czuje się wykorzeniona i wyobcowana. Alan, jak zawsze, próbował ją uspokoić.

– Jestem okiem na niebie – powiedział. – Widzę, gdzie zaczęłaś i dokąd zmierzasz, i z tej perspektywy wygląda to doskonale. – Posługiwał się tą metaforą, odkąd poszła do gimnazjum. Lada moment staniesz u celu. Staniesz u celu.

Norm zabrał ich do hangaru, w którym mechanicy naprawiali i przygotowywali wahadłowce, przed i po zakończeniu lotu. Atlantis stał w środku, szykowany do ostatniego startu, ostatniego z ostatnich. W całym ośrodku roiło się od zaaferowanych turystów, ale Norm był ponury.

– Nie mogę dłużej oprowadzać wycieczek – powiedział. – Nie chcę być człowiekiem, który mówi: „K i e d y ś robiliśmy to, k i e d y ś robiliśmy tamto”.

Większość pracowników NASA, których spotkali w tamten weekend, miała niebawem stracić pracę. Niespodziewanie dla Alana nie byli wyniosłymi technokratami. Okazało się, że to równi goście, szybko wpadający w zadumę, odpływający gdzieś myślami, gdy opisywali jakiś lot, pogodę panującą w dniu, gdy wahadłowiec przemknął jak strzała przez dziurę w chmurach.

Coś przeszło mu klatkę piersiową. Miał wrażenie, że to podkład kolejowy, gruby i tępy. Napiął wszystkie mięśnie.

– Przepraszam, Alanie – powiedziała doktor Hakem.

Ból stał się mniej przenikliwy. Ruchy narzędzia odzyskały pewien niezawodny w swoim uporządkowaniu rytm. Wybieranie, skrobanie, wyrywanie, a potem chwila ulgi po, jak przypuszczał, usunięciu części tkanki. Następnie muśnięcie wacikiem, przerwa i kolejne wydrążenie.

Ciekawie było wcielić się w rolę zwłok, przedmiotu eksperymentu. Kto powiedział, że człowiek jest istotą materialną? Czuł, że w tym wcieleniu nie zasługuje na to miano.

Wieczorem w hotelu w Orlando jedli przekąski z automatów i oglądali filmy, starając się nie rozmawiać o Ruby, o przyszłości z nią, przeszłości z nią i jej pokiereszowanej duszy.

Rano pojechali autobusem do Banana Beach, najbliższego miejsca, z którego można było oglądać start. Wszystko tam, wszystko, co miało związek z NASA, było już rozebrane i wyglądało nędznie. Ogrodzenia rdzewiały, chodnik był popękany. Ale z drugiego brzegu rzeki miał wystartować statek kosmiczny i opuścić ziemię z hukiem sztucznego pioruna.

Czekając na start, poznali prawdziwego astronautę, Mike'a Massimina, który znalazł się tam z córką. Był zabawny, otwarty i skromny. Odbył loty w dwóch wahadłowcach, w tym pierwszy po katastrofie Columbi, która rozpadła się przy wejściu w atmosferę. Mike, schludny, siwowłosy i mocno zbudowany, wyglądał w swoim jasnoniebieskim jednocześnie jak astronauta, ale był wyższy niż przeciętny człowiek, miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, rzymski nos oraz mocny akcent mieszkańca Long Island. Opowiadał o spacerze w przestrzeni kosmicznej przy okazji naprawy teleskopu Hubble'a, o osiemnastu zachodach i wschodach słońca w ciągu doby, o tym, jak utrudniało to życie wyznawcom pewnych religii – poranne, popołudniowe, wieczorne modlitwy, ciężka sytuacja. Ale korzystna dla katolika, zauważył. Księża chcą jedynie, byś meldował się mniej więcej raz w tygodniu.

Kit się roześmiała. Massimino mówił o tym, że gwiazdy oglądane z przestrzeni kosmicznej nie migoczą, że bez filtra atmosfery stanowią idealne punkty świetlne. Opowiadał, że chcąc je lepiej widzieć, jego załoga w rzadkich chwilach przestoju gasiła wszystkie lampy w wahadłowcu. W NASA nie brakowało romantyków.

Teraz doktor Hakem sięgała głębiej. Alan się skrzywił, jego ciało gwałtownie drgnęło.

- Alanie? – Głos lekarki wyrażał niepokój i zaskoczenie.
- Nic mi nie jest – odparł.
- Poproszę doktora Porickowa, by pomógł pana unieruchomić.

Alan mruknął na znak zgody i wkrótce poczuł się tak, jakby na głowie spoczęło mu całe męskie przedramię. Nacisk był potężny, zdecydowanie zbyt silny jak na cel, któremu miał służyć. Alan usiłował przesunąć głowę, by trochę go zmniejszyć, ale na nic się to nie zdało.

Doktor Hakem dalej skrobała i wyszarpywała skrawki tkanki i ból się nasilił. Tylko idiota prosi o mniejszą dawkę środka znieczulającego. Było za późno na korektę. Wytrzyma. Musiał przez to przebrnąć. Jego ojciec śmiałyby się z tej dolegliwości i chciałby mu pokazać odłamek, który sześćdziesiąt lat po wojnie wciąż tkwił mu w krzyżu. Alana nie opuszczała świadomość różnicy między tym, czego sam już był lub dopiero będzie świadkiem i co sam wycierpiał lub kiedyś wycierpi, a tym, co widział i co wycierpiał jego ojciec. Nie mógł nawet wyrównać tego rachunku.

– Alanie? Nic panu nie jest?

Mruknął, że czuje się znakomicie.

Teraz ujrzał nocne niebo. Może umierał. Umierał, słysząc nucenie tego szalonego Azjaty. Co to była za melodia?

Miał wrażenie, że nacisk na jego głowę się zwiększył. Wydawało się, że Rosjanin stara się, jak może. Niech ciśnie. Alan potrafił sobie z tym poradzić. Zmusił się do tego, by się odciąć, porzucić swoje zaatakowane ciało.

Alan nigdy dotąd nie został dźgnięty nożem ani postrzelony, nigdy nie nakłuwano mu skóry i niczego sobie nie złamał. Czy blizny stanowiły najlepszy dowód, że się żyło? Jeśli czegoś nie przeżyliśmy i tym samym nie

byliśmy pewni, że żyliśmy, moglibyśmy sami się okaleczyć, prawda? Czy tak brzmiała odpowiedź dla Ruby?

– Nadal jest pan z nami, Alanie?

– Tak – rzucił w kierunku podłogi.

Nacisk przedramienia się zwiększył. Tego było już za wiele.

– Może pani powiedzieć człowiekowi, który mnie przygniata, żeby zmniejszył ucisk?

Nacisk zelżał, a zdziwiony mężczyzna coś mruknął. Jakby nie wiedział, co robi.

Alan poczuł ogromną ulgę.

Przy poprzednich startach wahadłowców zdarzały się opóźnienia. Ludzie zjeżdżali się ze wszystkich stron świata, a start przekładano przez wiele dni czy tygodni. Tym razem jednak na miejscu byli Alan i Kit, stali na aluminiowych podestach z setkami innych osób, obserwowali odliczanie, spodziewając się, że zostanie przerwane. Że odroczą start. Wydawało się, że odliczając, mówią: Popełniliśmy już tyle błędów, że nie możemy zrobić kolejnego. Ale odliczali dalej. Alan trzymał Kit za rękę. Jeśli do tego dojdzie, pomyślał, jestem dobrym ojcem. Jeśli pokażę jej start wahadłowca, to będzie oznaczać, że czegoś dokonałem.

Odliczanie trwało. Gdy doszli do dziewięciu, miał już pewność, że nastąpi, ale i tak nie mógł w to uwierzyć. Potem jeden i zero. W tym momencie znajdujący się kilka kilometrów dalej, na drugim brzegu Banana River, wahadłowiec oderwał się bezgłośnie od ziemi. Zupełna cisza, tylko żółte światło pchające go w górę; i dopiero wtedy, gdy wydawało się, że jest w połowie drogi do chmur, powietrze pękło z trzaskiem.

– Tato.

– Grom dźwiękowy.

Kiedy wahadłowiec zniknął za zasłoną z białych obłoków, Alan uronił kilka łez, a Kit się uśmiechnęła, widząc, że płacze. Potem rozglądał się

gorączkowo za Massiminem, by zaproponować mu pomoc we wszystkim, czego astronauta potrzebował. Sprzedawałem rowery, powiedziałby mu. Sprzedawałem kapitalizm komunistom. Pozwólcie, bym sprzedał ten wahadłowiec. Pomogę wam dotrzeć na Marsa. Dajcie mi coś do roboty.

Nie znalazł jednak Massimina. Po starcie parking zapełnił się ludźmi i wszyscy byli bardzo szczęśliwi, ogromnie dumni, wiele osób płakało, wiedząc, że to już koniec i że drogi będą zapchane i powrót do hoteli zajmie im cały dzień.

– Alanie?

Próbował powiedzieć „Słucham”, ale wydał z siebie jedynie świszczący oddech.

– Teraz cię zaszycemy. Wszystko poszło dobrze. Usunęliśmy go w całości.

XXX

Godzinę później był w tym samym pomieszczeniu, gdzie się wcześniej rozbierał, i wyciągał ubranie z foliowego worka, w którym je upchnął. Gdy sznurował buty, weszła doktor Hakem. Usiadła na stołku naprzeciwko Alana i powiedziała:

– Cóż, zabieg okazał się trochę trudniejszy, niż się spodziewałam. To ciężkie przeżycie. Czuje się pan teraz lepiej?

– Co ma pani na myśli?

– Świadomość, że to był tłuszczak i nic więcej.

– Chyba tak. Jest pani pewna, że nie był przyklejony do rdzenia kręgowego, że nic podobnego się nie stało?

– Nie. Nie miał żadnego wpływu na układ nerwowy.

Alan poczuł ulgę, ale z drugiej strony jego dezorientacja tylko się pogłębiła. Skoro guz nie był połączony z kręgosłupem i nie wpędzał go w depresję, to jak można ją było wyjaśnić?

– Jak się pan czuje? Boli pana?

Alan czuł się słaby, oszołomiony i zdezorientowany. Ból był dość ostry.

– Czuję się dobrze – skłamał. – A jak p a n i się miewa?

Lekarka się roześmiała.

– Świetnie – odparła i wstała.

Alan jednak nie chciał, by odeszła. Czuł, że powinien zatrzymać ją jeszcze na kilka minut.

– Odniosłem wrażenie, że pozostali lekarze naprawdę panią szanują.

– Cóż, mamy na oddziale zgrany zespół. W każdym razie większość jest taka.

- Czekają panią następne operacje?
- Słucham?
- Dzisiaj. Ma pani jeszcze jakieś zabiegi czy...?
- Zadaje pan mnóstwo pytań, Alanie.

Lubił, gdy wypowiadała jego imię.

- Mam tylko kilka konsultacji – odparła. – Już bez żadnych zabiegów.

Alan spojrzał na jej paznokcie u rąk, krótkie i nierówne.

- Czy to stresujące zajęcie? – zapytał niepewnie.

Spodziewał się, że lekarka wyjdzie, wykończona jego nedorzeczną paplaniną, ale kobieta złagodniała i usiadła z powrotem na stołku. Może uznała to za część relacji między lekarzem a pacjentem, może uświadomiła sobie, że musi to zrobić.

– Och, dawniej tak było. Gdy pracowałam na oddziale ratunkowym. Teraz tylko czasami.

- Kiedy?

I znowu przez chwilę jej twarz wydawała się mówić: „Czy my naprawdę nadal rozmawiamy?”.

– Kiedy? Chyba wtedy, gdy myślę, że jestem na granicy swoich możliwości.

- Nie w przypadku tłuszczaka.

Lekarka się uśmiechnęła.

– Nie, nie. Raczej przy tracheotomii. Nie chcę jej wykonywać. Gdy byłam rezydentem, podczas takiego zabiegu popełniłam kilka błędów. I na ogół się denerwuję. Gdy denerwuję się za bardzo, wpadam w spiralę.

- W spiralę.

- W lekką spiralę zwątpienia w siebie. Zdarza się to panu?

Jak bardzo się odkryć? Mógłby przecież mówić o tym całymi dniami.

- Owszem – odparł zadowolony, że się powstrzymał.

- Potrzebuje pan czegoś przeciwbólowego?

– Nie, dziękuję.

– Ma pan aspirynę? Tylenol?

– Mam.

– Niech pan go zażyje choćby z uwagi na obrzęk.

Wstała, żeby wyjść. Alan zeskoczył z łóżka.

– Jestem bardzo wdzięczny – powiedział, wyciągając rękę.

Hakem uścisnęła mu dłoń.

– Cóż, bardzo mi miło.

Spojrzał jej w oczy, zatrzymując na nich przez moment wzrok. W ich kącikach było coś delikatnego, opadająca linia świadcząca o tym, że ta kobieta widziała okropne rzeczy i była przygotowana na kolejne.

– Chciałem powiedzieć, że uważam, że jest pani bardzo silna. Wiem, że zajmowanie się tym, czym się pani zajmuje, tutaj, w tym kraju, nie może być łatwe.

Lekarka się odprężyła i odparła:

– Dziękuję, Alanie. To dla mnie wiele znaczy.

– Zobaczę panią jeszcze?

– Słucham?

– Na wizycie kontrolnej.

– Och. Oczywiście. – Wydawało się, że pomyślała o czymś innym. – Za mniej więcej dziesięć dni możemy to obejrzeć. Upewnić się, czy szwy się rozpuściły i w ogóle. Jeśli tymczasem coś wyniknie, może pan do mnie zadzwonić.

Wręczyła mu służbową wizytówkę z zapisanym numerem telefonu. Po czym wyszła z pokoju na paluszkach, jakby Alan spał, a ona bała się go obudzić.

XXXI

Każdego z trzech pierwszych dni po operacji Alan budził się o wymaganej porze, tak aby zdążyć zjeść i ubrać się przed odjazdem mikrobusu, którym jeździł do miejsca, gdzie z Bradem, Cayley i Rachel mieli robić prezentację. I codziennie czekali w komplecie, gotowi do pracy; jego młodzi współpracownicy spędzali czas przy laptopach, na grze w karty lub śpiąc. Jusuf dzwonił kilka razy z gór, gdzie został, przekonany, że jego nieobecność w Dżuddzie ma pozytywne skutki. Groźby stawały się rzadsze. Alan namawiał go, by został tam do czasu, aż jego prześladowcy uznają, że nie żyje bądź wyjechał z kraju. I codziennie o piątej Alan oraz trójka młodych ludzi wsiadali do mikrobusu i wracali do hotelu, gdzie Alan jadł i bez trudu zasypiał. W tym czasie wydarzyły się jednak nowe rzeczy.

Pewnego dnia, spędziwszy popołudnie na brzegu morza, Alan wrócił do namiotu i stwierdził, że trójka młodych ludzi posnęła, wszyscy na długiej białej kanapie, tym razem w nowym układzie. Na jednym końcu kanapy leżeli Brad i Rachel; wyglądała jak rzucone na niego okrycie. Cayley położyła głowę na drugim końcu sofy, złożyła ręce jak dziecko i wsunęła je pod policzek, a nogi splotła z nogami Brada. Alan wolał nie wyobrażać sobie, co się stało lub co mogło się stać, i postanowił ich nie budzić.

Pewnego wieczoru w hotelu napisał do doktor Hakem e-mail z podziękowaniami; wiedział, że to kiepski pomysł, ale nie miał przecież nic do stracenia. Sprawy przybrały jednak zaskakujący dla niego obrót, bo lekarka odpisała.

Drogi Alanie,

tak samo jak Pan ucieszyłam się, że tłuszczak okazał się tylko tłuszczakiem. Byłam tego pewna, ale kilka pytań nie dawało mi spokoju. Teraz, gdy jest Pan już zdrowy i nie stoi w obliczu rychłej śmierci, mam nadzieję, że spotkam Pana pewnego dnia w Dżuddzie. Mam też nadzieję, że świadomość, że nie umiera Pan wskutek złośliwego guza, poprawia Panu nastrój!

Ha, ha, ha!

Dr Zahra Hakem

Większość następnego dnia Alan spędził nad morzem, zastanawiając się nad odpowiedzią, czymś inteligentnym i dowcipnym, co mogłoby posunąć sprawy naprzód. Zakładał, że to także jest niemożliwe.

Droga Pani Doktor,

nastrój mi się poprawił – może nawet za bardzo? Czuję się trochę oszołomiony. Przyczyna jest dość zagadkowa, ale wyczuwam na plecach dziwny, nowy guz. Nie jestem lekarzem, ale odnoszę wrażenie, że to gumowa rękawiczka. Czy to możliwe, że zostawiła ją Pani we mnie? Czasami ludzie zostawiają takie rzeczy u kogoś, kogo darzą sympatią, w nadziei, że konieczność ich odbioru zapewni pretekst do ponownego spotkania.

Pani Alan

Wiedział, że list jest śmiały, ale gdy pisał te słowa, nabrał dziwnej pewności, że lekarka chce się z nim znowu zobaczyć, i miał rację.

Drogi Alanie,

rzeczywiście mogłam coś zostawić. Może wacik? A może kawałek tego, co podjadałam podczas zabiegu? Wszyscy coś podjadaliśmy, więc nie mam pewności. Chyba muszę się z Panem znowu zobaczyć. Może poza szpitalem? Przecież nie chcemy niepokoić Pańskiego ubezpieczyciela.

Dr Zahra

E-mail przyszedł wieczorem, zbyt późno, by można go było uznać bez wahania za oficjalny list od lekarza, więc pisali do siebie przez wiele godzin, dopóki nie ustalili, że spotkają się osobiście. Alan nie miał pojęcia, jak można to zrobić w Królestwie Arabii Saudyjskiej, i pozostawił planowanie doktor Hakem.

„Przyjadę po Ciebie w środę – napisała. – W południe. Wypatruj SUV-a. Zapiszę Twoje inicjały na kartce, która będzie na przedniej szybie”.

Następnego dnia Alan nie mógł usiedzieć w namiocie, a spacerowanie po plaży mu nie wystarczało. Wyszedł więc na ulicę, mijając raz po raz ludzi w kombinezonach i kiwając do nich głową jak brygadzysta. Chodził godzinami po pustych drogach, z każdym kilometrem czując przyływ świeżej energii. W końcu wrócił i odnalazł kanał, po którym płynął niedawno jachtem. Spacerował przez pewien czas wzdłuż brzegu, oniemiały z powodu przejrzystości wody i jej koloru. Pośród pyłu i fundamentów budynków, które mogły nigdy nie powstać, oraz bezustannie usiłującego to wszystko pochłonąć piasku biegła nieskazitelna niebieska w nieracjonalnym, niepotrzebnym kolorze turkus. Ta barwa nie była dziełem ludzi, ale pojawiła się tu dzięki nim. Zbudowano coś i popłynęła tamtędy woda, tak więc ludzie wnieśli oszałamiające piękno do miejsca, w którym nie powinno go być.

Alan długo spacerował wzdłuż niepotrzebnie niebieskiego kanału i gdy wrócił do namiotu, nieszczerze zaskoczył go widok Rachel siedzącej Bradowi na kolanach; oboje byli zwróceny do siebie twarzami, złani potem, a ich usta usiłowały połączyć się wzajemnie, gdy tymczasem niecałe sześć metrów dalej Cayley pracowała zawzięcie na swoim laptopie.

Zauważyła stojącego w wejściu Alana i pomachała mu, ale Brad i Rachel nie zamierzali przerwać amorów. Spojrzeli na niego, żeby się przekonać,

czy ma zamiar zostać. Nie interesowało go, co robią, a nazajutrz był weekend i Zahra miała go zawieźć na lunch do nadmorskiego domu swojego brata, więc nie widział powodu, by się wtrącać. Wyszedł z namiotu i do końca dnia dalej spacerował.

XXXII

Olbrzymi SUV skręcił na hotelowy podjazd. W jego lśniącej obsydianowej karoserii odbijały się wszystkie okna i światła Hiltona. Za przednią szybą Alan dostrzegł swoje inicjały, AC – wyglądały jak reklama klimatyzacji. Uśmiechnął się i wtedy otworzyły się tylne drzwi samochodu.

Najpierw ujrzał jej nogi. Miała na sobie abaję, lecz kostki i stopy, w szpilkach z odkrytą piętą, były na widoku. Uniósł wzrok i zobaczył, że Zahra uśmiecha się do niego, a na jej twarzy maluje się rozbawienie.

Wsiadł do auta na oczach kilkunastu boyów hotelowych; dla wszystkich był człowiekiem z Zachodu zaproszonym do samochodu Saudyjki. Jak to tutaj funkcjonowało?

Alan zamknął drzwi i w SUV-ie zrobiło się bardzo ciemno. Powitał kierowcę uśmiechem i skinieniem głową, po czym objechali hotelowe rondo, minęli wartownika na dachu humvee i wyjechali na autostradę.

Zahra miała na włosach luźną chustę, ale jej twarz była odsłonięta. W złotym świetle jej oczy, podkreślone równym paskiem niebieskiego cienia do powiek, wyglądały na większe i bardziej brązowe niż wcześniej w szpitalu. Włosy, jej zdaniem niesforne, były tak gęste, że wydawało się, że nie zostały ufryzowane, ale ktoś je wyrzeźbił. Z przodu jednak zwisały wymagające rozchylenia zasłony. Zahra zrobiła to znowu, dwoma palcami, ponownie odkrywając twarz.

Alan chciał powiedzieć coś istotnego. Pragnął wyrazić wiele rzeczy, ale wszystko wymagało ocenzurowania. Cóż mógł jej wyznać w obecności kierowcy?

– Jak tam KAEC? – zapytała Zahra.

Podobnie jak Jusuf uważała za zabawne, ile nadziei Alan pokładał w przyszłym mieście. Słowo „KAEC” wymówiła tonem sugerującym, że uważa ten projekt za niewydarzony i głupi, że odrywa on ludzi od bardziej istotnych spraw.

– Chyba świetnie. Posuwają się naprzód.

Przyjęła to ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Naprawdę – zapewnił. – To wymaga czasu.

– M n ó s t w a czasu – dodała.

Pędzili przez miasto, wśród połyskujących galerii handlowych i posesji otoczonych wysokim murem. Kierowca wskazał okno i rzucił przez ramię kilka słów.

– Mówi, że to dom saudyjskiego Maradony. Myśli, że nas to obchodzi. Obchodzi cię?

Alan nie potrafił zgadnąć, o którym domu mówił kierowca, ale znajdowali się w dziwnej, choć typowej dla Dżuddy okolicy, gdzie z jednej strony drogi znajdowały się ogrodzone murem posesje z ekstrawaganckimi, wartymi krocie domami w pastelowych kolorach, a naprzeciwko rozległe puste działki, na które setki wywrotek zwały odpady budowlane. Wszędzie stały równe sterty gruzu. Alan pomyślał, że zapyta o to, ale doszedł do wniosku, że Zahra uzna takie pytanie za obraźliwe. Nie miał pojęcia, na ile dumna jest ze swojego kraju, o ile Arabia Saudyjska nim była. Nadal tego nie wiedział.

– Wody?

Dwie szklanki z wodą spoczywały zgrabnie w uchwytach na napoje.

Alan wypił łyk.

– Dobra? – zapytała Zahra.

– Dziękuję.

Zahra uniosła swą szklanę do ust i przymknęła oczy, a gdy Alan to zobaczył, głowę zasypała mu lawina dzikich myśli. Zahra odstawiła szklanę, szybko łapiąc językiem spływającą kroplę.

– Jazda potrwa ponad godzinę – powiedziała. – Zanim dotrzemy na miejsce, będziemy wiedzieć o sobie nawzajem wszystko, co najważniejsze.

W zasadzie okazało się to prawdą. Zahra opowiedziała mu o szkole średniej w Genewie. O dawnym chłopaku, który próbował właśnie obalić rząd w Tunezji. O czasach gdy próbowała LSD. O pracy dla Islamic Relief w obozach dla uchodźców w Kurdystanie. O roku w szpitalu w Kabulu. Słuchając jej, Alan czuł się jak przedstawiciel mniej potrzebnego gatunku.

– A więc zamierzasz spotkać się z królem – podsumowała.

Alan miał nadzieję, że Zahra będzie pod wrażeniem.

– Taki jest plan.

– Będziesz zatem osobiście prezentował waszą ofertę Abdullahowi czy...?

Alan żałował, że nie może tego potwierdzić, był jednak zbyt dobrze wyćwiczony w umniejszaniu własnej wartości, więc odparł:

– Będę częścią zespołu. Tak naprawdę słabo się orientuję w kwestiach technicznych. Jestem tu, ponieważ znam jego bratanka. A raczej znałem.

– A z kim rywalizujecie?

– Nie wiem. W tej chwili jesteśmy jedyną ekipą w tym namiocie.

– W namiocie?

– Nie pytaj.

– Nie będę.

Zahra odwróciła się do okna, jakby szukała tam inspiracji.

– Teraz, gdy Chińczycy zaczęli kupować więcej królewskiej ropy, sytuacja będzie interesująca.

Alan o tym nie wiedział.

– I zastanawiam się – ciągnęła – czy za tym pójdzie cała reszta. Ciekawe, czy Abdullah i jego ekipa zmieniają nagle front? Może przestaliście być faworytami w tym wyścigu.

Alan nagle przeniósł się myślami daleko od tego samochodu, od Zahry. Szybko znalazł się w pokoju w Bostonie, na spotkaniu z Erikiem Ingvallem, który pytał, co się stało, dlaczego tego nie przewidział i nie wziął pod uwagę. Potem pojawiła się myśl o Kit i jej studiach. I o pieniądzach, które był winien wszystkim znajomym.

– Przykro mi – powiedziała Zahra. – Nie martw się. Jestem pewna, że nie macie się czego obawiać. Na pewno jeszcze przez k i l k a lat będziecie traktowani w sposób uprzywilejowany.

Uśmiechała się figlarnie, stukając palcem wskazującym o brzeg szklanki. A może miała rację? Nikt nie był w stanie pokonać Relianta ceną ani rozwiązaniami technologicznymi. Kto jeszcze dysponował możliwością transmisji holograficznej? W rzeczywistości Alan nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Przepraszam, Alanie. Przeze mnie się martwisz.

– Nie, wcale nie.

– Nagle wydałeś się strapiony.

– Nie, nie. Przepraszam.

– Znasz królewskiego bratanka. To na pewno pomaga. Wiem, że Abdullah jest bardzo lojalny. I lepiej, żeby każdy, kto robi interesy w Królestwie, znał kilku członków rodziny panującej.

Zaczęli rozmawiać o Abdullahu, którego Zahra darzyła większą sympatią niż monarchów panujących przed nim. Alan wspomniał coś o tym, że chyba dobrze jest mieć na tronie reformatora, i po chwili uświadomił sobie, że przyrównuje Abdullaha do Gorbaczowa i de Klerka. Gdy umilkł, zrozumiał,

że się zagalopował, ale Zahra postanowiła przeskoczyć nad chaosem jego błędnych wyobrażeń na zupełnie inny temat.

– Mam dzieci – powiedziała.

– Tak przypuszczałem.

– Przypuszczałeś?

– Może inaczej... Nie wykluczałem takiej możliwości.

– Pomyślałam, że dostrzegłeś coś w moich biodrach. Jak ludzie, którzy umieją to wywnioskować z tego, jak kobieta chodzi.

– Nie jestem aż tak bystry.

– Są już nastoletnie. Mieszkają ze mną.

– Jak mają na imię?

– Raina i Mustafa. Ona ma szesnaście lat, on czternaście. Staram się nie dopuścić do tego, by mój syn stał się takim dupkiem, jak jego ojciec. Możesz mi coś doradzić?

– Mówi ci cokolwiek?

– A ty mówiłeś swojej matce?

Nie mówił. Z kim rozmawiają młodzi mężczyźni? Zwykle nie mają z kim rozmawiać, a nawet gdy mają, nie wiedzą, co ani jak powiedzieć. I właśnie dlatego są sprawcami większości przestępstw.

– Zabierz go gdzieś sama. Na przykład na biwak.

Śmiech Zahry przeciął powietrze jak nóż.

– Nie mogę zabrać mojego syna na biwak, Alanie. Ludzie tutaj nie jeżdżą pod namiot. Nie mieszkamy w Maine.

– Nie jeździecie na pustynię?

Zahra westchnęła.

– Przypuszczam, że niektórzy to robią. Chłopcy jeżdżą, by ścigać się samochodami. Rozbijają je i wtedy lądują na oddziale ratunkowym. Uratowałam tam dwóch takich. Ale większość umiera.

Alan przyznał, że coś o tym słyszał.

- Od twojego przewodnika?
- Od Jusufa. To wspaniały chłopak.
- I nie ma tu nic do roboty.
- Tak właśnie twierdzi.

Zahra odsunęła zasłony swoich włosów i tym razem, ponieważ siedzieli w samochodzie, podróżowali wzdłuż wybrzeża, a na zewnątrz świeciło słońce i do środka wpadały smugi słonecznego światła, na chwilę zaparło mu dech.

- Co? – zapytała.
- Alan uśmiechnął się pod nosem.
- Śmiejesz się z tego, co robię z włosami. Mój mąż się ze mnie nabijał.
 - Nie, nie. Mnie się to podoba.
 - Przestań.
 - Naprawdę. Nie masz pojęcia, jak bardzo.
- Zahra skrzywiła usta w wyrazie lekkiego niedowierzania.

Droga wiła się wzdłuż wybrzeża. Alan miał wrażenie, że można skosztować i dotknąć otaczającego ich słonecznego światła. Bardzo mu się to wszystko podobało; podobały mu się połączenie niezabudowanego terenu ze stertami śmieci. Bardzo podobał mu się wydział medycyny z kolegium kobiecym i kolegium męskim – w dwóch skrzydłach tego samego budynku, przypominającego trochę Monticello.

- To niemal komiczne, prawda? – zauważyła.
 - Jest w tym pewna klarowność.
- Zahra się roześmiała, po czym znowu mu się przyjrzała.
- Nie powinieneś się denerwować.
 - Wyglądam na zdenerwowanego? – Był tylko zachwycony.
 - Nie chcesz na mnie patrzeć.

– Po prostu oglądałem krajobraz. Przypomina mi wiele innych wybrzeży. Różowe domy z cegły suszonej na słońcu. Białe jachty.

Rozsiadł się wygodnie i obserwował przesuające się za oknem morze z rozpiętym wzdłuż brzegu łańcuszkiem zbielejących domów.

– Skąd pochodzisz? – zapytał.

– Chodzi ci o to, skąd pochodzą moi rodzice? I dziadkowie?

Alan wiedział, że będzie to niespotykana kombinacja narodowościowa.

– Chyba tak. Czy to dziwne, że o to pytam?

– Nie, nie. Tak naprawdę mają korzenie wszędzie. Tutaj, w Libanie. Trochę krwi arabskiej, ale już moja babka była Szwajcarką, a jeden z pradziadków Grekiem. Płynie we mnie trochę krwi holenderskiej i oczywiście mam wielu krewnych w Wielkiej Brytanii. Mam w sobie wszystko.

– Też bym tak chciał.

– Chyba już masz.

– Za mało wiem na ten temat.

– Przecież możesz się dowiedzieć, Alanie.

– Wiem, wiem. Chcę odkryć, skąd wszyscy pochodzą. Z obu stron. Zamierzam się rozpytać.

Zahra się uśmiechnęła.

– Chyba już pora – zauważyła, po czym uświadamiając sobie, że mogło to zabrzmieć jak przygana, dodała: – Przecież masz mnóstwo czasu.

Alan wcale nie czuł się obrażony. Całkowicie się z nią zgadzał.

– Jak myślisz, co powiedziałyby na to nasze dzieci? – zapytał Alan.

– Masz na myśli siebie i mnie? Ze względu na to, że stanowimy jakby uosobienie wielkiego zderzenia cywilizacji?

– Chyba tak.

– Błagam. Prawie nic nas nie dzieli.

– Cóż, tak właśnie myślę.

– Bo tak właśnie jest. – Popatrzyła na niego surowo. – Nie pozwolę nam na takie gierki. To szalenie męczące. Zostawmy to studentom.

Przed podjazdem znajdowała się stalowa brama, którą kierowca otworzył przy użyciu guzika umieszczonego gdzieś w osłonie przeciwsłonecznej. Brama się przesunęła, ukazując skromny, parterowy, kremowobiały dom z łukowymi oknami oraz drzwiami i zasłonami w różowych kolorach.

Kiedy weszli do środka, kierowca został w pokoju od frontu, Zahra natomiast zaprowadziła Alana na tyły domu, do pokoju, którego okna wychodziły na morze. Nalała im obojgu soku i usiadła obok niego na kanapie. Morze za oknem było jaskrawoniebieskie, oprószone maleńkimi białymi grzywami fal. Na drugim końcu pokoju wisiał pejzaż przedstawiający, jak się wydawało, szwajcarskie Alpy.

– Dziwny obraz w domu przy plaży – zauważył Alan.

– Wszyscy chcą być gdzieś indziej – odparła Zahra.

Patrzyli na pejzaż.

– Okropny, prawda? Mój brat kupuje obrazy wszędzie tam, dokąd podróżuje. We wszystkich kurortach. Ma fatalny gust.

– Widziałaś kiedyś śnieg?

Zahra zwróciła twarz ku sufitowi i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Co takiego? Alanie, jesteś dla mnie wielką zagadką. W pewnych sprawach wykazujesz się taką inteligencją, a z drugiej strony o wielu innych nie masz bladego pojęcia.

– Skąd mam wiedzieć, czy widziałaś śnieg?

– Przecież wiesz, że studiowałam w Szwajcarii. Tam nie brakuje śniegu.

– Zależy gdzie.

– Jeździłam na nartach. Dziesiątki razy.

Alan nie wiedział, co powiedzieć.

– Och, Alanie.

– W porządku, widziałaś śnieg. Przepraszam.

Zahra popatrzyła na Alana, zamknęła oczy i wybaczyła mu to pytanie.

Śmiejąc się, wypła resztę soku.

– Pora popływać.

– Popływać? Co przez to rozumiesz?

– Idziemy pływać. Pożyczę ci strój mojego brata.

Skorzystał z łazienki, by przebrać się w niebieskie szorty, i gdy był gotów, stanął przy szklanych drzwiach, które prowadziły na niewielką piaszczystą plażę oraz coś, co wyglądało na betonową rampę prowadzącą do wody. Przypominała podwodny pas startowy ciągnący się od tylnego tarasu do morza. Był czysty i równy jak pochylnia do wodowania łodzi.

Poczuł dotknięcie na plecach.

– Jesteś gotowy?

Wystarczyły jej palce, by stracił panowanie nad sobą.

– Oczywiście. Zróbmy to – odparł, czując do siebie odrazę.

Nie śmiał się odwrócić. Niebawem będzie miał czas, by przyjrzeć się jej w stroju kąpielowym. Zahra nadal stała za Alanem, jej palce pozostały na jego plecach, a on postanowił się nie ruszać. Spostrzegła, że patrzy na tę dziwną rampę.

– Mój stryj lubił ponurkować, więc zrobił to dla siebie. To okrutne i świadczy o pobłażaniu własnym zachciankom, ale działa. Ryby nadal tu są.

Stryj Zahry faktycznie pogłębił morze w tym miejscu, żeby mieć łatwy dostęp do wody bez konieczności chodzenia po koralowcach.

– Wchodź – powiedziała, wręczając Alanowi rurkę i maskę. – Ja wejść za tobą. Muszę wysłać kierowcę po sprawunki.

Alan otworzył drzwi, wyszedł przed dom i ruszył do wody, chłodniejszej niż w powstającym mieście króla Abdullaha. Za pasem startowym dno morza było skaliste i stromo opadało.

Drepcząc w wodzie, dopasowywał maskę. Przytknął twarz do lustra wody i natychmiast zobaczył, że morze jest przejrzyste i obfituje w koralowce. W polu jego widzenia znalazła się nagle ławica jasnopomarańczowych ryb. Przepłynął dalej, podążając śladem ciągu koralowców. Były wspaniale ożywione i chociaż z pogłębiania nie wyszły zupełnie bez szwanku, rozwijały się doskonale. Po kilku minutach ujrzał wielkiego, pływającego w kółko błazenka i rozdymkę posuwającą się naprzód za pomocą mizernych płetw. Do tego szkółkę pokolców oraz rdzawą papugorybę. A także wędrownego strzępiela rafowego z grymasem wiecznego niezadowolenia na pyszczku.

Wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza. Zbyt wiele było do oglądania, za dużo kolorów, irracjonalnych form. Popatrzył na dom w poszukiwaniu Zahry, ale nikogo nie zauważył. Nie chcąc sprawiać wrażenia zniecierpliwionego, odwrócił się od brzegu, zanurkował głębiej w ślad za koralowcem i zobaczył większe ryby, które podróżowały swobodnie między płycizną a głębinami. Dno przed nim gwałtownie opadało. Woda poniżej miała atramentową barwę, nie sposób było dojrzeć dna. Przed oczami przemknęło mu coś jaskrawego, oślepiającego i bardzo dużego. Alan machnął gwałtownie nogami i wynurzył się z wody, próbując spojrzeć na to z góry.

To coś też się wynurzyło. Okazało się, że to Zahra.

– Alanie!

Serce waliło mu jak młotem.

– Miałam nadzieję, że cię nastraszę, ale nie do tego stopnia.

Alan kasłał.

– Bardzo cię przepraszam.

W końcu zdołał wykrztusić:

– Nie ma sprawy. Nie powinienem był się przestraszyć.

Spojrzał na Zahrę. Zobaczył jej głowę, związane włosy, odsłoniętą zuchwę – zdecydowanie bardziej delikatną, niż sobie wcześniej wyobrażał. Wyglądała przepięknie, jej mokre czarne włosy lśniły, oczy płonęły.

Cała reszta była jednak ukryta pod wodą.

– Muszę się z powrotem zanurzyć – uprzedziła. – Sąsiedzi.

Skinęła głową w kierunku domów, które okalały zatoczkę.

– Powinam cię jednak ostrzec. Jestem ubrana tak jak ty. Jeśli ktoś zobaczy, jak nurkujemy, pomyśli, że to dwaj mężczyźni. Obnażone plecy, męskie kąpielówki. Rozumiesz?

Wydawało mu się, że rozumie, ale naprawdę zrozumiał dopiero wtedy, gdy zanurzył się znowu pod wodę. Zahra nie włożyła stanika. Jej pasiaste szorty miały męski krój. Serce mu zamarło. Mój Boże. Zanurkował za nią, przyglądając się jej długim mocnym nogom, długim palcom rąk wyciągniętych wzdłuż ud, słońcu oświetlającemu każdą część jej ciała, błyskom wodnego flesza.

Odwróciła się do Alana, uśmiechając się szeroko, jakby chciała zapytać: Zaskakuję cię? Zdawała sobie sprawę, jak dobrze się prezentuje, jak bardzo cieszy jego oko. Potem się odwróciła, przechodząc do rzeczy i wskazując na tysiące ryb i ukwiałów w najrozmaitszych niesamowitych kolorach, ruchliwych jak żywe srebro i sięgających czułkami ku górze.

Za wszelką cenę pragnął być bliżej, mieć wszystko. Chciał otrzeć się o nią przypadkiem, kotłować się z nią w wodzie, krzyczeć jej prosto w twarz. Zadowolił się tym, że płynął za nią, nie zważając na ryby i koralowce, byle tylko patrzeć na jej zaróżowione, kołyszące się piersi.

Zahra próbowała skłonić Alana, żeby płynął obok, ale się ociągał, mając nadzieję, że dzięki temu nie będzie go widziała w całej krasie. Płynęli

wzdłuż brzegu i wtedy zaryzykował, łapiąc ją za kostkę, udając, że chce zwrócić jej uwagę, pokazać olbrzymiego błaznika poniżej. Zahra podpłynęła do Alana i ścisnęła dłonią jego rękę. Nareszcie doczekał się odpowiedzi. Miał pewność. Ale co teraz zrobić? W wodzie, pod niebem i słońcem znaczącym jasne ciało Zahry ruchomą siateczką refleksów świetlnych odbierał zbyt wiele bodźców. Nigdy nie widział niczego równie pięknego jak jej podnoszące się i opadające biodra, jej poruszające się jak nożyce nogi, jej falujący nagi tors. Zahra wypłynęła głębiej w morze i zatrzymała się w miejscu, gdzie dno opadało stromo w ciemnobłękitną otchłań.

Wynurzyła się na powierzchnię, a on poszedł za jej przykładem.

Zdjęła maskę i powiedziała:

– Zaczepnij powietrza.

Zrobił to, a ona zanurkowała z wyciągniętymi nad głową rękami.

Alan podążył jej śladem. Zahra odgarniała dłońmi wodę i opadła trzy, sześć metrów niżej. Zbliżył się do niej, a wtedy przywarła doń całym ciałem. Pocałowała go w zamknięte usta, a potem musnęła wargami pierś i sutki. Alan opadł do jej brzucha, całując ją tam, po czym powędrował ustami do jej sutków, jednego po drugim; w tym czasie Zahra rozczesywała mu palcami włosy. Potem pomknęła ku powierzchni, a on podążył za nią.

Zanim zaczął zaczerpnąć powietrza i poczuł ciepło słońca, Zahra zdążyła się oddalić i właśnie poprawiała rurkę. Ruszył za nią. Powoli zbliżali się do domu, znowu udając mężczyzn, przyjaciół. Gdy dopłynęli do pochylni, Zahra odwróciła się do niego, by pokazać, że powinien zostać w wodzie. Czekał, obserwując, jak wspina się na pomost, narzuca na ramiona ręcznik i pośpiesznie wchodzi do domu.

Alan pływał tam i z powrotem, udając, że nurkuje, ale cały czas wypatrywał jakiegoś ruchu w budynku. W końcu spostrzegł, jak z okna wyłania się dłoń przywołująca go skinieniem. Ruszył pośpiesznie po pochylni i otworzył drzwi.

– Tutaj – zawołała Zahra.

Podążył za jej głosem do drugiego pokoju. Zahra, ubrana, siedziała po turecku wśród rozrzuconych poduszek. Miała na sobie luźne białe szorty i koszulkę bez rękawów, też białą i luźną. Odpowiedni moment minął, przynajmniej w jego przypadku, gdy siadał naprzeciw niej, uśmiechając się głupkowato.

– Więc... – powiedziała Zahra.

Wzięła go za rękę. Oboje patrzyli na swoje splecione dłonie. Alan nie miał odwagi posunąć się dalej, nie wiedział, co ma teraz zrobić. Uświadomił sobie, że patrzy na miseczkę z daktylami.

– Masz ochotę? – zapytała rozdrażniona Zahra, żartując sobie z niego.

– Tak – odparł, nie wiedząc dlaczego. Poczęstował się owocem i wgrzył w miąższ, jak zawsze czując się zdruzgotany samym sobą, swą niezdolnością zrobienia tego, co powinien zrobić w należytych momencie.

Kiedy skończył i delikatnie odłożył pestkę na talerz, Zahra przysunęła się bliżej i ułożyła na boku. Alan zrobił to samo. Była tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy i ledwie wyczuwalny zapach słonej wody na jej języku.

Uśmiechnął się do Zahry. Wiedział, że chciała go w ten sposób zachęcić, ale nie odwzajemnił jej gestu.

– Przyjemnie – rzekł, niezdolny wykrzesać z siebie niczego więcej.

Zahra uśmiechała się wyrozumiale. Alan wziął się w garść. Wiedział, że powinien ją pocałować. Potem będzie musiał się na niej ułożyć. Wyobrażał sobie kolejne kroki, gdzie przesunie ramię Zahry i gdzie spoczną jego

dłonie. Minęło tyle czasu. Osiem lat, odkąd musiał podejmować takie decyzje.

Zerknął na zewnątrz, na skąpane słońcem niebo, na nieprzeniknione morze i w ich bezkresie znalazł siłę. Milion martwych istot w tych wodach, miliardy żyjące pod tym słońcem, to słońce będące mocnym białym światłem pośród miliardów jemu podobnych. Nikt nie patrzył i nikogo poza nim i Zahrą nie obchodziło, co się wydarzy w tym pokoju – taka siła zrodzona z braku większego znaczenia! – więc mógł spokojnie robić, co chce, czyli ją pocałować.

Przysunął twarz ku jej twarzy, ku tym pełnym wargom. Zamknął oczy, ryzykując, że nie trafi do celu. Zahra oddychała nosem i Alan poczuł na ustach ciepło jej oddechu. Ich wargi się zetknęły. Takie miękkie, zbyt miękkie. Brakowało oparcia – były niczym poduszki na poduszkach. Musiał przywrzeć mocniej do jej ust, by się rozsunęły. Gdy rozchyliła wargi, poczuł smak morza, głębokiego i chłodnego.

Ujął dłonią głowę Zahry; jej włosy okazały się nadspodziewanie szorstkie. Wcale nie były miękkie. Przeczesując je palcami, natrafił na kark lekarki i obejmując kobiecą głowę, zbliżył ją do siebie. Jej dłoń spoczęła na jego biodrze. Te długie palce, te paznokcie. Chciał czuć na sobie ich dotyk.

Powędrował ustami do jej szyi, przesunął językiem od ramienia do zuchwy i wtedy położył się na niej. Zapach rozgrzanej skóry stanowił wystarczającą nagrodę. Usłyszał przy uchu szept aprobaty, poczuł jej oddech. Albo Zahra była ogromnie wielkoduszna, albo, na szczęście dla Alana, łatwo było ją zadowolić. Jego obawy pierzchły.

Sięgnęła ręką za siebie w poszukiwaniu poduszki. Alan znalazł jasiek i wsunął go jej pod uniesioną głowę. Przez chwilę ich spojrzenia, radosne, nieśmiałe i zdumione, znowu się spotkały. Te oczy, wielkie jak planety – pragnął, żeby były teraz zamknięte, tak aby Zahra nie patrzyła na niego i się nie rozmyśliła. Ujrzałyby żółknące zęby, plomby, liczne blizny, chropowatą

skórę, ślady chaotycznego i beztroskiego życia. Może jednak był nie tylko sumą swoich zepsutych części. Przecież w nie zajrzała, prawda? Wyciągnęła z niego martwe tkanki, krojąc, szarpiąc i muskając wacikiem, a mimo to chciała tu być.

Zahra znowu przyciągnęła Alana do siebie, jej usta napotkały jego rozchylone wargi i teraz jej ruchy stały się bardziej niecierpliwe. Palcami przeczesywała mu włosy na karku. Drugą dłonią dotykała skóry na jego plecach.

Na drugim końcu pokoju Alan spostrzegł lustro. Było ich w nim widać i ujrzał swoje obejmujące Zahrę ręce. Wyglądał na silnego, jego ręce były opalone, żyły napięte. Nie budził odrazy. Nie zamierzam uprawiać seksu, którego nikt nie chciałby oglądać, powiedziała kiedyś Ruby. Zakładała, że cała zabawa skończy się w wieku trzydziestu pięciu lat. Przeniknął go nagły ból, zimny grot żalu nad wszystkim, co sobie zrobili, nad główną pomyłką jego życia, nad tym czasem zmarnowanym na ranieniu siebie nawzajem, nad okropnymi rzeczami zabierającymi części naszej krótkiej egzystencji. Znowu popatrzył na Zahrę, w jej ciemne oczy, które mu wybaczyły i pojaśniały na widok jego uśmiechu.

Przywarł do niej i usłyszał swój własny jęk.

– Dziękuję ci za to – powiedziała.

Roześmiał się przy jej uchu i całując, sunął ustami do jej obojczyka.

– Grasz na zwłokę?

– Nie, nie. Gram?

– Wejdz we mnie – szepnęła.

Spróbował, ale stwierdził, że nie jest jeszcze gotowy.

– Bardzo tego pragnę.

– Cieszy mnie to.

Uświadomili sobie jednak, że przepraszają się nawzajem za różne niepowodzenia, za części swoich ciał, które nie chciały współpracować lub robiły to tylko sporadycznie. Kiedy on był gotów, ona nie była, to zaś sprawiało, że Alan się wycofywał. Mimo to pieścili się rozpaczliwie, niezdarnie, z coraz mniej widocznym skutkiem. W pewnym momencie, gdy próbował ułożyć się za Zahrą, uderzył ją łokciem w czoło.

– Au!

Alan opadł na podłogę i spojrzał w sufit.

– Tak mi przykro.

Zahra usiadła, układając dłonie na podołku.

– Coś cię rozprasza?

Nic go nie rozpraszało, nic a nic. W rzeczywistości był tak pochłonięty pragnieniem jej ciała, cieszeniem się nią, jej ustami, oddechem i głosem, że nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Być może – odparł.

Nie miał innego wyboru, jak skłamać. Opowiedział jej o tym, co leży mu na sercu, o domu, którego nie mógł sprzedać, o unoszącej się w jego murach woni rozkładu, o człowieku, który utopił się w jeziorze, pieniądzech, które jest winien tylu osobom, o swojej wspaniałej córce, która nie dostanie tego, na co zasługuje, jeśli tutaj, na pustyni, nie zdarzy się jakiś cud.

– To nie musi stać się dzisiaj – powiedziała Zahra, ale w jego uszach zabrzmiało to niczym wyrok: To nie musi stać się w ogóle.

– Psiakrew – mruknął. – Po stokroć psiakrew.

– Nic się nie stało – zapewniła.

– Psiakrew, psiakrew, psiakrew.

– Ciii – powiedziała. Oparci jedno o drugie, zmęczeni niczym bokserzy po walce, obserwowali, jak promienie słońca wlewają się do morza.

XXXIII

Zmierzch zabarwił białe ściany domu na niebiesko, a różowe zasłony na fioletowo. Morze za oknem było ciemne i niespokojne.

Oboje z Zahrą siedzieli przy kuchennym stole, pijąc wino. Alan zjadł już wszystkie daktyle.

– Muszę polecieć na kilka tygodni do Paryża – powiedziała Zahra. Alan był na to przygotowany. – Jak długo będziesz w Arabii Saudyjskiej?

Nie wiedział.

Wypili jedną butelkę i otworzyli następną. Byli tak bardzo zakochani w świecie i tak rozczarowani tym, jak wyglądał, że opróżnienie kolejnej butelki przy kuchennym stole stanowiło najbardziej oczywisty sposób oddania hołdu tym wszystkim sprzecznościom.

Zahra naląła mu jeszcze jeden kieliszek.

Alan miał wrażenie, że czeka, aż sobie pojedzie. Dotarł tam jednak z jej kierowcą, więc nie mógł tego zrobić, dopóki sama go nie odprawi.

– Mogę ci coś opowiedzieć? – zapytał.

– Oczywiście – odparła.

– To historia przeznaczona dla twojego syna. Przypomnisz mi, jak ma na imię?

– Mustafa.

– Mustafa, dobrze. Fajne imię.

Alan był pijany i chciał, żeby Zahra o tym wiedziała.

– To dobra opowieść dla Mustafy.

- Cieszę się. Mam notować?
- Nie ma potrzeby. Zapamiętasz to, co najistotniejsze.
- Postaram się.
- W porządku. Mój ojciec i ja biwakowaliśmy kilka razy.
- Ach, znowu o biwakowaniu.
- Nie chodzi o biwakowanie. Posłuchaj, proszę.
- Zamieniam się w słuch.

Alan ponownie napełnił kieliszki. Ledwie widział na oczy, ale czuł się bardzo silny.

– Miałem dziesięć, może dwanaście lat. I wtedy, jeden jedyny raz, ojciec zabrał mnie do New Hampshire. Wjechał do jakiegoś parku narodowego. Nic, tylko niekończące się lasy. Zaparkowaliśmy, wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy głęboko w las. Wędrowaliśmy przez co najmniej cztery godziny. Przez ostatnie trzy nie widzieliśmy żywego ducha. W zasadzie byliśmy w kompletnej głuszy. Był wczesny ranek. Wyruszyliśmy o świcie. Mieliśmy ze sobą rakiety śnieżne i założyliśmy je w głębszym śniegu. Marsz był niewiarygodnie męczący. Zatrzymywaliśmy się co jakiś czas, by napić się wody i coś przekąsić. Jedliśmy suszone mięso wołowe i orzechy, tego rodzaju rzeczy. A potem dalej pieliśmy się po zboczu. Około trzeciej po południu słońce zaczęło chylić się już ku zachodowi, więc się zatrzymaliśmy. Wokół ani śladu cywilizacji. Zakładałem, że w takim razie zejdziemy. Robiło się zimno i temperatura mogłaby spaść do kilku bądź kilkunastu stopni poniżej zera, to, co mieliśmy na sobie, nie zapewniało zaś utrzymania wystarczającego ciepła.

– Co zamierzał? Mieliście namiot? – Zahra była zdumiona.

– Zadałem mu to pytanie. Myślałem, że ma jakiś plan. Ale zachowywał się tak, jakby właśnie sobie to wszystko uświadomił. Że nie zdążymy

wrócić przed zmrokiem i że nocą zamarzniemy na kość. Już nie wspominając o wilkach i niedźwiedziach.

– Wilkach i niedźwiedziach? – zdziwiła się Zahra. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

– Wierz mi.

– Chyba nic innego mi nie pozostaje.

– Zapytał mnie więc: „Co powinniśmy zrobić?”. I wtedy uświadomiłem sobie, że ojciec poddaje mnie próbie. Przypomniałem sobie to, czego nauczyłem się jako skaut, i odparłem: „Zbudować szałas”. O tym właśnie myślał ojciec. Otwiera plecak i wyjmuje z niego siekierę oraz kawałek liny. Postanowił zmusić nas do zrobienia szałasu z powiązanych ze sobą kłód, jak w tratwie.

– O nie.

– „Jak myślisz, ile mamy czasu?”, pyta, mając na myśli porę zachodu słońca i spadek temperatury poniżej zera. „Okolo dwóch godzin”, odpowiadam. A on na to: „Chyba masz rację. Lepiej bierzmy się do roboty”.

– Był twardzielem – zauważyła Zahra.

– Chce, żeby go tak postrzegano. Więc zaczęliśmy. Rąbaliśmy i wiązaliśmy na zmianę. Z około dwudziestu cienkich brzoźowych kłód zrobiliśmy dwie palety. Gdy były gotowe, ojciec odgarnął śnieg na powierzchni sześciu metrów na sześć i zmontował tam z nich całkiem solidny szkielet w kształcie litery A. Zebraliśmy gałązki sosen i wymościłymi nimi dno szałasu.

– Chyba było wygodnie.

– Zaskakująco wygodnie. Potem wznieśliśmy wokół mur. Żeby nie wiało do środka. Na dachu położyliśmy około trzydziestu centymetrów śniegu jako izolację cieplną.

– I nie przeciekał?

– Nie przy kilkustopniowym mrozie. Lepszego sposobu ocieplenia nie było.

– A mieliście śpiwory?

– Nie.

– Ten człowiek był szalony.

– Być może. Potem zapytał: „Synu, czego nam teraz trzeba?”. Wiedziałem. Potrzebowaliśmy igły i nici, taśmy montażowej lub czegoś takiego. Mówię to, a on wyciąga rolkę taśmy.

– W jakim celu?

– Żeby zrobić śpiwór z naszych ubrań.

– Żartujesz.

– Nie. Pocięliśmy nasze kurtki wzdłuż i skleiliśmy taśmą, żeby zrobić z nich szeroki śpiwór. I potem spaliśmy w nim w kalesonach.

– Razem.

– Owszem. I muszę powiedzieć, że gdy już się w nim ułożyliśmy, było bardzo ciepło.

– Nie mieliście ogniska.

– Nie. Tylko siebie.

– A rano?

– Posklejaliśmy kurtki z powrotem i wróciliśmy do domu.

– A więc uratowaliście się, coś budując. Rozumiem. Ale przy okazji ojciec omal was obu nie uśmiercił.

– Na to wygląda – przyznał Alan i się roześmiał.

– Mnie też wolno się śmiać, prawda? – upewniła się Zahra.

– Oczywiście.

– To dobrze, ponieważ dla mnie prawie wszystko to – powiedziała i ruchem ręki ogarnęła pokój, dom i morze za oknem, całe Królestwo Arabii Saudyjskiej, cały świat i niebo – jest bardzo, bardzo smutne.

XXXIV

Monarcha odwiedził jednak swoje miasto – jedenaście dni później. Wizytę zapowiedziano o dziewiątej rano, a królewska kawalkada przybyła tuż po południu. Abdullah ruszył w dwudziestominutowy objazd po pustych drogach miasta, spędził kwadrans w centrum informacji, po czym wraz ze swą świtą udał się do namiotu.

Alan i jego młodzi współpracownicy byli gotowi. Król usiadł na przywiezionym tego dnia przypominającym tron fotelu, a towarzyszące mu osoby na białych kanapach. Brad, Rachel i Cayley rozpoczęli prezentację, która przebiegła doskonale. Odziany w elegancki garnitur Brad powitał publiczność. Wyjaśnił, jak działa ta technologia, a potem przedstawił jeszcze jednego uczestnika prezentacji, który był w Londynie, a zarazem, no proszę, wychodził zza kulis, ubrany w thawb i gutrę. Wydawało się, że znajduje się w namiocie, na podium, chodzi i mówi zarówno po angielsku, jak i po arabsku. Obaj z Bradem komunikowali się ze sobą przez jakiś czas, podkreślając, że tego rodzaju technologia stanowi tylko jeden z przykładów ogromnych możliwości Relianta i firma oczekuje wielu wspólnych sukcesów w KAEC. Potem człowiek z Londynu podziękował wszystkim i wyszedł, a Brad przyłączył się do tych podziękowań. Gdy schodził z podium, poruszając bezgłośnie ustami, przekazał Alanowi i reszcie zespołu swoją ocenę występu: Niewiarygodne!

Gdy prezentacja dobiegła końca, król Abdullah nagroził ją powściągliwymi oklaskami, ale nic nie powiedział. Nie było dodatkowych pytań. Ani on, ani nikt z jego świty nie rozmawiał z nikim z Relianta, choć

Alan ustawił się przy drzwiach namiotu na wypadek, gdyby ktoś zechciał przedyskutować ich ofertę. Nikt nie wyraził takiej chęci. Alan nie miał okazji wspomnieć o królewskim bratanku; od monarchy, który wyszedł po kilku minutach razem z wszystkimi towarzyszącymi mu osobami, odgradzały go cztery rzędy ludzi.

Alan się przyglądał, jak ruszają ulicą, ale nie odjechali daleko. Zniknęli w czeluści garażu pod Czarną Skrzynką. Przed budynkiem spostrzegł trzy białe furgonetki zaparkowane w równym szeregu. Przez cały czas swojego pobytu w KAEC nie zauważył tam takich pojazdów, więc poszedł, by przyjrzeć im się dokładniej. Na boku każdej furgonetki widniały dwa rzędy drukowanych liter, pierwszy w języku arabskim, drugi w chińskim. Niestety, nie umiał odczytać żadnego z nich.

Czekał przed budynkiem dwie godziny, starając się nie zwracać na siebie uwagi, dopóki król nie wyszedł ze swoimi ludźmi i grupą Chińczyków w ubiorach biznesowych. Wszyscy wymienili uściski dłoni, uśmiechając się serdecznie. Monarcha wrócił do Czarnej Skrzynki, a kilka minut później królewska kawalkada wyłoniła się z garażu i opuściła miasto. Chińscy biznesmeni wsiedli do swoich furgonetek i też odjechali, pozostawiając za sobą ścianę pyłu, który osiadł dopiero po kilku godzinach.

Gdy zniknęli, Alan wszedł pośpiesznie do Czarnej Skrzynki. W recepcji zastał Małę.

– Witaj, Alanie – powiedziała.

– Czemu ci ludzie tu byli? – zapytał.

Pieniądze. Romantyczne Przeżycia. Samoobrona. Uznanie.

– Aby zrobić prezentację dla króla. Tak samo jak pan.

– Masz na myśli system informatyczny?

– Tak sądzę.

– I oni byli tutaj? Wewnątrz budynku?

Maha się uśmiechnęła.

– A gdzież by mieli być?

– A skąd wiedzieli, że król tu dzisiaj będzie?

Maha patrzyła przez chwilę na Alana, po czym odparła:

– Chyba po prostu sprzyjało im szczęście.

Tamtego popołudnia młodzi ludzie z Relianta zdemontowali i spakowali sprzęt, po czym wtarabanili się z tym wszystkim do mikrobusu. Uważali, że dłuższy pobyt nie ma sensu, więc następnego dnia opuścili Arabię Saudyjską.

Alan został. Przez trzy następne dni wracał do namiotu, licząc, że spotka się z Karimem al-Ahmadem. Maha powiedziała mu, że odkąd zakończyły się prezentacje, pan Karim al-Ahmad jest bardzo zajęty.

W końcu pewnego dnia, gdy Alan siedział sam w namiocie na białym plastikowym krześle, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył i ujrzał Karima al-Ahmada, który poinformował go z żalem, że kontrakt na systemy informatyczne dla nowego miasta przypadł innej firmie, która jak się wyraził, mogła dostarczyć je znacznie szybciej i za ponaddwukrotnie niższą cenę.

– Chińskiej? – zapytał Alan.

– Chińskiej? Nie jestem pewien – odparł al-Ahmad.

– Nie jest pan p e w i e n?

Saudyjczyk udał, że próbuje sobie przypomnieć.

– Sądzę, że mogli to być Chińczycy. Tak, sądzą, że to chińska firma. Czy to ma dla pana jakieś znaczenie, Alanie?

– Nie.

To rzeczywiście było bez znaczenia.

– Czy przynajmniej spodobał mu się ten hologram?

– Komu?

– Królowi.

– Och tak, bardzo – odparł al-Ahmad głosem pełnym czegoś na kształt współczucia. – Uważał, że był b a r d z o, b a r d z o ł a d n y.

Alan spojrział przez plastikowe okno na błękitną wodę, na zachodzące słońce.

– Myśli pan, że powinienem tutaj zostać? – zapytał.

– Zostać w KAEC?

– Tak. Sądzę, że Reliant mógłby wam pomóc w świadczeniu różnych usług. A jeśli nie, to współpracuję z innymi firmami, które bardzo by się przydały, żeby to miasto ruszyło z miejsca.

Al-Ahmad stał przez moment z palcem przytkniętym do ust.

– Cóż, pozwoli pan, Alanie, że pomyślę o tym przez kilka dni. Chciałbym panu oczywiście pomóc.

– Naprawdę?

– Jasne, czemu miałyby być inaczej?

Alan mógłby podać wiele powodów, ale musiał zakładać, że jego rozmówca ma dobrą wolę. Musiał liczyć na amnezję.

– W takim razie chyba zostanę – powiedział.

Ostatecznie nie odsyłali go do domu i nie mógł tam wrócić, jeszcze nie teraz, nie z pustymi rękami. Więc zostanie. Musi zostać. Lepiej, żeby ktoś tutaj był, gdy król znowu przyjedzie, prawda?

PODZIĘKOWANIA

Zawsze i przede wszystkim – VV.

Wielkie dzięki należą się personelowi wydawnictwa McSweeney's za jego pracę nad całą książką. Dziękuję Wam, Adamie Krefman, Lauro Howard, Chrisie Ying, Brianie McMullen, Sunro Thompson, Chelsea Hogue, Andi Mudd, Juliet Litman, Samie Riley, Meagan Day, Russellu Quinn, Rachel Khong, Malcolmie Pullinger, Brencie Hoff, Sheilo Heti, Rossie Simonini, Heidi Julavits, Alyson Sinclair, Scotcie Cohen, Eli Horovitz, Walterze Green i Chrisie Monks. EM-J Staples i Daniel Gumbiner pomogli mi ogromnie w masie zadań, zakrojonym na szeroką skalę zbieraniu informacji oraz w trudnym finiszu. Ich zapał dodawał mi sił. Dodatkowe podziękowania należą się redaktorom McSweeney's, Ethanowi Nosowsky'emu, Jordanowi Bassowi, Andrew Lelandowi i Michelle Quint, którzy musieli czytać tę książkę wielokrotnie i którzy wykonali znakomitą redakcję z chirurgiczną precyzją.

Ta książka powstała w wyniku rozmowy przeprowadzonej przeze mnie jeszcze w 2008 roku z moim szwagrem Scottem Neumannem, który wówczas odbył podróż do Economic City króla Abdullaha z przedstawicielami pewnej międzynarodowej korporacji. Choć ta powieść tylko w niewielkim stopniu przypomina pobyt Scotta w KAEC, jego wielkoduszna gotowość do podzielenia się swoimi spostrzeżeniami bardzo mi pomogła. Vanesso i Inger, Wam też dziękuję za przyjaźń i rodzinę.

W Arabii Saudyjskiej jest wielu przyjaciół, którym chciałbym podziękować, najpierw i przede wszystkim Mamdouhowi Al-Harthy'emu, mojemu przewodnikowi i przyjacielowi, znawcy i filozofowi. Nigdy się nie odpłacę za jego gościnność. Podziękowania należą się także Hasanowi Hatrashowi, poecie, mąciwodzie i mojemu przyjacielowi, oraz Faizie Ambah, odważnej dziennikarce i scenarzystce. Czytała pierwsze oraz późniejsze wersje tej książki, przedstawiała istotne uwagi i dodawała zachęty.

Wyrażam głęboką wdzięczność Noorowi Elashiemu, Wajahatowi Alemu, Lawrence'owi Weschlerowi, Nickowi Hornby'emu, Tish Scoli, Alii Malek, Roddy'emu Doyle'owi, Brettowi O'Harze, Stephenowi Elliottowi, Brianowi Grayowi oraz moim braciom, Billowi i Tophowi za ich krytyczną lekturę mojej książki w jej różnych postaciach. Heroicznego zadania wielokrotnej lektury podjęli się fenomenalni powieściopisarze i redaktorzy, Peter Ferry, Tom Barbash i Peter Orner. Za przyjaźń i fachowe rady w sprawach sprzedaży, druku i doradztwa ogromnie dziękuję Paulowi Vidzie, Thomasowi O'Marze, Ericowi Vratimosowi, Grantowi Hylandowi, Scottowi Neumannowi, Paulowi Scoli i Peterowi Wisnerowi.

Za wskazówki i wieloletnie już wsparcie jestem głęboko wdzięczny Andrew Wyliemu, Sally Willcox, Debby Klein, Lindsay Williams, Jenny Jackson, Kimberly Jaime, Luke'owi Ingramowi, Sarze Chalfant, Oscarowi van Gelderenowi, Simonowi Prosserowi, Helge Machow, Kerstin Glebie, Christine Jordis, Aureliénowi Massonowi, zespołowi z PGW oraz wielu innym redaktorom, wydawcom i tłumaczom, którzy przybliżają książki takie jak ta nowym odbiorcom.

Dziękuję całemu personelowi drukarni Thomson-Shore w Dexter w stanie Michigan: Kevinowi Spallowi, Angie Fugate, Joshowi Mosherowi, Heather Shultes, Kandy Tobias, Sue Lube, Jenny Taylor, Mike'owi Shubelowi, Richowi McDonaldowi, Andrei Koerte, Rickowi Grossowi,

Christinie Ballard, Frankiemu Hallowi, Billowi Stifflerowi, Mike'owi Warrenowi, Anthony'emu Robertsowi, Timowi Kingowi, Tonyi Hollister, Deb Rowley, Johnowi Bennettowi, Paulowi Wersteinowi, Jennifer Love, Alondzie Young, Sandy Dean, Mattowi Marshowi, Renee Gray, Adnanowi Abulowi-Hudzie, Sue Schray, Jenny Black, Debbie Duible, Steve'owi Landersowi, Connie Adams, Pat Murphy, Robowi Myersowi, Alowi Phillipsowi, Johnowi Harrellowi, Johnowi Keplerowi, Darleen Van Loon, Shannon Oliver, Diane Therrian, Mary McCormick, Dave'owi Mingusowi, Sandy Castle, Sherry Jones, Steve'owi Mullinsowi, Billowi Dulischowi, Ryanowi Yoakamowi, Doris Zink, Edowi Stewartowi, Robertowi Parkerowi, Terri Barlow, Thoemu Tantipithamowi, Cody'emu Dulishowi, Dave'owi Meachamowi oraz Vanessie Van De Car.

Uwaga: książka ta zawiera pewne fakty z dziejów Schwinna, prawdziwej firmy produkującej rowery, która przez wiele dekad miała swoją siedzibę w Chicago. Przedstawione tutaj daty i wątek dotyczący tej firmy są wierne zapisom historycznym, jest to jednak powieść i Alan Clay w rzeczywistości nie pracował dla Schwinna, a jego doświadczenia zawodowe są wytworem fikcji literackiej. Chcąc przeczytać fantastycznie udokumentowaną i dobrze napisaną książkę na temat firmy Schwinn, szukajcie *No Hands: The Rise and Fall of the Schwinn Bicycle Company, An American Institution* autorstwa Judith Crown i Glenna Colemana, pozycji opublikowanej w 1996 roku przez wydawnictwo Henry Holt. Lektura tego doskonałego dzieła literatury faktu bardzo korzystnie wpłynęła na moją powieść.